ROZMOWA Z ALAKSANDREM AZARAUEM

Jak białoruska opozycja szykuje się w Polsce do obalenia Łukaszenki

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 13/520 27 MARCA–2 KWIETNIA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Kto pcha nas do wojny – analizuje Warzecha

ATAKUJĄCY PAPIEŻA POLAKA EKKE OVERBEEK NASTĘPCĄ JERZEGO URBANA?

Powolny upadek Janiny Ochojskiej

Uzurpatorzy z WHO

GROŹNY DYKTAT ŚWIATOWEJ ORGANIZACJI ZDROWIA – PIERWSZEGO MINISTERSTWA GLOBALNEGO RZĄDU

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 52 000 egzemplarzy

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

KONAJĄCE GETTO – STRACEŃCZA WALKA ŻYDOWSKICH BOJOWNIKÓW

Powstańcy z getta jak żydowscy buntownicy z Masady – ostatni tekst śp. Macieja Rosalaka

Prawicowi bohaterowie – Dlaczego bojownicy Żydowskiego Związku Wojskowego zostali skazani na zapomnienie?

Układ ze skorpionem – Efekty porozumienia prymasa Stefana Wyszyńskiego z władzami komunistycznymi

Lew, pot i łzy – Gladiatorzy potrafili w Rzymie osiągnąć status niemal celebrycki. Najlepsi z nich zarabiali istne fortuny

Trzech z Virtuti Militari – Każdy z nich bił bolszewików 20 lat wcześniej. W 1939 r. dostali się do ich niewoli i stali się ofiarami ludobójczego mordu

Pięć minut Zaremby – Genialny urbanista w niezwykłych okolicznościach został pierwszym prezydentem polskiego Szczecina

Fatalne skutki Perejasławia – Bohdan Chmielnicki pragnął niezależnego państwa, ale jego polityka doprowadziła do poddania ziem ukraińskich Rosji

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 1a5fd4df8c

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Chiński plan pokojowy?

Trudno w oparciu o doniesienia ogółu polskich (a także światowych mediów) wyrobić sobie zdanie na temat skutków wizyty Xi Jinpinga w Moskwie i jego rozmów z Władimirem Putinem. Wydaje się, że jedynym pewnym faktem jest to, iż obaj przywódcy – Chin i Rosji – spotkali się i że wydali wspólne oświadczenie, chociaż może się okazać, że wkrótce nawet i ten fakt zostanie zanegowany, gdy któreś z ukraińskich ministerstw ogłosi, że z Xi spotkał się nie Putin, tylko jego sobowtór, bo – jak kilka miesięcy temu stwierdził Wołodymyr Zełenski – Putina już nie ma.

Na to, że Putin nadal istnieje, wskazuje jednak, poza samym zachowaniem Xi, wiele dodatkowych poszlak. Po pierwsze, jest to wyrok Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze, który oskarżył Putina o zbrodnie wojenne i wydał nakaz jego aresztowania. Po drugie, reakcja szefa NATO Jensa Stoltenberga, który ostro skrytykował Xi za to, że ten poleciał do Moskwy tuż po decyzji sędziów.

Jeśli chodzi zresztą o sam wyrok, to jest to decyzja być może słuszna z moralnego punktu widzenia, natomiast w sensie politycznym wielce osobliwa. Nie da się jej przecież wykonać w inny sposób, niż pokonując Rosję, to po pierwsze. Nawet te państwa, które są sygnatariuszami traktatu rzymskiego, powołującego MTK, jak Republika Południowej Afryki, do której Putin wybiera się jesienią, dały do zrozumienia, że wydanego przez sąd w Hadze wyroku wykonywać nie będą. Jedyny praktyczny efekt działań MTK zatem to utrudnienie innych negocjacji pokojowych niż te, które z Moskwą mogą prowadzić takie państwa, które MTK i jego wyroków nie uznają, a więc np. Chiny. Nie rozumiem zatem zadowolenia wielu polskich obserwatorów z wyroku. Przy założeniu, że wojna nie będzie trwała w nieskończoność i że zakończy się ona tak jak wszystkie poprzednie negocjacjami i porozumieniem, wyrok MTK sprawia, iż negocjatorem nie będzie mogło być niemal żadne państwo zachodnie.

Z tej sytuacji właśnie korzystają Chińczycy, zgłaszając swój plan pokojowy. Jego przyjęcie prowadziłoby, z grubsza biorąc, do zawieszenia broni, rezygnacji z dostaw sprzętu zachodniego na Ukrainę i pozostawienia, można sądzić, zdobytych przez Rosję terenów w jej rękach. Nic dziwnego, że Moskwa już ogłosiła, iż gotowa jest plan traktować poważnie, a prezydent Zełenski, wcześniej wprawdzie, zapowiedział, że na takich zasadach porozumienia nie będzie. Problem polega na tym, że do tej pory żadnego innego pomysłu na zakończenie wojny nie ma. Stany Zjednoczone i razem z nimi reszta państw Zachodu powtarzają konsekwentnie, że Rosja musi wycofać się z okupowanych ziem – od razu z tych zajętych po 24 lutego 2022 r., a w przyszłości tych okupowanych od 2014 r. Żeby to osiągnąć, dostarczają Ukrainie coraz więcej coraz bardziej śmiercionośnej broni, na co Rosja odpowiada dokładnie tak samo: używając coraz większej liczby coraz bardziej zabójczych pocisków. Czy ta strategia jest skuteczna? Nie potrafię jej zrozumieć.

Pomijam już istotną kwestię szybkiego wzrostu liczby ofiar, co – gdy myśli się w kategoriach wojny sprawiedliwej – na pewno należałoby wziąć pod uwagę. Jednak nawet zakładając, że chcącemu nie dzieje się krzywda, a Ukraińcy chcą walczyć do końca, Rosjanie zaś nie ustąpią bez siły, pojawia się pytanie o dotychczasowe geopolityczne efekty strategii amerykańskiej. Dostrzegam jeden: polityka Waszyngtonu doprowadziła do uformowania się wokół Moskwy coraz silniejszej osi państw wrogich Zachodowi. Pierwszy efekt to wyjście z izolacji Iranu. Drugi, nie mniej poważny, to stopniowe odwracanie się od Ameryki Arabii Saudyjskiej i jej porozumienie z dotąd śmiertelnym wrogiem, którym był Teheran. Po trzecie, to zacieśnienie relacji Chin z Rosją.

W Polsce, mam wrażenie, tych zmian nie chce się dostrzec. Większość Polaków sądzi, co jest efektem skutecznej propagandy, że „cały świat potępia Rosję". Podobnie wizyta Xi w Moskwie traktowana jest jako rzecz niemal bez znaczenia, w najlepszym razie ma ona świadczyć albo o tym, że Putin nie dostał, czego chciał (nie wiadomo oczywiście, czym to, czego chciał, miało być, ale wiedzą to amerykańskie think tanki, które bezinteresownie dzielą się wiedzą), albo że był to dowód podległości Moskwy jako junior partnera wobec Pekinu. To drugie nie jest wprawdzie łatwo wyjaśnić, bo zwykle to słabszy przybywa do silniejszego po prośbie, ale w tym celu zawsze można powołać się na magów (polskich lub zagranicznych) od badania gestów, którzy ogłoszą, że Putin miał skwaszoną minę.

Nie jest to wcale śmieszne. Skoro polska polityka zagraniczna oparta jest na bezwarunkowym zaufaniu do działań prezydenta Bidena, to za jego błędy będą płacić w pierwszym rzędzie jego sojusznicy. ©℗

eprasa.pl 1a5fd4df8c

TEMAT TYGODNIA

16 JERZY KARWELIS
UZURPATORZY Z WHO
Pierwsze ministerstwo rządu światowego?

20 AGNIESZKA GOLAŃSKA-BAULT
WIRUS NA USŁUGACH BRYTYJSKIEJ WŁADZY

KRAJ

22 JAN FIEDORCZUK
„CICHA" KOALICJA Z PIS?
Czasy stabilnej większości mijają bezpowrotnie

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
MANEWRY W BAŃCE

26 PIOTR SEMKA
OPOZYCJA BEZ LUSTRA

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
TRYBUNAŁ KONTRA PUTIN

32 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
PRÓŻNE NADZIEJE NA PAMIĘĆ

34 TOMASZ ROWIŃSKI
KIM PAN JEST, PANIE OVERBEEK?

36 ZUZANNA DĄBROWSKA
UPADEK PANI JANINY

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
IMPERIUM CZY OJCZYZNA?
Nowa książka autora trylogii „Metro 2033"

40 ROZMOWA Z ANNĄ GABRYŚ I KATARZYNĄ TYBINKĄ
MOTYLE NOCY NA TLE REWOLUCJI

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 LECH MAŻEWSKI
„POLSKOŚĆ TO NIENORMALNOŚĆ"
Jasełkowy patriotyzm

50 ŁUKASZ WARZECHA
RZĄD IDZIE NA WOJNĘ

53 JERZY KWAŚNIEWSKI
IDEOLOGIA PRZECIWKO WOLNOŚCI

56 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KOŚCIÓŁ NA PROGU SCHIZMY

HISTORIA

58 RAFAŁ ŁATKA
MANIPULACJE MANIPULATORA
Overbeek – drugi Urban?

ŚWIAT

64 JACEK PRZYBYLSKI
SMOK U WASALA
„Nowa era" Państwa Środka

67 ROZMOWA Z ALAKSANDREM AZARAUEM
WIEMY, JAK OBALIĆ ŁUKASZENKĘ

70 TERESA STYLIŃSKA
JAK ODCIĄĆ DROGĘ DO ANGLII

EKONOMIA

72 JAKUB WOZINSKI
BANKOWE DOMINO
Pęknięta bańka

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (62), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 1a5fd4df8c

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Brukselа)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock, oprac. graf: Sunday/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Na wojnę z Rosją?

Szanowny Panie Redaktorze!
Z dużą częstotliwością pojawiają się wypowiedzi rozmaitych polityków i publicystów zagrzewające do wojny z Rosją. Są sytuacje, kiedy przystąpienie do wojny jest decyzją słuszną. Wydaje się jednak rzeczą oczywistą, że warunkiem przystąpienia do wojny jest posiadanie potencjału militarnego, dającego choć nikłe nadzieje na zwycięstwo. Z analiz fundacji Ad Arma wynika, że potencjał Wojska Polskiego w ostatnich dziesięcioleciach zmniejsza się, a nie rośnie. Ilość sprzętu gotowego do użycia od lat spada, podobnie jak liczba żołnierzy i rezerwistów.

W latach 1939–1944 Finowie zdecydowali się na wojnę z wielokrotnie potężniejszym Związkiem Sowieckim. Wojny nie wygrali, ale ocalili niepodległość Finlandii. Było to możliwe dzięki temu, że od wielu lat marszałek Mannerheim przygotowywał armię fińską do wojny z Sowietami, zgodnie z rzymską dewizą „Si vis pacem, para bellum". Wydaje się, że polscy entuzjaści wojny postępują zgodnie z dewizą sędziego Soplicy „... szlachta na koń wsiędzie, ja z synowcem na czele, i – jakoś to będzie". Przy takim podejściu trudno niepodległość ocalić, a łatwo ją stracić.

Dziękuję bardzo za wszystkie teksty „Do Rzeczy" odnoszące się do realiów, a nie marzeń.

Z poważaniem
Mariusz Dzierżawski

„Ruskie gadulstwo", Krzysztof Masłoń, „DRz" nr 9/2023

Dzień dobry,
nazywam się Adam Szulc. Wysoce sobie cenię felietony pana Krzysztofa Masłonia. Chciałbym odnieść się do fragmentu Jego recenzji książki „Wracz" zamieszczonej w numerze 9/2023 tygodnika „Do Rzeczy". Pan Krzysztof w swym interesującym artykule pisze o leczeniu w tzw. dawnych czasach. Nie do końca zrozumiałem, czy chodziło tylko o Rosję czy generalnie o Europę, ale w średniowieczu w Polsce i Europie Zachodniej leczeniem zajmowali się nie rzeźnicy ani kowale, tylko cyrulicy zrzeszeni w lokalnych cechach rzemiosł. To oni – licencjonowani czeladnicy lub mistrzowie – służyli pomocą przy bólach zębów (ekstrakcje), gangrenach kończyn (amputacje) czy leczeniu różnych dolegliwości za pomocą maści. Oprócz tego zajmowali się strzyżeniem włosów, goleniem twarzy oraz myciem ciała. W miastach posiadali swoje lokale, a mniejsze miejscowości i wsie odwiedzali wozami, służąc obwoźną usługą.

Większą liczbą informacji służę w moich książkach branżowych wydanych przez Wydawnictwo Zysk i S-ka.

Z poważaniem
Adam Szulc

eprasa.pl 1a5fd4df8c

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Za dużo tortu w buzi

Co się obecnie nosi w postępowych elitach „Kościoła otwartego" w Krakowie? Dawno temu nosiło się Jana Pawła II na rękach. Dziś za to wielu wsłuchuje się w surowe sądy o papieżu Polaku, wygłaszane przez osoby przedstawiane jako „przyjaciółki" i „przyjaciele" Karola Wojtyły. Pamiętam opowieści o tym świecie, które docierały do mnie w czasie studiów w latach 80. na KUL. To byli moi wykładowcy, którzy z emfazą opowiadali, jak papież zaprasza ich na seminaria filozoficzne do Castel Gandolfo. To byli redaktorzy „Tygodnika Powszechnego", którzy na spotkaniach ze studentami zachłystywali się papieżem. To jeden z księży profesorów, który rozpromieniony opowiadał nam, jak to grupa papieskich przyjaciół zastanawia się, „czym nas tym razem nasz kochany Karolek zaskoczy". Już wtedy, w 1987 r., gdy usłyszałem takie dictum, zadałem sobie pytanie, dokąd prowadzić będzie nazywanie pontifexa „Karolkiem". Ale moi przyjaciele strofowali mnie, że jestem sztywniakiem i ponurakiem.

Po raz pierwszy pomyślałem o tych ludziach, kiedy na początku lat 90. rozpoczęło się przedstawianie Kościoła jako rzekomo nowej siły przewodniej zastępującej dawną PZPR. Pamiętam list z 1995 r. Jana Pawła II do Jerzego Turowicza, ówczesnego redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego". List krytyczny. Zadający pytania, dlaczego tygodnik tak zmienił się po 1989 r. „Odzyskanie wolności zbiegło się paradoksalnie ze wzmożonym atakiem sił lewicy laickiej i ugrupowań liberalnych na Kościół, na Episkopat, a także na Papieża. [...] Pan daruje, jeżeli powiem, iż oddziaływanie tych wpływów odczuwało się jakoś także w »Tygodniku Powszechnym«. W tym trudnym momencie Kościół w »Tygodniku« nie znalazł, niestety, takiego wsparcia i obrony, jakiego miał poniekąd prawo oczekiwać; »nie czuł się dość miłowany« [...]."

„TP" głosi, że był to wynik niedoinformowania czy intrygi nieprzychylnych języków. A jednak dziś reakcja na film „Franciszkańska 3" Gutowskiego i książkę „Maxima Culpa" Overbeeka pokazuje, że papieska intuicja była trafna. Córka Jerzego Turowicza, pani Magdalena Smoczyńska, przedstawiana jako „córka przyjaciela papieża", ogłasza, że Jan Paweł II nie był nikim wielkim. Na tym tle symboliczny jest inny fakt z ostatnich tygodni. Oto Wanda Półtawska, która naprawdę może być nazywana przyjaciółką papieża, stała się obiektem wrogich demonstracji. Niedawno krakowski szpital przy ul. Siemiradzkiego postanowił uczynić patronką oddziału ratowania noworodków panią Wandę. W reakcji przed szpitalem doszło do manifestacji feministek. Jakoś nie widać było przedstawicieli „Znaku" czy „Więzi", którzy wystąpiliby w obronie dobrego imienia Wandy Półtawskiej.

Czy papież zdemoralizował swoich dawnych znajomych z Krakowa? Nie silę się, by odpowiadać na to pytanie. Przygnębiające jest jednak obserwowanie, jak niewolniczo wielu z „tygodnikowców" podążyło liniami propagandowego ataku na papieża Polaka. Od Karola Wojtyły wiele dostali i równie wiele roztrwonili. ©℗

FOT. DAREK DEJMANOWICZ/PAP

KSIĄŻĘ WILLIAM ODWIEDZIŁ POLSKĘ

Brytyjski następca tronu, książę William, w ubiegłym tygodniu przyjechał z wizytą do Polski. Najpierw spotkał się w Rzeszowie ze stacjonującymi tam żołnierzami brytyjskimi i polskimi oraz z ministrem obrony narodowej Mariuszem Błaszczakiem. Następnego dnia spotkał się z prezydentem Andrzejem Dudą. Wizytował też w Warszawie punkt pobytowy dla ukraińskich uchodźców. Zdaniem polskiego MSZ wizyta zwróci uwagę na Polskę jako kraj wspierający Ukrainę. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl 1a5fd4df8c

GSK

pl.gsk.com

Jesteśmy jednym z największych producentów szczepionek na świecie

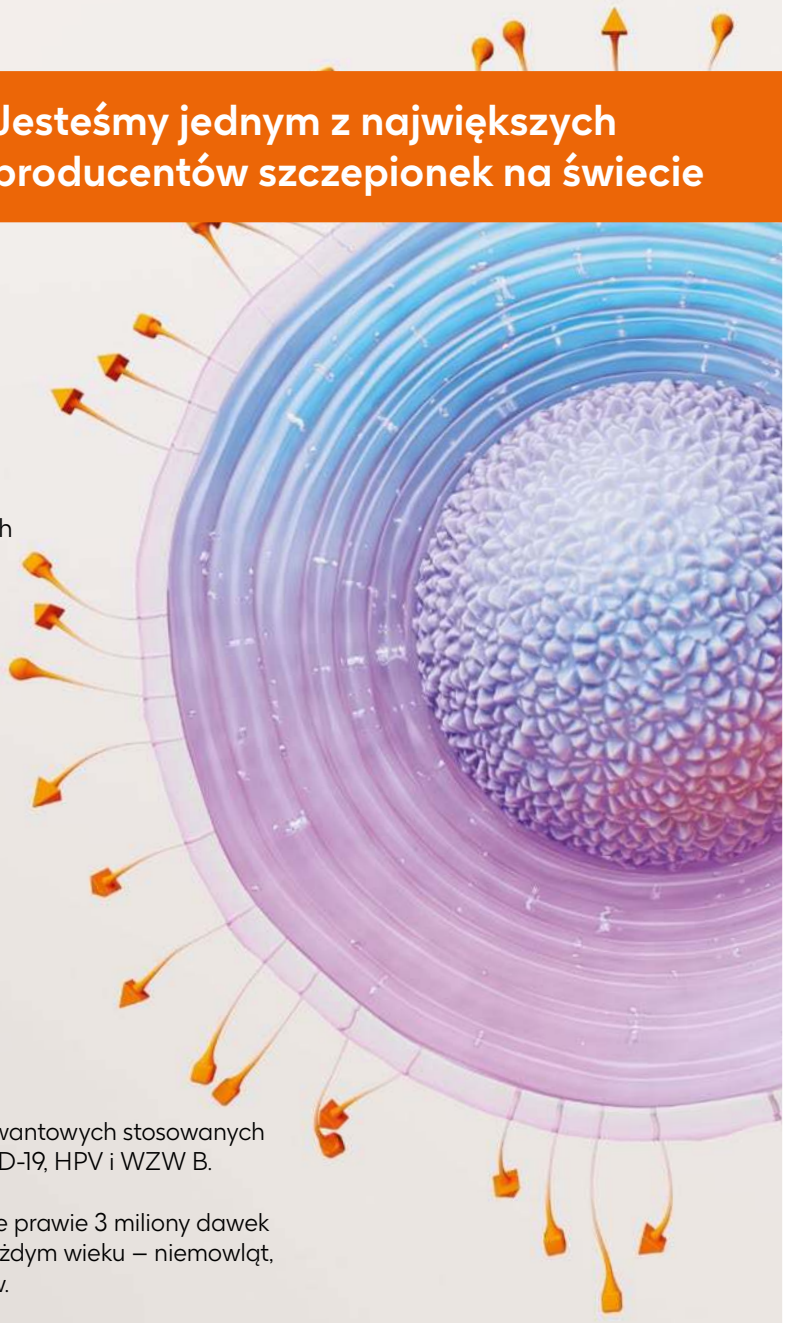

W naszym portfolio znajduje się obecnie ponad 20 szczepionek od lat stosowanych w profilaktyce:

- krztuśca, tężca i błonicy u dzieci i dorosłych
- odry, świnki i różyczki
- zakażeń WZW A i B
- WZW B u osób dializowanych
- pneumokoków dla dzieci
- meningokoków B i ACWY
- rotawirusów
- haemofilius influenzae
- wirusa brodawczaka ludzkiego
- polio
- półpaśca i ospy wietrznej
- wścieklizny
- grypy
- malarii

Jesteśmy wynalazcą platformy systemów adjuwantowych stosowanych w szczepionkach przeciwpandemicznych COVID-19, HPV i WZW B.

Każdego roku dostarczamy pacjentom w Polsce prawie 3 miliony dawek szczepionek zabezpieczając zdrowie osób w każdym wieku – niemowląt, dzieci i młodzieży, osób dorosłych oraz seniorów.

20+
szczepionek w portfolio

~3 mln
dawek dostarczanych każdego roku dla polskich pacjentów

4 na 10
dzieci na świecie otrzymuje każdego roku szczepionkę GSK

Źródło: na podstawie raportu „GSK w Polsce. Innowacyjna firma biofarmaceutyczna. PARTNER POLSKIEJ GOSPODARKI", sierpień 2022

Luty 2023, SUPP-2300507

eprasa.pl 1a5fd4df8c

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Skazana statystyka

Zastanawiam się, czy za napisanie, że Lew Trocki naprawdę nazywał się Bronstein, a Kamieniew – Rozenfeld i że w ogóle całe bolszewickie KC, poza Uljanowem i Dżugaszwilim, stanowili wychrzczeni Żydzi, grozi mi już w Polsce kara czy nie. To wprawdzie fakty historyczne, ale zdaniem niektórych takich faktów zauważać się nie powinno, bo to antysemityzm.

Oczywiście – faktem żydowskiego pochodzenia tej czy innej osoby można uzasadniać rozmaite żydofobiczne narracje i często tak bywa. Ale to kwestia interpretacji faktów. Interpretacje mogą być antysemickie, lewackie, liberalne, faszystowskie itd. – natomiast fakty nie mogą, fakty po prostu są. W normalnym świecie to jest rzecz najoczywistsza pod słońcem, ale w czasach „woke" i „cancel culture" okazuje się, że przywoływanie faktów uznanych za politycznie niepoprawne samo w sobie może być „mową nienawiści".

Ten iście bolszewicki sposób myślenia przenika niestety także do Polski i do polskich sądów. Dowodem i zarazem sygnałem alarmowym dla wolności słowa w naszym kraju jest skazanie przez gdański sąd Mariusza Dzierżawskiego za prowadzoną przez fundację Prawo do Życia kampanię informacyjną, w której m.in. padały stwierdzenia, że homoseksualiści częściej chorują na AIDS i częściej dopuszczają się czynów pedofilskich. Oba te stwierdzenia jedna z organizacji LGBT uznała za obraźliwe dla osób tknięty seksualną odmiennością – i sędzia zgodził się z jej oskarżeniami, wlepiając Dzierżawskiemu rok ograniczenia wolności i 15 tys. zł nawiązki. Tego, że jedno i drugie to fakty potwierdzone statystykami i obecne w naukowej literaturze przedmiotu, sędzia za znaczące dla sprawy nie uznał.

Wiem, że w zalewie skandalicznych wyroków, orzeczeń i uchwał SN, stanowiących narzędzia wojny toczonej przez „PeO-sędziów" z „neosędziami", trudno już wskrzesić w sobie oburzenie na poprzebierane w togi sobiepaństwo. Ale ten „wokeistyczny" precedens nie powinien ujść uwadze opinii publicznej i osób odpowiedzialnych za polski wymiar sprawiedliwości. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Zróbcie coś razem

Uchwałę w obronie pamięci Jana Pawła II Sejm przyjął głosami PiS, PSL, Konfederacji, mniejszych kół oraz Joanny Fabisiak z PO. Piękne echo dawnych lat! W uchwale z 2002 r., podpisanej przez marszałka Borowskiego, Sejm dziękował za przesłanie „miłości i miłosierdzia, także w życiu społecznym i gospodarczym". Siedem lat później, w uchwale podpisanej przez marszałka Komorowskiego, solidaryzował się z wezwaniem do budowy „wielkiej Europejskiej Wspólnoty Ducha". W 2015 r., w uchwale podpisanej przez marszałka Sikorskiego, zapewniał, że „ogromne zasługi i zaangażowanie [Jana Pawła II] w proces odradzania się niepodległości naszej ojczyzny oraz ogromny wkład w propagowanie uniwersalnego przesłania o godności i prawach człowieka na zawsze pozostaną w naszej pamięci", bo „jego życie było świadectwem wiary dla milionów ludzi na całym świecie, a bolesne odejście zjednoczyło wszystkich Polaków niezależnie od wyznania i poglądów".

Tak to było. Skurczył się consensus. Ale czy nie warto utrwalić tego, który ciągle jest? Ostatnia uchwała Sejmu to dobry punkt wyjścia do powołania zespołu parlamentarnego, międzypartyjnego, nie na pokaz, ale naprawdę. O składzie ustalonym proporcjonalnie w wojtyliańskim głosowaniu, ale metodą spłaszczoną, pierwiastkową. PiS – 15 posłów, PSL – 4, Konfederacja i Porozumienie – po 2, Kukiz, Polskie Sprawy, wskazany przez niezrzeszonych – po 1; no i pani Joanna Fabisiak. Dla podkreślenia międzypartyjności można by przyjąć zasadę podejmowania stanowisk większością dwóch trzecich głosów. Zespół mógłby zająć się nie tylko pamięcią św. Jana Pawła II, lecz także inicjatywami wynikającymi z jego orędzia. Dla jego uruchomienia wystarczyłoby praktyczne porozumienie PiS-PSL. Czy to zbyt trudne? Oczywiście inicjatywa mogłaby nie zostać podjęta, ale i to stanowiłoby test dobrej woli. ©℗

eprasa.pl 1a5fd4df8c

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O handlu żywym towarem

W Mediolanie odbyła się manifestacja z udziałem przywódców lewicy w obronie praw dzieci, rzekomo brutalnie podeptanych przez homofobiczny rząd. Włoskie media jazgotały o tym przez kilka dni.

Naprawdę nie chodziło wcale o dzieci, ale o legalizację praktyki wynajmowania łona, czyli kupowania dzieci od surogatek. We Włoszech za udział w procederze wykorzystywania kobiet, które ponura sytuacja zmusza do rodzenia dzieci obcym, zazwyczaj parom gejowskim, przewidziano karę do dwóch lat więzienia i grzywnę do miliona euro. W związku z tym włoskie pary gejowskie udają się do krajów, w których handel dziećmi jest legalny. Dostarczają materiał genetyczny, opłacają surogatkę, koszty sztucznego zapłodnienia, opieki lekarskiej, a potem odbierają żywy towar wraz z aktem urodzenia, w którym jako rodzice figurują ojciec biologiczny dziecka i jego partner. O matce ani mru-mru.

W postępowych regionach i gminach, np. w Mediolanie, zagraniczny akt urodzenia kopiowano w Biurze Ewidencji Ludności, wpisując personalia „rodzica 1" i „rodzica 2". Jednak w grudniu Trybunał Konstytucyjny uznał, że taki akt urodzenia jest nieważny, bo włoskie prawo zabrania wynajmowania łona. W efekcie we włoską ewidencję wpisywany jest biologiczny ojciec dziecka, a jego partner musi w tym celu wystąpić o adopcję, z czym nie ma większych problemów. Podobnie rzecz się ma w przypadku związku dwóch kobiet.

Co nie do wiary, właśnie o to i tylko o to poszło: o nieuznanie praw ojcowskich partnera ojca natychmiast, na żądanie. Naturalnie przy okazji podniósł się krzyk, że państwo włoskie rządzone przez faszystów i homofobów dyskryminuje tęczowe rodziny. Upomniała Italię Unia Europejska, wskazując, że akt urodzenia wystawiony w jednym kraju członkowskim musi być honorowany we wszystkich innych. Jeszcze trochę, a z placetem jaśnie oświeconych unijnych progresistów dzieci będzie można zamówić w Internecie z dostawą do domu i gwarancją wymiany, jeśli towar okaże się wadliwy albo się nie spodoba. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 1a5fd4df8c

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

TO JEST ZDRADA!

Ktoś, kto tak jak Kuba Wojewódzki siedzi w show-biznesie od lat i zjadł na rozrywce zęby, powinien wiedzieć, że w tej branży raczej trudno o lojalność i przyjaźnie z prawdziwego zdarzenia. Najstarszy nastolatek w Polsce jest chyba jednak tak samo naiwny, jak cyniczny, co udowodnił jedną z niedawnych wypowiedzi. Piotr Gąsowski, który był gościem show Wojewódzkiego, zapewniał, że jego zniknięcie z „Twoja twarz brzmi znajomo" było gestem solidarności i lojalności wobec Katarzyny Skrzyneckiej. Wtedy Kuba ogłosił, że stracił wiarę w podobne intencje po pewnym zdarzeniu z przeszłości. Chodziło o jego odejście z funkcji jurora w programie „Mam talent!", które w celebryckim światku odbiło się sporym echem. Wojewódzki stwierdził, że w tamtym czasie Agnieszka Chylińska i Małgorzata Foremniak miały złożyć mu deklarację, że „odejdą z nim", do czego jednak nie doszło. – Jak ja zadzwoniłem do Agnieszki i do Gosi, że odchodzę z „Mam talent!", to obie powiedziały: „Odchodzimy z tobą!". A jak było później, to chyba wiemy. Ja nie wierzę w taką lojalność! – nie krył oburzenia showman. Biedny Kuba.

AKCJA-REAKCJA

Są publiczne żale Wojewódzkiego, jest szybka reakcja. Suchej nitki na dawnym koledze nie zostawiła jedna z wywołanych do tablicy. „Drogi Kubo. O Twoim odejściu z programu »Mam talent!« dowiedziałam się z mediów. Ani się chłopie ze mną nie pożegnałeś, ani nie powiedziałeś dlaczego. Dlatego – zarzucając mi nielojalność – po ludzku kłamiesz. Przychodziłam do Twojego programu na wyraźne Twoje zaproszenie. Wtedy było wszystko cacy, bo miałeś fajną oglądalność i taaak bardzo mnie lubiłeś" – stwierdziła Agnieszka Chylińska. Dalej nie jest – dla „króla TVN" – lepiej. Wokalistka poinformowała bowiem, że dopiero co chciał ją zaprosić na kanapę do swojego programu. „Jeszcze kilka dni temu dzwoniłeś do mojej agentki z pytaniem, czy mogę znowu do Ciebie wpaść. I wiesz? Pomyślałam: pójdę. Ale jak przeczytałam dzisiaj o mojej rzekomej nielojalności wobec Ciebie, to pomyślałam sobie, żeś dwulicowy i kłamliwy, a tatuś mi mówił, żeby od takich trzymać się z daleka. Idź i nie kłam więcej. PS A może po prostu MIAŁEŚ ZŁY DZIEŃ" – podsumowała ironicznie Chylińska. Trafiony, zatopiony.

KOLEŻEŃSKA ŻENADA

Hola, hola, to nie koniec! Do wywodów Kuby nie mogła nie odnieść się druga z oskarżonych o nielojalność, czyli znana i lubiana doktor Zosia z Leśnej Góry, tzn. Małgorzata Foremniak. „Jest mi ogromnie przykro, że w dzisiejszych czasach, aby zwrócić na siebie uwagę, trzeba wytworzyć sztuczny skandal, oparty na kłamstwie. Bardzo rzadko reaguję, ale niestety tym razem nie mogę przejść obok" – zaczęła aktorka swój instagramowy wywód. „Otóż o odejściu Kuby Wojewódzkiego z programu »Mam talent!«, dowiedziałam się od swojego ówczesnego agenta. Kuba zrezygnował z własnej woli, nie została wyrządzona nikomu żadna krzywda, to skąd pomysł o tym, że mamy odchodzić hurtem. Nawet nie poinformował nas o swojej decyzji, tym bardziej jestem zażenowana jego wypowiedzią" – podkreśliła Foremniak. Jak na prawdziwą gwiazdę przystało, Małgosia nie chce, aby ktoś ogrzewał się w jej ciepełku. „W takim razie bardzo proszę nie nadużywać słów i zdarzeń tylko po to, aby było głośno. Słabe jest to, że potrzebując tego rozgłosu, używa się nie swojego światła" – zakończyła złośliwie. No to Wojewódzki ma o dwie koleżanki w show-biznesie mniej.

DOBRE RADY WIŚNI

Dwie koleżanki i jednego kolegę. Pod całą aferę postanowił się bowiem podpiąć czerwonowłosy „sęp miłości". Michał Wiśniewski, który – jak donoszą serwisy plotkarskie – od dawna ma na pieńku z Wojewódzkim. „OK, napisane delikatnie i z klasą, ale pytanie brzmi, dlaczego w ogóle rozważałaś pójście do tego pajaca, który jedyne, co osiągnął, to żerowanie na innych z mniejszym lub większym skutkiem?" – zwrócił się do Chylińskiej, nawiązując do tego, że rozważała pojawienie się w show Kuby. „Jesteś twórcą jak ja i nie potrzebujesz tego trashtalku z być może inteligentnym, ale głupim gościem. Zawsze było mi bliżej do ludzi, którzy przez ciężką pracę z niczego osiągnęli coś. Zbudowali przy tym rodzinę i z mniejszymi lub większymi perturbacjami cieszą się szacunkiem i miłością swoich najbliższych" – ocenił „Wiśnia", niezwykle „subtelnie" sugerując, że Wojewódzki wszystkich tych zalet nie posiada. Udzielił też Agnieszce cennej rady: „Nigdy nie poszedłem i nie pójdę do pasożyta, bo życzliwi ludzie, których często nie słuchałem, mówili: trzymaj się od takich z daleka. Nie twój poziom". Ale milusio w tym polskim show-biznesowym światku. Aż zęby zgrzytają. ©℗

eprasa.pl 1a5fd4df8c

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, z tymi Polakami to się nie da zrobić rewolucji światopoglądowej, a jakbyśmy mieli z nimi robić ewolucję, to byliby właśnie na etapie przyznawania waginoosobom praw wyborczych (bo zdaje się, że zrobili to jako ostatni na świecie czy w Europie, prawda?). Normalnie – masakra z nimi.

Otósh dotarliśmy do wyników badań, według których Polacy jedzą mięso w ch^^y za często. Nie będziemy wam tu rzucać żadnych procentów, bo to w końcu nie jest lekcja matematyki w gimbazie, a te procenty nie do końca oddadzą tę charakterystyczną polską mentalność, która mówi, że mięsa to się trzeba nażreć, a najlepiej z dwóch osobozwierząt naraz. Obrzydliwe.

W każdym razie rozejrzyjcie się czasem w autobusie, tramwaju, na ulicy, w markecie. Tak, wokół was są ludzie – niektórzy mogą wyglądać całkiem zwyczajnie – którzy jedzą mięso nawet sześć razy w tygodniu! Wiadomo, że siedem nie, bo piątek i wtedy katolom nie wolno. Więc te sześć to absolutny max, na jaki mogą sobie pozwalać, no i sobie pozwalają. Jednocześnie w nowoczesnej Europie odchodzi się od mięsa, iż taka jest konieczność dziejowa.

A kiedy Polacy najwięcej tego mięsa jedzą? No, przy specjalnych okazjach – w święta i w plenerze. A więc wiecie: zbliżają się Spring Holidays, potem majówka i Kościół ramię w ramię z PiS-owskim państwem, jak zawsze zresztą, będzie stwarzał warunki do tej nienaturalnej i nienowoczesnej konsumpcji.

Nic więc dziwnego, że tak płaczą na te nieszczęsne osoborobaki, które przecież nawet nie są wegańskie, chociaż mięsa to i może dużo na nich nie ma. W każdym razie: kochani, to, co możemy zrobić, to edukacja, edukacja i jeszcze raz edukacja.

A mówiąc prościej: jak już pojedziecie na Spring Holidays czy majówkę do tych swoich małych ośrodków, to tak uprzykrzajcie pozostałym domownikom życie swoim ględzeniem, żeby na wasz widok chowali wszystkie kiełbasy i kotlety. Zakładamy, że będą woleli jeść ich mniej albo w skrytości niż słuchać waszych wywodów o konieczności zrównoważonego rolnictwa i ograniczenia podaży mięsa na polskich stołach.

À propos mięsa i zwyczajów żywieniowych. Widzieliśmy też inne badanie (znacie to nasze socjologiczne zacięcie), że Polacy, jak jeżdżą na ferie czy wakacje, to decydują się wynajmować pokoje z aneksami kuchennymi, iżby samemu sobie gotować i ograniczyć konieczność jedzenia w restauracjach.

No klasyk. Podobnie jak to, że jeżdżą starymi samochodami czy mieszkają w starych, wysokoemisyjnych domach. Ten mindset Polaka to jest chyba nie do przezwyciężenia. Zamiast korzystać jak cywilizowany Europejczyk z bogatej bazy kulinarnej najpopularniejszych kurortów, to oni wożą słoiki nawet na wakacje. Straszna siara.

No ale nic dziwnego, bo to mięso, o którym była też dzisiaj mowa, muszą za coś kupować, a żeby na czymś zaoszczędzić, wożą na wakacje własne mięso, żeby potem kupować go jeszcze więcej. Strasznie pokrętna logika, ale kto by tam nadążył za tymi Polakami. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Stawiamy na świeckość

Donald, na litość boską, ty nie możesz tak robić!
Po pierwsze, Iza, ustaliliśmy, że odzwyczajamy się od tych wszystkich „na litość boską", „o Boże" i tak dalej. Stawiamy na świeckość. A teraz powiedz, czego nie mogę niby robić.

No, tak mieszać tego! Najpierw te kredyty zero procent, potem mówisz, że wracamy do liberalnego kursu, potem wyjeżdżasz z jakimś „babciowym", a potem to mnie pytają w telewizji, jak to spiąć.
No i co?

No właśnie: co? Co ja mam im powiedzieć, jak to się nie da.
Ale jak się nie da? Przecież powiedzieć wszystko można.

Ja mam cię tego uczyć? To są podstawy. Obiecamy, a jak wygramy, to wtedy będziemy się martwić.

Ale konkretnie: jak mam im odpowiedzieć, kiedy mnie zapytają, skąd my na to weźmiemy pieniądze?
Powiedz, że to są takie różne kwoty, które wynikają z różnych takich działań. To się już kiedyś sprawdziło.

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„My wygramy te wybory, chyba że popełnimy jakiś zasadniczy błąd".

DONALD TUSK, *lider PO, podczas spotkania z wyborcami na Żywieczczyźnie*

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Niczym się tak Polacy nie ekscytują, jak jedzeniem i sondażami. Z okazji roku wyborczego postanowiliśmy połączyć te pasje w nowy cykl sondaży „Gotuj z Donaldem". W dzisiejszym wydaniu: Co gwarantuje pokonanie PiS? Jedzenie kanapek z rzodkieweczką – 6 proc., kanapek wieloskładnikowych – 34 proc., kanapek z pomidorkiem – 26 proc., nie jem kanapek – 19 proc., reszta: nie mam zdania. Za tydzień – co bardziej pomoże pokonać PiS: jedzenie jajeczek na miękko, na twardo, sadzonych czy może po benedyktyńsku.

Dla tych, którzy nie rozumieją naszej obsesji na punkcie Donalda i jedzenia – zwróćcie uwagę, że to on zaczął i nie zna umiaru. Niedawno znów grasował po ryneczku, fotografując się z pomidorami. No po prostu Pan Pomidor. Albo, jak kto woli, Mister Ukochany Schaboszczak.

Głównym darczyńcą tzw. sondażu obywatelskiego była fundacja pewnego nieczynnego już polityka

Oczywiście żarty sondażowo-warzywne mają związek z odpaleniem przez „GazWyb" tzw. sondażu obywatelskiego. Miało z niego wynikać, że tylko wielka zbieranina partyjna jest w stanie pokonać PiS. Po trzech dniach udostępniono tzw. dane wyjściowe. Mądrzy ludzie postanowili więc powiedzieć: „Sprawdzam". Sprawdzili i wyszło, że hucpa. Prawie wszystkich, którzy byli niezdecydowani, policzono jako zwolenników wielkiej zbieraniny, w dodatku aż 11 proc. pytanych o preferencję wskazało odpowiedź: „Inna partia". We wszystkich innych sondażowniach taką odpowiedź wybiera zwykle góra 3 proc. respondentów. Jak widzicie, to pachnie przewałem na kilometr.

Uwaga, nie koniec! Największy przewał w powyższym przewale to sposób przeliczania poparcia na mandaty. Potraktowano bowiem Polskę jako jeden wielki okręg wyborczy. Dało to wielkiej zbieraninie wynik marzeń, czyli 240 mandatów. Problem w tym, że okręgów jest 41 i to na poziomie każdego z nich będą dzielone mandaty. Mądrzy ludzie przeliczyli, że nawet w podkręconym wariancie z powyższego przewału wielkiej zbieraninie przypadłoby w najlepszym razie 210 mandatów. A większość sejmowa to 231 posłów. Innymi słowy – na chwilę obecną nawet z kręconych sondaży wynika, że Eine Totalopposition nie ma szans na objęcie władzy.

Nasze wiewiórki przyniosły informację, że głównym darczyńcą tego tzw. sondażu obywatelskiego o zaletach wielkiej zbieraniny była fundacja pewnego nieczynnego już polityka. Fundacja też ma w nazwie określenie „obywatelski". No i teraz wszyscy są wściekli na tegoż polityka, bo sondaż nie dość, że nie wymusił jednej listy, to jeszcze doprowadził do dzikiej awantury. Odświeżono nawet nieco zapomniane hasło dotyczące tegoż polityka – musi odejść.

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Kampania – przepraszamy, prekampania – w toku. Spotkania, wyjazdy, podjazdy. Oficjalnie na czas kampanii wyborczej został zakopany topór wojenny między premierem Mateuszem a Zizou Ziobrą – emocjonowały się media w mijającym tygodniu. My nie. Bo wiemy, że oficjalnie to kampania zaczyna się dopiero z chwilą ogłoszenia terminu wyborów. A wcześniej wiele może się wydarzyć. Na razie wiemy, że trwa sondowanie jednego z polityków Solidarnej, który mógłby pociągnąć za sobą kilka, a może nawet kilkanaście szabel od Ziobry. Na stole leżą na razie biorące miejsca do Sejmu, a co ważniejsze – również do europarlamentu. Ale warto rozmawiać. Jak się trochę ponegocjuje, to może i stanowisko ministra się znajdzie. Prawdziwego, konstytucyjnego. Przyglądamy się. Stay tuned.

Jedna trzecia europosłów PiS została tymczasem chwilowo wygnana z raju, tzn. z Brukseli, aby wziąć aktywny udział w kampanii i głosić ludowi słowo Naczelnika. Co ciekawe, do tej grupy nie oddelegowano Achima Brudzińskiego, gdyż uznano, że jego zdolności miękkie są nieco zbyt twarde. Nie jesteśmy przekonani. Twardzi ludzie są wszak potrzebni na trudne czasy.

Na spotkaniach w terenie atmosfera natomiast zupełnie odmienna od tej jesienią, kiedy wszyscy byli przekonani, że nadchodzi wyborcza klęska. Teraz – odwrotnie. Lud PiS-owski dumnie przetrwał zimę, a skrzydeł dodała mu próba „cancelowania" Jana Pawła II. Lud nie jest głupi i widzi z każdego kolejnego sondażu, że wielka akcja cancelowania Jana Pawła II zamieniła się w cancelowanie PeŁo.

Wiecie, co się liczy? Wiecie. Pieniądze. Otóż wszystko wskazuje na to, że jedyną korzyść po lewej stronie z „cancelowania" papieża Polaka odniosła Agora. Czyli wydawca wypromowanej w ten sposób podejrzanej książki „Maxima Culpa. Jan Paweł II wiedział" niejakiego Ekkego Overbeeka, osobnika jeszcze bardziej podejrzanego. Trudno nie wzdychać z żałości, zagłębiając się w wyziewy lektury. Ale uwaga, jest i moment naprawdę zabawny. To czytanie zakładki z hasłem: „Wartościowej i przyjemnej lektury życzy Onet.pl".

Trwa sondowanie jednego z polityków Solidarnej. Na stole leżą biorące miejsca do Sejmu i europarlamentu

Tymczasem w mniejszych partiach tradycyjny kłopot. Jak wiadomo, żeby wystartować, trzeba zebrać odpowiednią liczbę podpisów. Niestety, wiele wskazuje na to, że i zbieranie, i kampania przypadną na okres wakacyjny. Ludzie myślą wtedy raczej o innych rzeczach niż podpisy. Niektórzy więc już pokombinowali i jest odpowiedź: podpisy można już zacząć zbierać. Na przykład pod petycją w jakiejś szczytnej sprawie. A potem podłączyć je, kiedy składa się wniosek o zarejestrowanie komitetu wyborczego. Sprytne, no nie?

Potwierdzamy oficjalnie to, co nieoficjalne: tak, kolejny po Jakubie Kumochu i Marku Magierowskim dziennikarz wybiera się w ambasadory. Dwaj wymienieni się sprawdzili, więc MSZ postanowiło szyć tym ściegiem dalej. A placówka nie byle jaka, bo chodzi o Kijów, z którego zjeżdża Bartosz Cichocki. Kandydatem na nowego ambasadora jest natomiast Jarosław Guzy z PAP. Prywatnie mąż Agnieszki Romaszewskiej kierującej Biełsatem. Bartosz Cichocki jednak nie będzie długo wypoczywał. Ma objąć placówkę w jednym z mniej stresujących niż Kijów miejsc. Obu życzymy powodzenia na nowej drodze życia.

Jak wiecie, z wielką uwagą śledzimy działalność rozmaitych niezależnych organizacji. Zwłaszcza takich, dla których niezależność tożsama jest z nienawiścią do PiS, patriarchatu itd. Dlatego naszej uwadze nie umknęło to, że najnowszy raport o dyskryminacji kobiet, przygotowany przez niezależne Stowarzyszenie Kongres Kobiet, rozsyłany jest przez niezależną Konfederację Lewiatan. Wyniki – jak wyniki, kto ciekaw, znajdzie w necie. Nas bardziej zaciekawiło to, że we władzach Lewiatana zdecydowaną przewagę mają mężczyźni. I co, panowie? Głupio wyszło, no nie?

Mamy też coś z europejskich salonów. Parę tygodni temu do skrzynek wszystkich eurodepów trafiły przesyłki od Komisji Europejskiej. To sprawozdanie z tego, co KE robiła w roku 2021. Tak, nie przesłyszeliście się. Ustalenie przez komisję tego, co właściwie robiła, zajęło jej 15 miesięcy. Ale za to do sprawozdania się przyłożyli. Każdy eurodep dostał broszurę we własnym języku ojczystym.

Ponieważ lubimy czytać, to zdobyliśmy i przeczytaliśmy broszurę. Nudy na pudy. Ale spodobały się nam obrazki. Na przykład rozdział o polityce społecznej i rodzinnej miał tylko jedną ilustrację, podpisaną: „Berlin: rodzina z dziećmi". Na fotografii natomiast, owszem, były dzieci, ale – co ważniejsze – tatuś. I drugi tatuś obok. Co sprawiło, że mamy pomysł na odświeżenie hitu disco polo: „Bo wszystkie tatusie to wielka rodzina, tam, gdzie są tatusie, tam zbędna dziewczyna!".

Apropos czytania: pewnie zauważyliście egzaltowaną panią, która w Częstochowie na spotkaniu z Donaldem Pomidorem czytała mu z kartki laurkę? Praktyka ta spotkała się z niezasłużonym hejtem. Po pierwsze, jesteśmy za rozwijaniem czytelnictwa. Pod drugie, egzaltowana pani powiedziała samą prawdę: „My, jako naród, nie zasługujemy na pana". Zgadza się. My, jako naród, wycierpieliśmy już wystarczająco wiele.

Apropos cierpienia – są w ojczyźnie rachunki krzywd, których nigdy żadne reparacje nie złagodziły. Nie tylko te, których domagamy się od Niemiec. W związku z propozycją Donalda Pomidora, by przysługiwały tylko tym, którzy urodzili się przed 1945 r., mamy pytanie: A dlaczego się ograniczać? Pierwszy rozbiór Polski miał miejsce w roku 1772 i zaborcy nigdy nam za to nie zadośćuczynili. Jak nietrudno zauważyć, wedle wykładni Pomidora zadośćuczynienie należałoby się jednak jedynie urodzonym przed rokiem 1772.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Jak powstaje las?

Polskie lasy, by zachowały trwałość, a zarazem sprostały rosnącym oczekiwaniom społecznym i gospodarczym, corocznie podlegają odnawianiu. Termin ten oznacza w zasadzie jedno – sadzenie nowych drzew. Jak sadzimy drzewa w lasach?

Słownikowe pojęcie sadzenia definiuje tę czynność jako umieszczanie w ziemi sadzonek. W przypadku lasów sadzonkami są nieduże drzewka. Większość od wykiełkowania nasion żyła od roku do dwóch lat. Sadzenie, choć najpowszechniejsze, nie jest jedyną metodą, jaką stosują leśnicy. Aby odnowić las, imają się różnych sposobów. Jakich?

ZE SZPADLEM I POD KOSTUR

Dziś sam proces sadzenia odbywać się może dzięki pracy ludzkich rąk lub maszyn. W pierwszym przypadku, jak na razie najpopularniejszym, kluczowym elementem jest para ludzi, z których jedna osoba wykonuje otwór na sadzonkę, a druga wtyka weń drzewko, uważając, by nie zagiąć korzeni, bo wtedy drzewko może nie urosnąć lub wzrastać w sposób gospodarczo niewłaściwy. Na koniec miękki grunt wokół drzewka trzeba udeptać. Puste, wypełnione powietrzem przestrzenie to dla delikatnych korzeni brak kontaktu z wilgocią gleby.

Dołek można wykopać – gdy drzewka są większe – lub można zrobić szparę za pomocą specjalnego narzędzia określanego jako kostur. W ten sposób do gruntu trafiają jednolatki, drzewka najmłodsze i najmniejsze. Sprawna para posługująca się kosturem jest w stanie posadzić w ciągu dnia nawet kilka tysięcy młodych sosenek.

JAKIE SADZONKI?

W metodzie tej wykorzystuje się także sadzonki z bryłką, czyli takie, które przypominają kwiaty doniczkowe – rosną w grudce torfu, wzmocnionej nawozami i szczepami grzybów mikoryzowych. W przypadku gdy sadzenie wykonuje maszyna, system jest nieco odmienny. Sadzarki stosowane w lasach, mocowa-

eprasa.pl 1a5fd4df8c

ne na zaczepach ciągników rolniczych, działają na prostej zasadzie – niewielki pług przygotowuje rowek, a specjalne koło z podajnikami, w które obsługujący sadzarkę wkłada sadzonki, wciska je w glebę. Następnie są one „udeptywane" przez specjalne koła dociskowe. Leśnicy jednak nie spoczywają na laurach i szukają kolejnych rozwiązań wspomagających sadzenie nowych lasów. Jednym z nich jest maszyna – na razie prototypowa – o nazwie RoboFoR, powstała we współpracy z naukowcami z uczelni leśnych i technicznych. Będzie ona mogła zdalnie lub samodzielnie sadzić las nawet w warunkach górskich, a więc niebezpiecznych i trudnodostępnych dla człowieka, w zróżnicowanych warunkach pogodowych.

Kolejną z metod jest siew. Wydawać by się mogło, że lasu posiać się nie da. Otóż jest to nie tylko możliwe, lecz także skuteczne. Jednak aby takim było, leśnicy muszą wyposażyć się w siewnik i przygotować glebę pod siew, czyli najnormalniej w świecie ją wzruszyć, w przeciwnym razie nasiona nie skiełkują. Sam siewnik może być dwojakiego rodzaju – napędzany siłą mięśni, czyli ręczny, lub zawieszany na ciągniku. Metoda siewu sprawdziła się szczególnie na terenie nadleśnictw, które w roku 2017 nawiedził huragan. Tam powierzchnia, którą leśnicy musieli na nowo zalesić, była tak ogromna, że każdy pomysł spotykał się z entuzjazmem.

Ostatnią metodą jest odnowienie naturalne, czyli obsiew drzew. Ta metoda wymaga zasadniczo tylko pewnego przygotowania gleby pod okapem drzewostanu, by ułatwić wykiełkowanie nowych drzew.

SADZONKOWE PRZEDSZKOLE

Skąd jednak biorą się nasiona i sadzonki, wykorzystywane przy odnowieniach lasu? Pierwsze są zbierane np. przez grupy specjalnych arborystów, którzy potrafią przemierzać korony drzew, zbierając szyszki z nasionami, przy okazji ich nie uszkadzając. W przypadku drzew liściastych, jak dęby czy buki, zbiera się nasiona ręcznie, z wykorzystaniem choćby specjalnych siatek, znanych także z sadownictwa. Tak zebrany materiał siewny trafia do specjalnych wyłuszczarni nasion, które zajmują się ich przygotowaniem – jak choćby wyjęcie z szyszek – i przechowywaniem w specjalnych warunkach termicznych, wilgotnościowych i świetlnych. Stamtąd trafiają albo bezpośrednio do siewu, albo do szkółek leśnych. Te dzielą się na otwarte, zwane też podokapowymi, przypominające nieco ogródkowe grządki, na których rosną młode drzewa, lub kontenerowe, zamknięte, w których rosną one w specjalnych pojemnikach. Stąd w postaci gotowej do posadzenia – z odsłoniętym systemem korzeniowym ze szkółek otwartych i w bryłce z kontenerowych – dostarczane są wprost do miejsca, gdzie mają zamienić się w nowy las.

Lasy Państwowe dbają także o to, by nasiona drzew – i to nie tylko gatunków cennych ze względu na swe walory przyrodnicze czy gatunkowe – przetrwały jak najdłużej. W tym celu powołały Leśny Bank Genów w Kostrzycy, będący miejscem, w którym zachowuje się leśne zasoby genów, a także prowadzi rozliczne rejestry dotyczące materiału siewnego (i nie tylko) z terenu całej Polski.

#SADZIMY

Prace zalesieniowe odbywają się w Lasach Państwowych dwa razy w roku. Pierwsze mają miejsce wiosną, zazwyczaj w ciągu dwóch tygodni od rozpoczęcia sezonu wegetacyjnego, oraz na jesieni, przed nadejściem mrozów. I to jest właśnie moment, w którym każdy z Polaków może poczuć swą współodpowiedzialność za ojczystą przyrodę. Jak mówi Józef Kubica, dyrektor generalny Lasów Państwowych: – Corocznie sadzimy w lasach 500 mln drzew. Dzięki naszej pracy rośnie powierzchnia lasów i ich zasobność. Ale wszyscy Polacy mogą nam pomóc w tym, by drzew w kraju było jak najwięcej. Zachęcam, by wziąć drzewko od leśników i posadzić je na własnej działce, przy domu czy tam, gdzie pracujemy.

Dlatego też, wespół z Prezydentem RP, zainicjonowana została akcja #sadzimy, będąca odpowiedzią na zniszczenia w lasach spowodowane przez huragan z roku 2017, zachęcająca do czynnego uczestniczenia w tym wielkim leśnym święcie. A warto to robić, ponieważ każde nowo posadzone drzewo to nie tylko źródło tlenu i pochłaniacz dwutlenku węgla, lecz także trwały ślad, który pozostawiamy kolejnym pokoleniom. Leśnicy od czasów drugiej wojny światowej, działając zgodnie z systemem odnawiania tego, co zostało wycięte, a także zalesiania terenów, które były nieprzydatne dla gospodarki rolnej, zwiększyli lesistość Polski o dziewięć procent, do obecnej wielkości 30 proc. I w dalszym ciągu hołdują zasadzie, że jeśli gdzieś zostanie usunięte drzewo, to w jego miejsce sadzone jest kilka kolejnych. Dzięki tym działaniom trwałość polskich lasów pozostaje niezagrożona.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Jerzy Karwelis

Odbywa się proces, który jest dobrowolnym zrzeczeniem się naszej niepodległości w kolejnych dziedzinach

Uzurpatorzy

FOT. ADOBE STOCK

Kiedy się oglądało filmy o pandemiach, człowiek zawsze się łapał, że gdzieś tam na świecie siedzą na dyżurze jacyś specjaliści, coś jak strażacy, którzy czekają bezczynnie dniami i nocami, aż do momentu, kiedy są światu potrzebni, tak że później świat dziękuje na kolanach takim cichym rycerzom ostatniej godziny. W filmach były to zawsze jakieś tajemnicze agencje, które w niezauważalny sposób monitorowały beztroską ludzkość, a jak przyszło co do czego – ubierały się w kosmiczne kombinezony i stawały na pierwszej linii. Tak było do COVID.

WHO IS WHO?

Nagle się okazało, że tym interesem zawiaduje właściwie jeden ośrodek. Nazywa się Światowa Organizacja Zdrowia i jest instytucją działającą w ramach ONZ. Co najważniejsze – ustala światowe normy i standardy np. dotyczące składu lekarstw i jakości żywności, tworzy politykę zdrowotną opartą na wiedzy naukowej, zarządza kryzysami zdrowotnymi, śledzi i ocenia tendencje zdrowotne na świecie. Okazało się, że kwestia „zarządzania kryzysami zdrowotnymi" stała się kluczowa w roli, jaką w covidowej pandemii odegrała WHO, bo to ona ogłosiła pandemię. W dodatku odbyło się to w sposób wielce niejasny, gdyż jej szef określił, że mamy do czynienia z chorobą, która „MOŻE być określona jako pandemia".

Żeby zrozumieć rolę i „strategię" WHO, trzeba – jak to mówią Amerykanie – „follow the money", czyli pójść za pieniądzem, by zobaczyć, jak działa cały interes. Mamy tu zwodniczą dwoistość: budżet organizacji oraz budżet sponsorów.

Zajmijmy się tym pierwszym. Budżet WHO to 7,5 mld dol., ale tylko 2 mld dol. pochodzą ze składek. Składkowcy WHO to 194 kraje, co jest bezpośrednim transferem członkostwa w ONZ. Najwięksi donatorzy to: Niemcy (17,13 proc.), Bill and Melinda Gates Foundation (9,49 proc.), USA (7,15 proc.), Komisja Europejska (6,53 proc.), Gavi Billa Gatesa (5,99 proc.). Wkład Polski to 7,5 mln dol. rocznie. Prawie 29 proc. budżetu WHO pochłania koszt utrzymania siedziby głównej. Jak widać, już na poziomie członkowskim mamy do czynienia z prywatnymi donatorami, głównie pośrednikami Big Pharmy. Ale nie tu jest haczyk – gros wydatków WHO idzie przez nią kanałem zleceń bezpośrednich od wielkich firm farmaceutycznych na programy i badania.

W 1950 r. budżet WHO pochodził ze składek członkowskich. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat ten strumień finansowania się wyczerpał. Pozbawiona finansowania publicznego WHO musiała polegać na dobrowolnych wpłatach od państw darczyńców, prywatnych filantropów, firm i organizacji pozarządowych. W przeciwieństwie do funduszy pochodzących z opłat indywidualni darczyńcy mogą przeznaczać środki „pozabudżetowe" na dowolne cele, omijając w ten sposób kontrolę WHO. W 1970 r. te prywatne wpłaty stanowiły jedną czwartą budżetu agencji. W 2008 r. stanowiły już prawie 80 proc. Tak więc to prywatni darczyńcy, a nie WHO, mogą teraz decydować o priorytetach tej organizacji i w ten sposób kształtować globalny program zdrowotny.

A jakie są priorytety Big Pharmy? Wiadomo, że zysk, ale polegający na sprzedawaniu drogich markowych leków, w dodatku na masową skalę. Dlatego chętnie są „witane" wszelkie nowe choroby, deprecjonowany jest leczniczy efekt leków, które już straciły ochronę

eprasa.pl 1a5fd4df8c

z WHO

patentową i mogą być tanio produkowane. Wszystko to zobaczymy w zwierciadle covidowym. Spektakularnym przykładem takiego wpływu może być fakt, że w 1998 r. 39 największych firm farmaceutycznych pozwało rząd RPA za wprowadzenie w życie ustawy mającej na celu zwiększenie dostępności leków antyretrowirusowych dla biednych ludzi umierających na AIDS.

Według analizy budżetu organizacji na lata 2004–2005 91 proc. środków pozabudżetowych WHO zostało przeznaczonych na choroby, które odpowiadają za zaledwie 8 proc. światowej śmiertelności. Biorąc pod uwagę dominację funduszy pozabudżetowych w ogólnych wydatkach, WHO wydała 60 proc. swoich środków na choroby, na które przypada zaledwie 11 proc. światowej śmiertelności. Znaczna część środków została przeznaczona na rozwój szczepionek przeciwko chorobom zakaźnym, co jest zgodne z ogólną preferencją przemysłu prywatnego, który przedkłada drogie, zaawansowane technologicznie badania nad tanią profilaktykę.

REPUTACJA

WHO nie spadła z pandemicznego nieba. Ślad jej transformacji z ciała ogólnoświatowego odpowiadającego za światowe zdrowie na machinę transferu interesów Big Pharmy na zdrowie publiczne w celach zdecydowanie merkantylnych widać już od dawna. To duża organizacja biurokratyczna. Pokazuje to pewne priorytety. Rocznie organizacja wydaje ok. 200 mln dol. na podróże. Za to w takim 2016 r. WHO wydała ok. 71 mln dol. na AIDS i zapalenie wątroby. Na malarię przeznaczyła 61 mln dol. W celu spowolnienia rozprzestrzeniania się gruźlicy WHO zainwestowała 59 mln dol. Niektóre programy zdrowotne są jednak wyjątkowo finansowane – agencja wydaje co roku ok. 450 mln dol. na walkę z polio, co – dla mnie – oznacza, że czają się tam interesy szczepionkowe producentów.

WHO to seria skandali. Największa afera wyniknęła z wirusem ebola w latach 2013–2016. Okazało się, że choroba nim wywołana szalała już w Afryce ok. dwóch miesięcy, zanim WHO ogłosiła stan pandemii. Spowodowało to rozprzestrzenienie się choroby i wzrost śmiertelności, której dałoby się uniknąć. Zastanawiające jest tłumaczenie się z odkrytego, nieujawnionego przez WHO opóźnienia. Oficjele tłumaczyli, że nie ogłoszono pandemii, choć o niej wiedziano, bo „mogłoby to rozgniewać kraje afrykańskie, zaszkodzić ich gospodarkom lub zakłócić pielgrzymkę muzułmanów do Mekki". Gdy się później popatrzy, że w przypadku COVID nic nie powstrzymywało WHO od siania paniki, to widać, że na czasy covidowe odrobiono lekcje.

Mamy też seksafery. W latach 2018–2020, kiedy WHO walczy z ebolą w Republice Konga, dochodzi do serii – wykrytych – nadużyć seksualnych. Ponad 50 kobiet oskarża pracowników WHO o nadużycia związane z uzależnieniem przyjęcia do pracy w zamian za usługi seksualne. Powstaje specjalny raport, ale szef WHO zamiata brudy pod dywan, nikt nie ponosi odpowiedzialności. No, chyba że jest to (znane z innej organizacji) przeniesienie na inną placówkę.

Mamy też przewodniczącego WHO, który jest osobną dziurą w reputacji. Tedros Adhanom Ghebreyesus to ciekawa postać. Etiopczyk, maoista, członek rewolucyjnej ultralewicowej partii TPLF, wpisanej na listę organizacji terrorystycznych. W rządzie odpowiedzialny był za zdrowie, a więc „po linii zdrowotnej" tuszuje tortury przeciwników politycznych, a także – przed WHO, czyli swym przyszłym pracodawcą – przypadki ognisk cholery w swoim kraju. Tedros w 2017 r. jest mocarną ręką wyciągnięty na stanowisko szefa WHO przez szefa komunistycznej partii Chin, Xi Jinpinga. Trzeba dodać, że jest to gest… patriotyczny ze strony Tedrosa, gdyż jego rodzinna (czy maoiści mają w ogóle ojczyzny?) Etiopia siedzi w chińskiej kieszeni.

Tedros odpłaca w COVID, uznając postępowanie władz chińskich za „wzorcowe", organizuje misje kontrolne, które wykazują, że wszystko jest w porządku, zwłaszcza ze szczelnością feralnego laboratorium w Wuhan. Jest zachwycony „otwartością" Pekinu na współpracę, podczas gdy władze chińskie bezczelnie fałszują dane i stosują ciekawą taktykę rozprzestrzeniania wirusa, blokując lokalne loty i nie wstrzymując lotów międzynarodowych. Ta postawa WHO, a w szczególności Tedrosa prowokuje ówczesnego prezydenta Trumpa do działań odwetowych: ten nazywa nowego wirusa „wirusem chińskim" i zawiesza, wraz ze składkami, członkostwo USA w WHO. Oczywiście nowy prezydent przywraca status quo i wszystko wraca do normy.

Do dziś trwają spory, czy działanie WHO jest sterowane przez Chiny z powodów finansowego zainteresowania jej przewodniczącego czy tylko wspólnej grupy ideologicznej krwi. Wszak wyznawany przez Tedrosa maoizm to wymysł chiński, w dodatku – dla przypomnienia – jest to ideologia na lewo od trockizmu, czyli wydaje się, że już bardziej na lewo nie można.

WHO A PANDEMIA

Jak już wspomniałem, z racji swoich prerogatyw WHO ogłosiła pandemię koronawirusa. Dziś coraz częściej krok ten oceniany jest jako nadmiarowy. Łączył

eprasa.pl 1a5fd4df8c

się z tym, że nagle zaczęto testować, czego nikt nie robił do tej pory, jeden z wirusów paczki sezonowych gryp. I testy, w dodatku w większości fałszywie pozytywne, zaczęły coś pokazywać. Od początku było wiadomo, że mamy do czynienia z wirusem o szybkiej transmisji i niskiej śmiertelności. Z badań wynika, że większej szkody niż wirus narobiła ludzka walka z nim, czyli decyzje w zarządzaniu zdrowiem publicznym, którymi generalnie zawiadywała WHO za pomocą swych rekomendacji.

Te zaś „rozlały się" międzynarodowo i – jak wspominałem wyżej – były bardziej na rękę interesom Big Pharmy niż powstrzymaniu efektów pandemicznych, w tym efektów błędnych decyzji. Odcięcie chorych od służby zdrowia, teleporady, triaż szpitalny, wycięcie wszelkich lekarstw, późne leczenie, a właściwie nieleczenie, lockdowny, izolacje, maseczki – w końcu szczepienia, to wszystko szło z jednego centrum. Nasi polscy eksperci odgrywali tu rolę obecnych urzędników w kleszczu z Unią: otrzymywali rekomendacje, tłumaczyli na nasze, coś tam lokalnie podostrzyli, żeby się wykazać „polskim" wkładem. I poszło. Wszędzie.

Gdy się spojrzy wstecz, a teraz już można, bo są dane, które wychynęły spod kamienia paniki, to widać cały ciąg efektów takiej strategii. Na początku panika medialna: idzie nieznany wirus, nie mamy antidotum, ratuj się kto może, a więc pod skrzydełka władzy, a ta słucha się „fachowców" z WHO. Pierwszej fali nie było, wystarczy spojrzeć na wykres zgonów. Nie na wykres zakażeń, który rósł rozdmuchiwany zwiększonym testowaniem, co jest logiczne. Fale zgonów, w dodatku wcale niecovidowych – patrz: fałszywie pozytywne wyniki – zaczęły się podnosić, dopiero kiedy przyszły rachunki za dług zdrowotny: nieleczenie, brak diagnozowania, przerwane terapie, odkładane operacje, wreszcie wywalanie ludzi ze szpitala z „prawdziwymi" chorobami, by wpuścić do ujednoimiennionych szpitali ofiary grypopodobnego zakażenia o śmiertelności góra 0,15 proc.

Ja to oceniam jako przygotowanie do realizacji celu nadrzędnego – masowej akcji szczepiennej, o którą będą błagali spanikowani ludzie. Dowód? Proszę bardzo: kompletnie wycinano jakiekolwiek leki na to paskudztwo. Nawet takie, które działały. Ba – używane od dziesięcioleci, takie, które uratowały miliony ludzi, nagle okazywały się śmiertelnie trujące. Amantadyna – be, iwermektyna – także. Hydrochlorochina – śmiertelna, choć – jak mówił dr Bodnar (ten od amantadyny) – lekarze sami ją sobie ordynowali, ale do ludu nie puszczali. Jaki to dowód? Ano taki, że jednym z trzech warunków dopuszczenia szczepionki w trybie awaryjnym, bez dobrego zbadania jej skuteczności bezpieczeństwa, jest brak leku na chorobę, której szczepionka ma zapobiec. A więc nie mogło być żadnego lekarstwa na COVID-19, bo inaczej nie dałoby się wprowadzić w ciągu kilku miesięcy nieprzebadanej szczepionki dla całej ludzkości. W czyim to było interesie i kto to zrealizował, to chyba jasne.

WHO ĆWICZY PANDEMIE Z BIG PHARMĄ

To jest ciekawy poziom współpracy światowej organizacji z prywatnym kapitałem. Trenują scenariusze pandemii. Bóg raczy wiedzieć, czemu z prywaciarzami, ale każda wersja wytłumaczenia tego fenomenu prowadzi do wizji spiskowych, co źle o tych wizjach nie świadczy.

Najciekawsza była symulacja Event 201. Czas – 8 października 2019 r., sześć tygodni przed pojawieniem się pierwszego sygnału o koronawirusie. Zwołuje ćwiczenia Światowe Forum Ekonomiczne, uczestniczą: Centrum Bezpieczeństwa Zdrowotnego Johnsa Hopkinsa (sponsorowane przez Gatesa) w partnerstwie ze Światowym Forum Ekonomicznym oraz Fundacją Billa i Melindy Gatesów. Wnioski są zaskakujące, ale nie co do samej epidemii, tylko pożądanych scenariuszy działań. Okazuje się, że później pokryją się one w znacznej mierze z działaniami władz, które nie uczestniczyły w symulacji. Podczas spotkania pada wiele niepokojących i zastanawiających słów. „Rządy muszą być skłonne do robienia rzeczy, które nie mieszczą się w ich perspektywie historycznej – będą musiały postępować jak w sytuacji stanu wojny". Przewiduje się, że pojawi się w społeczeństwie „nieufność dotycząca systemu opieki zdrowotnej w ujęciu bardziej ogólnym, że nawet zanim pandemia się zaczęła, ruch antyszczepionkowy był bardzo silny i rozprzestrzeniał się szczególnie poprzez media społecznościowe, więc aby utrzymać zaufanie do farmaceutyków, rządy będą musiały zwiększyć wysiłki w zakresie egzekwowania przepisów dotyczących fake newsów"... Słuchając tych rozmów, rodzi się pytanie: Czy to ćwiczenia czy tworzenie gotowego scenariusza przyszłych działań?

Ten format jest kontynuowany. Odbyło się bowiem najnowsze spotkanie symulacyjne. Podczas dorocznego spotkania Grand Challenges w Brukseli 23 października 2022 r. zebrało się kolejny raz grono symulantów. Ponieważ przed COVID ta grupa dość dokładnie przewidziała wystąpienie wirusa, może dobrze posłuchać, co nowego teraz wyszło, bo zapewne się sprawdzi. Nie wiadomo, czy to dlatego, że takie grono jest przewidujące, czy dlatego, że ma środki sprawcze, by urzeczywistniać swoje prognozy, a może plany? Co nas więc może czekać?

Ćwiczenie symulowało serię spotkań rady doradczej WHO ds. zdrowia w sytuacjach kryzysowych, poświęconych fikcyjnej pandemii, rozgrywającej się w niedalekiej przyszłości. Uczestnicy zastanawiali się, jak zareagować na epidemię w jednej części świata, która następnie szybko się rozprzestrzeniła, stając się pandemią o wyższym wskaźniku śmiertelności niż COVID-19 i dotykając w nieproporcjonalnym stopniu dzieci i młodzież. Uczestnicy zostali postawieni przed wyzwaniem podjęcia pilnych decyzji politycznych przy ograniczonych informacjach i w obliczu niepewności.

Nie mogło być lekarstwa na COVID-19, bo inaczej nie dałoby się wprowadzić nieprzebadanej szczepionki

Wnioski? Więcej cukru w cukrze, czyli tak, jak myślałem – więcej władzy do centrali WHO. Będzie jeden konsensus zdrowotny ustanowiony przez mianowanych liderów zdrowia, większe obostrzenia, żadnych dyskusji, oczywiście ograniczenie rozprzestrzeniania się szkodliwych informacji. Stara – już – śpiewka. Wiadomo jedno – teraz przyjadą po ciebie goście, co prawda od Niedzielskiego, ale

eprasa.pl 1a5fd4df8c

w kosmicznych kombinezonach z napisem „WHO". Coś jak u nas ze szczepionkami, nasi wdrożyli, ale to Unia kupowała i kazała, a więc rączki z tyłu i my niewinni. Co prawda, wcześniej w ramowych decyzjach „nasi" się zgodzili na takie obce ingerencje. Ale kto to będzie pamiętał, jak teraz nikt nie wie?

WIĘCEJ WŁADZY

Głosy pojawiały się już na początku pandemii. Że trzeba to wszystko robić w sposób skoordynowany, a nie tak jak wtedy, każdy na swoją modłę. Wirus jest międzynarodowy, broń Boże rasistowski, wszędzie działa tak samo, a więc podejście powinno być jednolite, wedle wspólnego standardu, którego autorem powinno być WHO. Postulaty wcale nie wynikały z epidemiologicznej skuteczności. Chodziło o syndrom Szwecji.

Ta od początku pandemii, uznawszy, że wirus jest mało śmiertelny, jak potwierdzała nawet ówczesna nauka, postawiła na jedno – skoro wirus nie zabija strasznie, a jest wysoce transmisyjny, nie ma co wysadzać państwa w powietrze, walcząc z nieuniknionym. I tak się wszyscy zakażą, a wirusa – wtedy byliśmy bez świadomości „cudownego" działania szczepionek – można powstrzymać jedynie poprzez masowe nabycie odporności. No, logiczne. Cały świat rzucił się wtedy na Szwecję, że tam ludzi skazano na śmierć. Rzeczywiście – na początku była kośba po domach opieki, ale dlatego, że personel… uciekł i tam nawet nie było komu podać jedzenia. Potem, gdy Szwecja się ogarnęła, ale nie dała się zepchnąć z wybranej drogi, okazało się, że nadmiarowe zgony Szwecja ma najniższe w porównaniu z krajami „walczącymi". I głównie, jeśli chodzi o postulowane ujednolicenie podejścia do COVID, to chodziło o to, że jak wszyscy będą robili to samo, to… zniknie baza porównawcza. Bo teraz przykład Szwecji jest widoczny z kilometra (dla tych, którzy chcą patrzeć), jak tarantula na torcie.

Zabrano się porządnie do roboty. W marcu 2021 r. zbiera się 25 szefów rządów i międzynarodowych agencji i powołują proces negocjacyjny nowego traktatu pandemicznego, który ma zmienić istniejącą konstytucję WHO, a także uzgodnione w 1951 r. i poprawione w 2005 r. Międzynarodowe Przepisy Zdrowotne. W skrócie – WHO z ciała doradczego (smutna konstatacja COVID) ma się stać ciałem decyzyjnym. W ramach traktatu ma otrzymać nieodwoływalne i niezaskarżalne kompetencje, ponad decyzjami poszczególnych państw. Zobaczmy, co to jest.

WHO będzie mogła decydować o światowych rozwiązaniach w następującym zakresie: badania lekarskie, dowody na stosowanie profilaktyki, dowody na wzięcie szczepionki, śledzenie kontaktów, kwarantanna i leczenie. Co najciekawsze, może wprowadzać nakaz certyfikatów zdrowotnych, certyfikacji profilaktyki, certyfikacji uzdrowienia czy lokalizacji pasażerów. A więc będzie to de facto światowe ministerstwo zdrowia.

Jest jeszcze jedna grupa światowych kompetencji do przekazania do WHO. To kwestia informacji. WHO będzie zawiadywała na poziomie światowym walką z pandemiczną dezinformacją. Nie dość, że epidemiologicznie nie może się powtórzyć casus Szwecji, to to samo ma być z mediami. A w COVID nie było. Były jakieś gorszące nieszczelności w przekazie, sianie wątpliwości, inne narracje, nawet jacyś eksperci w fartuchach. Tak być nie może. Ma być jedna linia, jeden przekaz i… jeden cenzor. We wszystkich dokumentach aspekt walki z dezinformacją (czytaj: z pluralizmem informacyjnym) jest stawiany na równo z kwestiami zdrowotnymi. Świadczy to o poparciu tezy, że koronawirus już dawno nie jest zagadnieniem medycznym, tylko informacyjnym. Równie mocno, a może i mocniej ma człowiekowi szkodzić fakt wystawiania go na wątpliwości niż wystawianie go na przeziębienie.

Pamiętam wykład guru globalistów, niejakiego Harariego, w Poznaniu na konferencji Impact. Chorąży New World Order wskazał wtedy przykład COVID i WHO jako uzasadnienie globalistycznych planów. Popatrzcie – mówił – świat zareagował lokalnie i doszło do tragedii: miliony ofiar, zrujnowana gospodarka, niepokoje społeczne, upadek (he, he) klasy średniej. To wszystko przez niejednolitość działań i egoizmy narodowe. Niech COVID będzie lekcją, że trzeba to scentralizować. W zglobalizowanym świecie mamy problemy wyłącznie globalne, a więc pojedyncze państwo sobie z tym nie poradzi i trzeba zewrzeć szeregi.

Ale tak naprawdę to główne problemy z COVID wynikają właśnie tam, gdzie globalnie popełniono błędy. Teraz się przekornie zrzuca je na najmniej winnych – różnice w postępowaniu krajów, które dały różne wyniki. A pomyślmy, że – jak chcą Harari, Schwab czy WHO – wszyscy postąpiliśmy na świecie, jak sobie to jedno centrum wyobrażało. Bylibyśmy już zdepopulowani za COVID z dogrywką na śmiertelne efekty szczepionek, tym razem na skalę globu. Choć i bez totalnej kontroli WHO poszczepienne bomby zegarowe wciąż krążą w żyłach miliardów ludzi.

Ten proces to nie są fantasmagorie. Ministrowie się już zgodzili, nasi też, bo Polacy też tam wiodą sanitarystyczny prym. Wszystko idzie w mechanizmie negocjacyjnym na razie nieźle, choć ostatnio kraje Afryki i Ameryki Południowej się postawiły. Ale cóż – taki (były) prezydent Brazylii Bolsonaro oświadczył, że po jego trupie WHO dostanie taką władzę nad jego krajem. I co? I nie ma już pana prezydenta, jest za to kryminalny następca, który wziął już piątą dawkę szczepionki i oświadczył, że będzie je brał do końca życia i o jeden dzień dłużej. Terminy są rozpisane, najbliższe spotkanie w kwietniu, horyzont ukończenia prac – 2024 r.

Żebyśmy się dobrze zrozumieli. Odbywa się proces, w którym uczestniczą nasze jak najbardziej patriotyczne władze, który jest kolejnym – po unijnych dopalaczach traktatowych i milowych – dobrowolnym zrzeczeniem się naszej niepodległości w kolejnych dziedzinach. Nasi reprezentanci uczestniczą w tym mechanizmie, media o tym milczą. Tedros dostaje władzę absolutną, sam może ogłosić epidemię wedle własnego rozeznania i woli, i nie musi się przed nikim tłumaczyć. Mechanizm jest gotowy – jak maszyna vendingowa, czeka na żeton dowolnego wirusa, który uruchomi gotowe urządzenie. Huczą wojny, krążą błahe ekscytacje plemienne, a tu młyny totalitarnego globalizmu pracują wytrwale. Okienko wolności powoli się domyka. W końcu najważniejsza covidowa konstatacja, że z postrachaną ludzkością można zrobić wszystko, doczekała się wyciągnięcia ostatecznych wniosków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Wirus
na usługach brytyjskiej władzy

Agnieszka Golańska-Bault

Z ujawnionych dokumentów wynika niezbicie, że decyzje o bardzo rygorystycznych lockdownach w gospodarce, ograniczeniach w dostępie do służby zdrowia, zamknięciach szkół, noszeniu masek i wielu innych dotkliwych restrykcjach mających zgubny wpływ na życie i zdrowie stały się narzędziem cynicznej manipulacji podporządkowanej celom politycznym i wizerunkowym sprawujących władzę w Wielkiej Brytanii

Skandal „Partygate", którym żyła brytyjska opinia publiczna rok temu, a który przyczynił się do ustąpienia ze stanowiska premiera Borisa Johnsona latem ubiegłego roku, okazał się preludium do poważnej i gorącej debaty na temat strategii zarządzania kryzysem zdrowotnym związanym z COVID-19 w Wielkiej Brytanii. Wiedzieliśmy już, że brytyjscy decydenci wprowadzający w Wielkiej Brytanii kolejne lockdowny i drakońskie ograniczenia swobód obywatelskich osobiście nie stosowali się do nich, np. urządzając w okresie najbardziej surowych obostrzeń zakrapiane alkoholem imprezy i spotkania w budynkach administracji rządowej. Jak się jednak okazuje w świetle kolejnych, ujawnionych niedawno dokumentów opisujących politykę antycovidową brytyjskiego rządu, zachowanie prominentnych polityków gabinetu Borisa Johnsona nie było tylko sztubackim wybrykiem czujących się bezkarnie ministrów i urzędników. Chodzi o coś bardziej poważnego, o polityczną instrumentalizację sanitarnego kryzysu i jego cyniczne wykorzystywanie w politycznej i medialnej grze.

Oto bowiem za sprawą dziennikarki Isabel Oakeshott i redakcji dziennika „Telegraph" światło dzienne ujrzało ok. 100 tys. wiadomości wymienianych na WhatsApp w czasie pandemii pomiędzy ówczesnym ministrem zdrowia Mattem Hancockiem a premierem Borisem Johnsonem, ministrem finansów Rishim Sunakiem, ministrem obrony Benem Wallace'em czy panią minister spraw wewnętrznych Priti Patel i wieloma innymi członkami rządu. Isabel Oakeshott pomagała Mattowi Hancockowi w napisaniu książki o jego roli w zarządzaniu kryzysem covidowym w Wielkiej Brytanii pt. „Pandemic diaries" i w ten sposób uzyskała dostęp do wspomnianych wiadomości, które były jednakowoż obwarowane klauzulą poufności. Pani Oakeshott uznała jednak, po zapoznaniu się z ich treścią, że wiedzy, która stała się jej udziałem, nie może zachować dla siebie, gdyż, jak się wyraziła: „W obliczu wszechobecnego zagrożenia kolejną pandemią, być może bardziej śmiertelną niż ostatnia, zdecydowanie nie możemy sobie pozwolić na czekanie do połowy lat 2030 lub nawet dłużej, aby wyciągać wnioski. Ci, którzy posiadają informacje leżące w interesie publicznym, muszą je ujawnić już teraz".

WYKORZYSTAĆ KRYZYS

Niestety, wiedza, którą dzieli się z nami niepokorna dziennikarka, jest mało budująca, choć nieszczególnie zaskakująca dla tych, którzy bacznie obserwowali działania rządów w okresie pandemii, nie tylko w Wielkiej Brytanii. Z ujawnionych dokumentów wynika niezbicie, że decyzje o bardzo rygorystycznych lockdownach w gospodarce, ograniczeniach w dostępie do służby zdrowia, zamknięciach szkół, noszeniu masek i wielu innych dotkliwych restrykcjach mających zgubny wpływ na życie i zdrowie dziesiątek milionów ludzi, a także na kondycję ekonomiczną kraju, były podejmowane bez naukowego uzasadnienia i stały się narzędziem cynicznej manipulacji podporządkowanej celom politycznym i wizerunkowym sprawujących władzę. Mamy zatem niezbite dowody na to, że w Wielkiej Brytanii doszło do politycznego wykorzystania kryzysu sanitarnego, a zarządzanie nim opierało się w znacznej mierze na wzbudzaniu paniki w społeczeństwie i manipulowaniu informacjami. A skoro tak wyglądało to na Wyspach, to czy mamy prawo mieć nadzieję, że w pozostałych krajach było inaczej?

I tak oto w jednej z konwersacji Matt Hancock i jego doradca ds. mediów Damon Poole zastanawiają się, jakiej strategii użyć, aby skłonić ludzi do zaakceptowania kolejnego, zaplanowanego na okres świąteczny lockdownu wobec coraz większego zniecierpliwienia uciążliwościami ograniczeń, manifestowanego również w szeregach partii rządzącej. Matt Hancock ma jednak pomysł, jak skłonić rodaków do uległości. Dzieli się nim ze swoim doradcą, mówiąc: „Wystraszymy wszystkich nowym wariantem tak, że będą robić w gacie", co Poole przyjmuje z zadowoleniem: „OK. Dzięki temu będą się zachowywać jak należy". Dwa dni później rzeczywiście rząd poinformował opinię publiczną o pojawieniu się nowego szczepu koronawirusa znanego później jako wariant alfa, a 19 grudnia 2020 r. „odwołano" w Wielkiej Brytanii święta Bożego Narodzenia. Z wymienianych w tym samym czasie wiadomości wynika, że Hancock był zaniepokojony faktem,

eprasa.pl 1a5fd4df8c

iż temat pandemii ustępuje w mediach problematyce związanej z brexitem, a tym samym jego pozycja jako ministra słabnie. Z whatsappowych przecieków wynika, że Hancock miał obsesję na temat swojego własnego wizerunku w mediach w kontekście zarządzania pandemią, a nad tym, w jaki sposób rozprzestrzenianie się koronawirusa może pozytywnie wpłynąć na jego karierę i przejście do „kolejnej (politycznej) ligi", zastanawiał się jeszcze przed ogłoszeniem pandemii.

Strategia wzbudzania strachu i poczucia winy w ludziach, którzy swoim „niezdyscyplinowaniem" mieli przyczyniać się do śmierci innych, była wykorzystywana również w czasie trzeciego krajowego lockdownu w styczniu 2021 r., co potwierdzają wiadomości wysyłane przez współpracującego z ministrem zdrowia sekretarza rządu i szefa służby cywilnej Simona Case'a. Ten sam urzędnik w rozmowie z Hancockiem pozwala sobie również na niewybredne żarty z ludzi, którzy przylatując do Wielkiej Brytanii, poddawani są obowiązkowej 14-dniowej kwarantannie i zamykani są w małych hotelowych pokojach, jak ironizuje Hancock, „z własnej woli" i na swój własny koszt. „Dajemy wszystkie apartamenty dużym rodzinom, a gwiazdy popu zamykamy w klitkach" – cieszy się minister zdrowia, a pan Case kpi dalej: „Chciałbym zobaczyć twarze niektórych z nich […]". Z innej konwersacji dowiadujemy się też, że Hancock nie zgodził się, wbrew zaleceniom specjalistów, na skrócenie kwarantanny osób mających kontakt z zakażonym z 14 do pięciu dni, gdyż „mogłoby to poważnie zmartwić ludzi i sugerować, że (wcześniej) się myliliśmy".

POŚWIĘCONE POKOLENIE

Tysiące tego rodzaju konwersacji prowadzonych dzień po dniu rzucają światło na niemal każdy element zarządzania pandemią, ale tym, co miało największy wpływ na decyzję o złamaniu klauzuli poufności udostępnionych przez Isabel Oakeshott informacji, były przede wszystkim cynizm i pogarda, z jaką traktowane były w pandemii dzieci. Jako matka jest tym szczególnie rozgoryczona. „Spośród wszystkich parodii i tragedii związanych z pandemią traktowanie dzieci jest prawdopodobnie najbardziej skandaliczne" – napisała w „Telegraph" 2 marca. „Prawie trzy lata po tym, jak ślepa panika związana z wirusem wywołała pierwszą niefortunną decyzję o zamknięciu szkół, beztroska, z jaką poświęcono całe pokolenie najmłodszych po to, aby politycy mogli nadal upierać się, że robią wszystko, co możliwe, aby »ratować życie«, powinna wszystkim dać do myślenia […]".

Z ujawnionych wiadomości wynika, że Matt Hanckock, wbrew stanowisku ministra edukacji Gavina Williamsona, który zaciekle walczył o niezamykanie szkół, doprowadził w grudniu 2020 r. do powtórnego wprowadzenia obowiązkowej nauki zdalnej (pierwszy lockdown szkół rozpoczął się w marcu 2020 r. i trwał w niektórych miejscach aż do września). Szkoły zatem ponownie zamknięto, a młodzi Brytyjczycy zaczęli stopniowo wracać do szkół dopiero w lutym i marcu 2021 r. (zatem i tak wcześniej niż w Polsce). Nie zgodzono się również na wyłączenie dzieci z reguły zakazującej spotkań towarzyskich powyżej sześciu osób oraz nie zwolniono ich z obowiązku noszenia masek, także w czasie lekcji w szkołach po zniesieniu lockdownu, mimo iż z konwersacji decydentów wynika, że nie ma żadnego „solidnego uzasadnienia" dla stosowania tych zasad w przypadku dzieci. Boris Johnson w jednej z wiadomości stwierdza po prostu, że „nie warto się o to kłócić" z premier Szkocji Nicolą Sturgeon, zwolenniczką najbardziej radykalnych obostrzeń, która mogłaby przecież oskarżyć rząd w Londynie o brak odpowiedzialności.

Lekceważący stosunek do młodych zasługuje zdaniem dziennikarki sygnalistki na szczególne potępienie

Ten lekceważący stosunek do młodych zasługuje zdaniem dziennikarki sygnalistki na szczególne potępienie, a osoby, które doprowadziły do prawdziwej katastrofy brytyjskiego systemu edukacji oraz zapaści zdrowia psychicznego najmłodszego pokolenia, powinny zostać przykładnie ukarane. Mimo że w powszechnym odbiorze pandemia się skończyła, to badania opublikowane w Wielkiej Brytanii w grudniu 2022 r. pokazują, że rzuca ona wciąż cień na dzieci i młodzież, a Wielka Brytania nie jest tu wyjątkiem. Według danych upublicznionych przez National Health Service w 2022 r. w przedziale wiekowym 17–19 lat już jedna młoda osoba na cztery, którym przyszło żyć w okresie covidowej „nowej normalności", cierpi na zaburzenia psychiczne (przed pandemią była to jedna osoba na 10). Wśród młodszych nastolatków problemy natury psychicznej dotykają w szczególności dziewczęta (jedna na pięć mierzy się z różnego rodzaju zaburzeniami nastroju), a w grupie dzieci młodszych problem ten dotyczy paradoksalnie głównie chłopców. Około 70 proc. nastolatek boryka się z zaburzeniami odżywiania o różnym nasileniu, a prawie 30 proc. osób w wieku od 7 do 16 lat ze zdiagnozowanym zaburzeniem nastroju dokonało aktu samookaleczenia się.

Obniżył się też poziom edukacji w szkołach podstawowych i średnich. Okazuje się bowiem, że zdalne nauczanie ma negatywny wpływ na zdolności uczenia się i zapamiętywania: trzeba było zatem dostosować wymogi egzaminów i szkolnych testów, aby umożliwić uczniom ich rozwiązanie – nie muszą już pamiętać wzorów i matematycznych formuł na egzaminach z przedmiotów ścisłych, a testy z języków obcych zostały znacznie uproszczone. Wielu młodych ludzi, zwłaszcza z ubogich rodzin czy trudnych środowisk, którzy i dziś są często pozostawieni sami sobie, nadal odczuwa skutki społecznej izolacji, zerwania więzi, utraconych i nienadrabialnych edukacyjnych szans, ponaddwuletniej paniki i wbijania ich w poczucie winy.

Nasilająca się od wielu miesięcy dyskusja w brytyjskich mediach na temat zasadności i skutków lockdownów oraz burza wywołana rozmowami opublikowanymi przez „Telegraph" pokazują, że na Wyspach media wciąż pełnią funkcję kontrolną wobec władzy, a byli i obecni decydenci są zmuszani do składania wyjaśnień, również przez sprzyjające im gazety. Czy podobna debata będzie kiedyś możliwa również na kontynencie? Czy doczekamy się jej w Polsce?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1a5fd4df8c

„Cicha” koalicja z PiS?

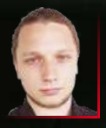

Jan Fiedorczuk

Coraz bardziej prawdopodobny staje się scenariusz, w którym PiS wygra jesienne wybory parlamentarne, ale nie będzie dysponować większością w Sejmie. Tym samym powraca odwieczne pytanie o zdolności koalicyjne formacji Jarosława Kaczyńskiego

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Jeżeli w jesiennych wyborach Zjednoczona Prawica uzyska chociaż jeden mandat więcej niż Koalicja Obywatelska, to prezydent Duda z pewnością powierzy Jarosławowi Kaczyńskiemu zadanie sformowania nowego rządu. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują jednak, że PiS, pomimo zwycięstwa, zabraknie do większości sejmowej 20–30 mandatów. Jakie opcje będą wówczas na stole?

AMBARAS Z LUDOWCAMI

Kulturowy podział, który rządzi polską polityką, pcha Kaczyńskiego w stronę dwóch ugrupowań – Konfederacji oraz PSL. Ze względów personalnych, a także zbieżności elektoratów, PiS łatwiej byłoby zaakceptować współpracę z ludowcami. Ten scenariusz jest jednak problematyczny z co najmniej kilku powodów.

Po pierwsze, taki sojusz oznaczałby konieczność „zrobienia miejsca” w spółkach Skarbu Państwa dla kolejnego koalicjanta (wszak w skład Zjednoczonej Prawicy już teraz wchodzą trzy ugrupowania), a zatem przyznania ludowcom wielu apanaży kosztem własnych działaczy. Po drugie, rządzący musieliby zapewne podzielić się wpływami na wsi i w Polsce powiatowej, o którą od lat toczyli zacięty bój.

Przede wszystkim jednak koalicja z PSL musiałaby oznaczać wyraźne ustępstwa programowe. Dopóki PiS nie zrezygnuje ze zmian w sądownictwie oraz nie podporządkuje się całkowicie Brukseli, dopóty taka koalicja nie powstanie.

Sam sojusz można by nawet dość zręcznie sprzedać wyborcom – PSL przekonywałoby, że „cywilizuje” PiS i przywraca Polskę na łono europejskiej rodziny, a z kolei PiS zapewniałby, że decyduje się na niewielkie ustępstwa wobec Brukseli (który to już raz?), aby tylko nie dopuścić Donalda Tuska do władzy. W rzeczywistości taka koalicja oznaczałaby zakwestionowanie ośmiu lat rządów Zjednoczonej Prawicy. Ciężko też powiedzieć, czemu miałaby służyć taka współpraca oprócz dalszej konsumpcji państwowych fruktów.

Kolejny problem, który stoi na drodze do zawiązania takiej współpracy, jest dość prozaiczny i swego czasu wyłożył go wprost Jarosław Kaczyński. – W tym największy jest ambaras, aby dwoje chciało naraz. My byśmy pewnie nie odmówili, ale jest jeszcze ta druga strona – stwierdził pytany o szanse na powyborczą koalicję z partią Kosiniaka-Kamysza.

Przez ostatnich kilka lat Władysław Kosiniak-Kamysz dość mocno posunął proces „platformizacji” swojej partii. Ludowcy, którzy chełpili się w przeszłości, że „kolejne wybory wygra ich koalicjant”, i nie widzieli przeszkód, by budować rząd ani z postkomunistami, ani z liberałami, w ostatniej dekadzie skazali się na rolę małomiasteczkowej wersji PO. PSL stało się w perspektywie psychologicznej niezdolne do szukania sojusznika po prawej stronie sceny politycznej. I nawet jeżeli wśród starszych działaczy pojawia-

eprasa.pl 1a5fd4df8c

ją się głosy dotyczące koalicji, to wydaje się, że najpierw w samej partii musiałaby zajść mała rewolucja personalna, aby do takiej współpracy doszło.

NA PRAWO OD PIS

Jeżeli nie PSL, to cały czas na stole jest karta Konfederacji. Wizją tego sojuszu notorycznie straszą lewicowo-liberalne media, jednak w rzeczywistości taka współpraca nie uśmiecha się żadnej ze stron. Dla Jarosława Kaczyńskiego oznaczałoby to zawarcie porozumienia z jednej strony z radykalnymi wolnorynkowcami podważającymi fundamentalne reformy PiS (na czele z „500+"), z drugiej natomiast z narodowcami odwołującymi się do nielubianej przez niego tradycji endeckiej.

Do tego dochodzi jeszcze postać Grzegorza Brauna – ekscentrycznego posła, którego w środowisku PiS powszechnie oskarża się o bycie „ruską onucą" i z którym jakikolwiek sojusz wykluczył swego czasu sam Kaczyński. Prezes PiS, który otwarcie stwierdził, że jest gotów na koalicję ze skrzydłem narodowym, de facto przyznał, że chciałby nie tyle koalicji z Konfederacją jako samodzielnym podmiotem, ile raczej jej rozbicia i wyzyskania części posłów.

Właśnie dlatego były wiceminister zdrowia Bolesław Piecha, który wprost stwierdził, że nie wyklucza koalicji z Konfederacją, spotkał się z dość szorstką odpowiedzią drugiej strony. – Poseł Piecha […] zapomniał chyba o dwóch rzeczach. Pierwsza, że nas interesuje reformowanie, a nie uwłaszczanie się na państwie jak to od siedmiu lat robi PiS. Po drugie, że Konfederacja dąży do tego, żeby zarówno PiS, jak i PO odesłać do lamusa" – stwierdził Robert Winnicki.

Dla Konfederacji wejście w trwały sojusz z Kaczyńskim jest problematyczne na trzech poziomach. Po pierwsze, pojawia się obawa przed „lubnaueryzacją" partii i rozbiciem jej przez PiS. Po drugie, taki sojusz mógłby być trudny do zrozumienia dla młodego, buntowniczego elektoratu. O ile wyborcy PiS stanowią – z grubsza rzecz biorąc – monolit, o tyle zwolennicy Konfederacji tworzą przedziwną mozaikę, gdzie obok tradycjonalistów i nacjonalistów znajdziemy zadeklarowanych liberałów. I to nie tylko liberałów „klasycznych" nastawionych na wolność gospodarczą, lecz także jak najbardziej liberalnych postępowców. To zjawisko łatwo dostrzec, gdy weźmiemy pod uwagę podejście zwolenników Konfederacji do takich kwestii jak aborcja czy postulaty LGBT. O ile narodowcy oraz zwolennicy Grzegorza Brauna są zdecydowanie konserwatywni w tych kwestiach, o tyle już pokaźna część wyborców Janusza Korwin-Mikkego i Sławomira Mentzena ma nastawienie liberalne. Unaoczniła to doskonale druga tura wyborów prezydenckich z 2020 r., gdy elektorat Konfederacji podzielił się niemal dokładnie po równo – jedna połowa zagłosowała na Andrzeja Dudę, druga na Rafała Trzaskowskiego. Czy ktoś głosujący na Trzaskowskiego oraz popierający liberalizację prawa aborcyjnego byłby w stanie zaakceptować koalicję z PiS?

Trzeci problem wiąże się z perspektywą współpracy programowej. Szczególnie dla korwinistów, którzy choćby sztandarowy program PiS, jakim jest „500+", traktują jako przejaw „socjalizmu", wejście w koalicję byłoby zakwestionowaniem całego wolnorynkowego przekazu stanowiącego ich tożsamość.

Ponadto korwiniści po raz pierwszy zyskaliby realny wpływ na polski system gospodarczy. Może nie udałoby im się zlikwidować programów socjalnych PiS, ale pojawiłaby się możliwość choćby uproszczenia systemu podatkowego oraz prawa pracy. Wszak jeżeli coś blokuje potencjał polskich przedsiębiorców, to nawet nie tyle wysokie podatki, ile właśnie prawny galimatias (chociaż taka reforma to oczywiście o wiele trudniejsze zadanie niż pokrzykiwanie o prywatyzacji służby zdrowia).

Drugim filarem takiej koalicji mógłby być nieformalny sojusz konfederatów z Solidarną Polską na rzecz prowadzenia bardziej suwerennej polityki międzynarodowej. Do tej pory Zbigniew Ziobro był osamotniony w tej kwestii i w Zjednoczonej Prawicy do głosu dochodziły zazwyczaj głosy probrukselskie, co dzięki narodowcom mogłoby ulec zmianie.

„CICHY" KOALICJANT?

Konfederacja od początku swojego istnienia stawiała na wyrazisty przekaz, aby za wszelką cenę odróżnić się od politycznego mainstreamu – widać to było w temacie obostrzeń covidowych czy kwestii wojny. To taktyka, która pozwala się wyróżnić, ale też znacząco utrudnia realną działalność w Sejmie. Konfederaci świetnie sobie radzą w polityce „ulicznej", ale ciężko byłoby im prowadzić politykę gabinetową, która jest delikatną sztuką ustępstw, podchodów i targów.

Może zatem konfederatom bardziej opłacałoby się bezpiecznie przeczekać kolejną kadencję w opozycji? To oczywiście kusząca perspektywa, tylko wówczas pojawia się fundamentalne pytanie, w jakim celu narodowcy i korwiniści poszli do polityki i czy zadowala ich bycie partią wiecznej opozycji. Bo jeżeli nie będzie ich stać na wejście w koalicję z osłabionym PiS w 2023 r., to z kim byliby w stanie stworzyć rząd w przyszłości?

Ze względu na wszelkie wątpliwości i obawy (obu stron) nie można wykluczyć scenariusza pośredniego, w którym PiS oficjalnie stworzyłby rząd mniejszościowy, ale jednocześnie zawarłby „cichy", czyli nieformalny, sojusz z Konfederacją. Mógłby on obowiązywać na podobnej zasadzie, na jakiej opierały się rządy Zjednoczonej Prawicy w ostatnich miesiącach (szczególnie we współpracy z Pawłem Kukizem), gdy to sejmowa większość Kaczyńskiego wisiała na włosku i przy każdym poważniejszym głosowaniu rządzący musieli robić podchody pod część posłów, starając się uzbierać brakujące szable.

Dla PiS byłaby to oczywiście bardzo niekomfortowa sytuacja, gdyż rząd pozostawałby w ciągłej niepewności co do swego dalszego losu. Kaczyński nie będzie miał jednak zbyt szerokiego pola manewru i przynajmniej przy głosowaniach nad ustawą budżetową będzie musiał szukać sojuszników wśród ludowców, korwinistów i narodowców (a być może nawet i w Lewicy), obiecując im konkretne ustawy w zamian za poparcie. Czasy stabilnej większości, gdy to prezes PiS trzymał w swych rękach cały Sejm, minęły bezpowrotnie. Być może taka „cicha koalicja", przy jej wszystkich niewątpliwych mankamentach, to najlepsze, na co może obecnie liczyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Manewry w bańce

Rafał A. Ziemkiewicz

Donald Tusk podąża drogą, którą widzieliśmy już w III RP. W procesach zjednoczeniowych nie chodziło o szczere zamiary połączenia sił dla realizacji wspólnego celu, tylko o przekonanie elektoratu, że my zrobiliśmy wszystko dla zjednoczenia, a nie wyszło przez tamtych

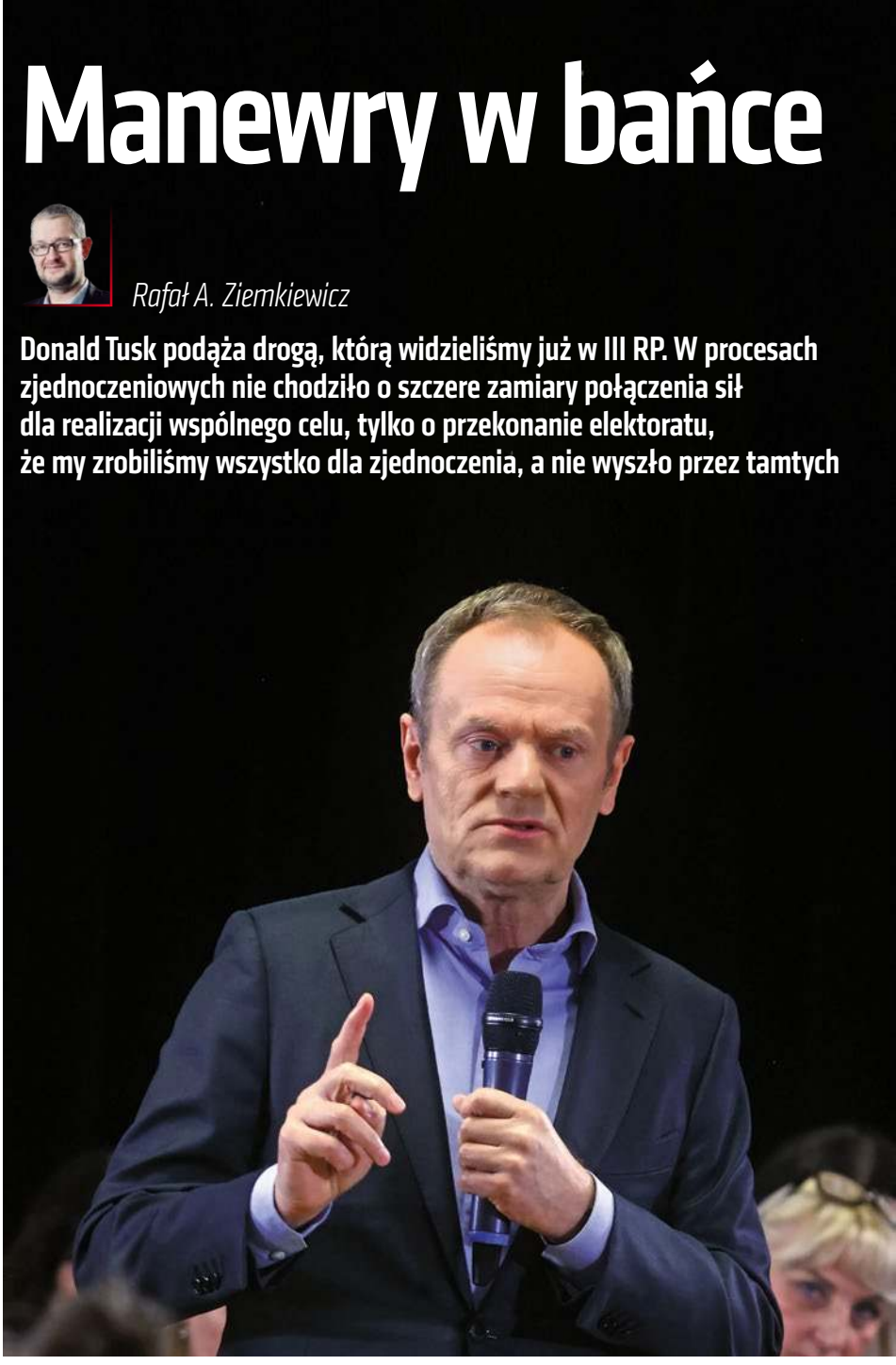

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Procesy jednoczenia się partii, adresujących swą ofertę do jednego segmentu wyborców, mają już w III RP swoją historię. Najsławniejsze były oczywiście jednoczenie się centroprawicy w połowie lat 90. i sławetny Konwent św. Katarzyny, który na długie lata stał się symbolem politycznej niemocy, krótkowzroczności i skłócenia. Jeszcze wcześniej, u samego zarania nowego państwa, jednoczył się ruch ludowy – z bodaj pięciu PSL-i rychło pozostał jeden, ten postkomunistyczny, przykleiwszy sobie tylko na krótko dla pozorów „postsolidarnościowego" prezesa. W podobny sposób zjednoczyła się lewica – postkomunistyczne SLD zmiotło ze sceny politycznej wszystkie PPS-y i inne „lewicowe alternatywy", a stosunkowo najsilniejszą z formacji lewicy „postsolidarnościowej", Unię Pracy, wchłonęło w sposób podobny, jak PO Nowoczesną.

We wszystkich tych trzech wypadkach wszelkie działania zjednoczeniowe były czystą pozoracją i teatrem osłaniającym walkę o hegemonię jednej partii i zniszczenie bądź całkowite zdominowanie konkurencji. Za każdym razem też tym, co decydowało o ostatecznym wyniku, była przewaga materialna. PSL Pawlaka i Jagielińskiego oraz SdRP zawdzięczały ją majątkom dawnym ZSL i PZPR, pozostawionym im na mocy umowy w Magdalence. W wypadku centroprawicy o ostatecznym zwycięstwie Kaczyńskiego zadecydowało umiejętne zagospodarowanie łupu, który otrzymało Porozumienie Centrum z podziału PRL-owskiego RSW, czyli stworzone w porę Fundacja Prasowa Solidarności i spółka Srebrna.

UTARTE KOLEINY

Donald Tusk, szantażując dziś mniejsze partie anty-PiS „historyczną koniecznością" przedwyborczego „zjednoczenia obozu demokratycznego", czyli podporządkowania mu się w ramach jednej listy opozycji, idzie więc utartymi koleinami. Jest oczywiste, że podobnie jak w poprzednich wypadkach deklaracje, które składa, mają się nijak do jego rzeczywistych celów. Gdyby w istocie chodziło o odsunięcie PiS od władzy, partie szermujące tym hasłem (osobna zupełnie sprawa, że niezbyt społecznie nośnym) mogłyby bez trudu podzielić się swoimi segmentami antypisowskiego elektoratu: PSL obsługuje antypisowskie emocje prowincji, PO swój tradycyjny elektorat wyższościowo-wielkomiejski, lewica tęczowych i antyklerykalnych radykałów, a Hołownia naiwne panie, ujęte chłopięcą urodą prezentera TVN i jego bezobjawową pobożnością.

Nawet zresztą i wtedy, przy zachowaniu pełnej zgody między liderami anty-PiS i rzeczywistym, a nie tylko deklarowanym podporządkowaniu osobistych ambicji do PSL nie byłoby pomysłem fortunnym. Wyborcy to nie worki ziemniaków, które można dowolnie przesypywać z kojca do kojca – doświadczenie eurowyborów i wspólnej listy opozycji antyorbánowskiej na Węgrzech dowodzi, że nadmierne rozciągnięcie ideologicznej oferty daje więcej strat niż zysków, szczególnie na skrzydłach. Próbowali to, nawiasem mówiąc, perswadować środo-

eprasa.pl 1a5fd4df8c

wisku „Gazety Wyborczej", szczególnie w wymuszaniu wspólnej listy zacietrzewionemu, nawet bardzo skądinąd życzliwi obozowi lewicowo-liberalnemu socjolodzy, ale ich merytoryczne argumenty odbiły się od moralnego wzmożenia jak od ściany.

PRAWDZIWY CEL TUSKA

Tak czy owak, Tusk od samego początku podporządkował całą swą strategię budowaniu bynajmniej nie porozumienia w obozie anty-PiS, ale swojej hegemonii nad nim. W tym celu skupił się na odebraniu elektoratu lewicy. To, że postanowił zacząć właśnie od niej, wynika zarówno z politycznej logiki, jak i z doświadczeń ostatnich dekad. Hołownię jako mało wyrazistego ideowo mógł sobie zostawić na później, a PSL z elektoratem na granicy progu wyborczego skazany jest na to, żeby się do kogoś przyłączyć. Kradnąc lewicy aborcję, antyklerykalizm i hasła w rodzaju „mieszkanie prawem, nie towarem", Tusk liczył na to, że elektorat, umownie mówiąc: centrowy, od ośmiu lat immunizowany przez lewicowo-liberalne media przed otwarciem na PiS, i tak „nie ma dokąd pójść", więc po napompowaniu PO-wskiego słupka, kosztem osłabienia lewicy, odzyska się go paroma „zdroworozsądkowymi" gestami bez większego trudu. Nie trzeba było na lewicy tak doświadczonego gracza jak Włodzimierz Czarzasty, żeby odczytać tę grę i zrozumieć, że „wspólna lista" oznacza dla niej nieodwołalną „lubnaueryzację".

Z jednej strony nieskrywane dążenie Tuska do dominacji jest dla jego partnerów nie do przyjęcia; z drugiej, hasło „zjednoczenia sił demokratycznych" zyskało w antypisowskim elektoracie za sprawą jego mediów tak wielką popularność, że lewica nie odważyła się otwarcie zamiarom Tuska przeciwstawić. Podjęła więc grę analogiczną do tej, którą swego czasu prowadzili uczestnicy Konwentu św. Katarzyny: głośno deklarować, że się jest za zjednoczeniem, a po cichu odwlekać, sabotować i liczyć na to, że ostatecznie winą za fiasko zjednoczenia obciąży rozwścieczony elektorat kogoś innego. W istocie bowiem o to zawsze w III RP chodziło w procesach zjednoczeniowych, podejmowanych bynajmniej nie w szczerym zamiarze połączenia sił dla realizacji wspólnego celu, tylko pod presją sfrustrowanego skłóceniem i nieskutecznością swych reprezentantów elektoratu – o przekonanie tegoż elektoratu, że my zrobiliśmy wszystko dla zjednoczenia, a nie wyszło przez tamtych.

Sytuacja Tuska różni się jednak zasadniczo od sytuacji Kaczyńskiego, czy – wcześniej – Krzaklewskiego na skłóconej centroprawicy lat 90. O ile znaczenie pozbawionego budżetowej dotacji i przyciśniętego kwestionującym rzetelność jego rozliczeń finansowych orzeczeniem sądu ruchu Hołowni może być porównane do różnych ówczesnych Ruchów Trzeciej Rzeczypospolitej, Akcji Polskich i innego prawicowo-patriotycznego drobiazgu, o tyle zarówno lewica, jak i PSL mają swoje zasoby finansowe i organizacyjne. Nieporównywalnie mniejsze od 20-milionowej dotacji budżetowej PO i zasobów, którymi jej politycy obracają w wielkich miastach, ale jednak zapewniające samodzielność.

Dlatego też PSL, partia nie tylko obecna w Sejmie, lecz także silna w sejmikach wojewódzkich, przyjął strategię odmienną niż Lewica: wszedł otwarcie w konflikt z Tuskiem, używając merytorycznych argumentów, że nie jedna lista jest sposobem na pokonanie PiS, tylko dwie – niech PO pójdzie z Lewicą po elektorat lewicowo-liberalny, ale PSL z Hołownią zajmie się zaspokajaniem oczekiwań tego bardziej centrowego. Władysław Kosiniak-Kamysz wie oczywiście doskonale, że ze streszczonych powyżej powodów wspólna lista PO i Lewicy nie jest możliwa i jedyny realny wariant to trzy listy, ale to dodatkowy argument dla niego: skoro, jak się z czasem okaże, nie mogą występować na jednej liście mówiący dziś praktycznie jednym głosem i wyznaczający te same priorytety Tusk i Czarzasty, to tym bardziej słuszne jest, aby swoją drogą poszli zdecydowani odgrywać rolę tradycjonalistów PSL i Hołownia. Ten ostatni wskutek kryzysu sondażowego coraz mniej znaczący i coraz bardziej zależny od swego wiejskiego partnera.

KARTA MORALNEGO SZANTAŻU

Nie mogąc się oprzeć wyłącznie na materialnej przewadze nad partnerami, Tusk tym mocniej gra kartą moralnego szantażu. Z jednej strony, nie stroniąc przy tym od publicznego kolportowania najoczywistszych kłamstw, o których wie, że w obrębie lewicowo-liberalnej „bańki" nikt ich nie zakwestionuje, nakręca histerię wokół „zaszczucia dziecka" posłanki Filiks, wyciąga z grobów Adamowicza i Blidę, wciąga nawet na sztandar PO nieszczęsnego kierowcę cinquecento, którego życiowym osiągnięciem było staranowanie premier Szydło. Z drugiej zaś uruchamia wierne sobie autorytety medialne, by podnosiły jedną listę do rangi magicznego fetyszu, zupełnie już zaprzeczając, przy organizowaniu społecznego nacisku na Lewicę, PSL i Hołownię, jakiejkolwiek racjonalności. Zapowiedź Tuska na spotkaniu w Rybniku, że jeśli mniejsze partie nie poddadzą się jego przewodnictwu i będą startować same, to na kilka miesięcy przed wyborami wyborcy się od nich odwrócą, więc i tak „ostatecznie będzie jedna lista, lista PO", w zupełnie już nieskrywany sposób pokazuje jego plan.

Jednocześnie zaś, jak świadczy o tym szeroko komentowany wywiad z Markiem Sawickim, w konkurencyjnym bloku PSL-Hołownia budzi się nadzieja, że tak ostry zwrot Tuska na lewo, który potwierdziło np. spotkanie w Pszczynie, przy jednoznacznym opowiedzeniu się PSL za Janem Pawłem II, otwiera możliwość, żeby „tradycjonalistyczna", zdroworozsądkowa lista Kosiniaka-Kamysza i Hołowni zdobyła więcej głosów od PO i szczepionej z nią w walce o radykałów Lewicy, przebudowując cały opozycyjny segment sceny politycznej.

Całą tę walkę toczą lewicowo-liberalni liderzy w głębokim przekonaniu, że jakkolwiek by ostatecznie podzielić antypisowski tort, to nikt poza nimi nie jest w stanie zeń niczego uszczknąć. I to może być ich największy błąd. Konfederacja, lekceważona przez nich i ich media jako „taki pomniejszy PiS", okazuje się bowiem rosnąć wcale nie kosztem elektoratu Zjednoczonej Prawicy, tylko antypisowskiej opozycji. Bo podczas gdy obóz odsunięty przed ośmiu laty od władzy bez reszty zafiksował się na przepychankach, Mentzen i Bosak, zdają się pamiętać, że wyborcze zwycięstwo zależy nie od liczby firmujących listę wyborczą partyjnych szyldów, a od przedstawienia wyborcy atrakcyjnej dla niego, alternatywnej i jako tako wiarygodnej wizji innych, lepszych rządów – czego skłócony o jednoczenie się obóz lewicowo-liberalny zupełnie już zaniechał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Opozycja bez lustra

FOT. ADOBE STOCK

Piotr Semka

Kierujący „Gazetą Wyborczą” od momentu powstania tego dziennika w 1989 r. są przekonani, że ich gazeta może tworzyć politykę, a nie ją tylko opisywać. Problem w tym, że z biegiem czasu ten dziwaczny status kreatora politycznej gry zamienił się w farsę i dziś raczej opozycji szkodzi, niż pomaga

Wyniki tego sondażu są dramatycznym zaskoczeniem. Kto wie, czy nie ostatnim związkiem alarmowym dla demokratów [...]. To nie jest sondaż zamówiony przez jakąkolwiek partię i za pieniądze partii. To sondaż wymyślony i sfinansowany przez obywateli i dla obywateli. Ma dać odpowiedź na pytanie: Czy uda się pokonać PiS, jeśli demokraci pójdą do wyborów z czterech list, z trzech list, dwóch lub jednej wspólnej. Drodzy państwo, mamy już te wyniki. Ogłosimy je w »Wyborczej« w poniedziałek rano. Teraz trwa ich intensywna analiza z podziałem na grupy wiekowe, deklarowaną frekwencję, preferencje polityczne i mandaty w przyszłym Sejmie. Ten sondaż miał być z założenia obywatelską presją na demokratycznych liderów o wspólnym działaniu na rzecz wspólnego dobra [...]. Jedno jest pewne. Żaden z liderów opozycji nie będzie już mógł nigdy powiedzieć, że nie wiedział, co się stanie, czy że się »nie spodziewał«”.

Ta gromka zapowiedź specsondażu na łamach „Gazety Wyborczej” w sobotę 17 marca już brzmiała dość dziwnie. Bo oto wicenaczelny gazety z jednej strony zapewniał, że sondaż jest pozapartyjny i ma pokazać obiektywny stan rzeczywistości, z drugiej strony bez zmieszania ujawniał, że badanie ma być „z założenia obywatelską presją na liderów partii opozycyjnych o wspólne działanie”.

Nic dziwnego, że już po sobotnich zapowiedziach można było podejrzewać, iż sondaż będzie do bólu przewidywalny

eprasa.pl 1a5fd4df8c

– ogłosi niezbędność startu wszystkich partii opozycyjnych z jednej listy pod wodzą Donalda Tuska. Dziwnym trafem tego samego dnia lider PO, przebywając na Górnym Śląsku, wystosował groźbę wobec liderów partii opozycyjnych, które chcą iść osobno poza jego listą, że zostaną srogo ukarani przez wyborców za swój egoizm.

KREATYWNY SONDAŻ

Gdy w poniedziałek wśród ogromnych fanfar „Gazeta Wyborcza” ogłosiła swój sondaż, zaskoczenia nie było. Okazało się, że za składki od zwykłych wyborców opozycji zebrane przez obywatelską Fundację Forum Długiego Stołu przetestowano cztery warianty startu partii opozycyjnych w wyborach. Jak wynika z badania – poza wariantem jednej listy wszystkie inne konfiguracje wskazywały na możliwość wygranej PiS. Sondaż przedstawiono z wielką pompą, z udziałem zaproszonych gwiazd antypisowskiego beau monde'u. Jednak specjaliści od sondaży i niezależni polityczni komentatorzy szybko zwrócili uwagę, że w dniu ogłoszenia wyników nie podano żadnych konkretów, a jedynie ich omówienie przez jednego z inicjatorów ich przeprowadzenia – Andrzeja Machowskiego, byłego polityka Platformy Obywatelskiej.

Kolejny zarzut dotyczył tego, że wśród wariantów sondażu nie przetestowano najbardziej prawdopodobnego wariantu, w którym KO i Lewica startują osobno, a PSL idzie w bloku z ugrupowaniem Szymona Hołowni Polska 2050. Jak się potem tłumaczyli organizatorzy sondażu, akurat tego najbardziej prawdopodobnego wariantu nie przetestowano, gdyż „pieniędzy było dość na cztery próby, a badacze chcieli sprawdzić te wersje, którymi partie rzeczywiście byłyby zainteresowanie”. Z kim z partii rozmawiano i kto np. z PSL czy ugrupowania Hołowni miałby takie życzenia na temat takiego akurat kształtu sondaży – już się nie dowiedzieliśmy.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji część analityków podeszła do sondażu z dużym dystansem. Profesor Antoni Dudek wprost stwierdził, że sondaż sprawia wrażenie wykreowanego specjalnie dla poparcia tezy o jednej liście. Z kolei Krytyka Polityczna, której jeden z frontmanów Sławomir Sierakowski bardzo zaangażował się w patronowanie sondażowi, dyplomatycznie skupiła się na biciu na alarm, że sondaż pokazuje wyborcze umocnienie się prawicy.

Cały sondaż sprawiał wrażenie, jakby został przeprowadzony tak, by wzmocnić argumentację Donalda Tuska

Na politykach PSL i Polski 2050, którymi sondaż miał wstrząsnąć i których miał przyprzeć do ściany moralnym szantażem: „I nie mówcie potem, że nie wiedzieliście”, cała operacja „Gazety Wyborczej” nie zrobiła najmniejszego wrażenia. Poseł Polski 2050 Mirosław Suchoń pisał na Twitterze: „Jedna lista nienawiści i agresji na podstawie infantylnie zmanipulowanego badania. Tak, to z pewnością scenariusz na sukces”. Suchoń nie zostawił na badaniu suchej nitki. „Nie nazywajmy może tego sondażem, dlatego że to jest jakaś analiza, która została dokonana przez jakąś osobę na podstawie jakichś wyników” – mówił Suchoń jako gość Wydarzeń 24.

Z kolei Michał Wróblewski, dziennikarz Wirtualnej Polski, przypomniał, że latem zeszłego roku Donald Tusk w jednym z wywiadów zapowiadał przeprowadzenie bardzo szczegółowego sondażu, który miał udowodnić, że idea jednej listy jest optymalna.

Istotnie, cały sondaż sprawiał wrażenie, jakby został przeprowadzony tak, by wzmocnić argumentację Donalda Tuska, którego wezwania do jednej listy stawały się od jesieni zeszłego roku coraz bardziej wyraziste. Co więcej, jeśli prześledzić np. publicystykę czołowej publicystki „GW” Agnieszki Kublik, to widać, jak jej kampania na rzecz jednej listy staje się coraz bardziej emocjonalna. Na łamach „Gazety Wyborczej” w ostatnim półroczu wyraźnie było widać, jak traktowany wcześniej dosyć życzliwie Szymon Hołownia stawał się głównym podejrzanym o wszelką możliwą polityczną prywatę. Kulminacja miała miejsce ok. dwa

REKLAMA

eprasa.pl 1a5fd4df8c

miesiące temu, kiedy to poziom insynuacji i ataków na Hołownię osiągnął taki poziom, że sama „Wyborcza" złożyła wyrazy ubolewania za to, co się działo na jej łamach.

Gdy ta pierwsza kampania „Gazety Wyborczej" nie dała efektu, ogromny rozgłos nadano odejściu posłanki Hanny Gill-Piątek z Polski 2050. I znów było widać, że ludzie Tuska zrobili wszystko, aby przeciągnąć jedną z niewielu posłanek Hołowni na stronę KO. Wyglądało to na element nacisku na lidera Polski 2050, by zgiął kark przed Wielkim Donaldem. Ale ludzie Hołowni nadal nie wyglądają na rzuconych na kolana.

Paweł Zalewski, który przeszedł do Hołowni z pozycji bliskich Platformy, nadal powtarza: „Mamy swoje sondaże". Jak wskazuje Zalewski: „Jeżeli uznajemy prawo Donalda Tuska, by domagał się jednej listy, to proszę uznać moje prawo, abym mógł powiedzieć: dwie listy". I dalej, w rozmowie z dziennikarką „GW": „Jeśli pyta mnie pani o opinię elektoratu Polski 2050, to badania tych ośrodków bardzo wyraźnie wskazują, że 55 proc. naszego elektoratu nie chce wspólnej listy z Platformą Obywatelską. To jest istotne".

STARE NAWYKI, MNIEJSZE MOŻLIWOŚCI

Adam Michnik od początku istnienia swojej gazety uznawał ją za narzędzie do robienia polityki, a nie tylko gazetę, która ma opisywać rzeczywistość. To on pierwszy zrozumiał, że funkcja redaktora naczelnego opiniotwórczego dziennika daje mu o wiele większe pole działania niż pozostawanie politykiem. To dlatego bez większego żalu oddał mandat posła, który zdobył na Górnym Śląsku w 1989 r., i skupił się na budowaniu ze swojego pisma politycznej dźwigni.

Co więcej, wykorzystał to nawet do podkreślania swojej rzekomej apolityczności. Jego dziennikarze od wielu dekad uwielbiają powtarzać: „Jak można nas utożsamiać z jakąkolwiek partią, skoro to my te partie bardzo często ostro strofujemy i przywołujemy do porządku?". Istotnie tak wiele razy było, co oczywiście nie zmieniało faktu aspiracji Michnika do roli kreatora polskiej polityki. Tak było, gdy szef „GW" wezwał latem 1989 r. do wcielenia w życie formuły „wasz prezydent, nasz premier", która otworzyła drogę do prezydentury Wojciecha Jaruzelskiego i premierostwa dla Tadeusza Mazowieckiego. Tak było też wtedy, gdy dziennik z dzisiejszej ulicy Czerskiej wcielił w medialne życie hasło walki na śmierć i życie z rządem Jana Olszewskiego i w dużej mierze nakręcił nastroje, które doprowadziły do odwołania tego gabinetu w Sejmie w noc czerwcową 1992 r.

Adam Michnik od początku istnienia swojej gazety uznawał ją za narzędzie do robienia polityki

Niekiedy Michnik zdumiewał nawet wszystkich polityków swoim poczuciem politycznej mocy. Tak było w noc drugiej tury wyborów prezydenckich w 1995 r., kiedy to naczelny „Wyborczej" całkiem serio zaproponował w studiu TVP, aby uczestnicy drugiej tury Aleksander Kwaśniewski i Lech Wałęsa zrezygnowali ze swoich praw do zwycięstwa na rzecz trzeciego pod względem wyników Jacka Kuronia. Tyle że w latach 90. i na początku nowego wieku za pewnością siebie Adama Michnika stała jeszcze stosunkowo duża siła wpływania na polską politykę. Ale swoistym łabędzim śpiewem Michnika okazała się afera Rywina, która unaoczniła, że z funkcją demiurga z ulicy Czerskiej przestał się liczyć polityczny obóz, w który Adam Michnik włożył najwięcej nadziei – formacja postkomunistów. Pod rządami Donalda Tuska Platforma zyskała co prawda status depozytariusza nadziei Michnika na optymalną siłę mogącą sprawować władze w Polsce, ale już Tusk nie dopuścił do siebie tak blisko naczelnego „Wyborczej", jak niegdyś uczynił to Aleksander Kwaśniewski. Przypomnijmy, że postkomunistyczny prezydent był tak uległy wobec Michnika, że nawet w SLD złośliwie mawiano, iż naczelny „GW" ma status wiceprezydenta. Teraz relacje są zupełnie inne. To „Wyborcza" działa na rzecz popularyzacji idei jednej listy.

GDY WIERZY SIĘ WE WŁASNE HASŁA

Paradoksalnie dziś ta służebna pozycja „Wyborczej" wobec lidera Koalicji Obywatelskiej ani nie zmienia polityki w myśl jego życzeń, ani nie przyczynia się do polepszenia jakości opozycyjnej oferty wyborczej. Donald Tusk ma jakiś immunitet przedstawiania go na łamach „GW" jako bezbłędnego gracza. Bardzo rzadko można przeczytać na łamach dziennika z Czerskiej krytykę jego już obsesyjnej polityki kreowania jednej listy. Jedynie jeden z najstarszych publicystów „GW" Witold Gadomski ośmielił się wskazać, że milczenie Donalda Tuska na temat ataku TVN24 i Agory na Jana Pawła II było wbiciem sobie samobójczej bramki. To samo dzieje się i teraz. Mimo ewidentnej wpadki z „sondażem obywatelskim" „Wyborcza" zaklina rzeczywistość, twierdząc, że jej publikacja spowodowała na nowo ożywienie się idei jednej listy.

„Wyborcza" następnego dnia po opublikowaniu sondażu wybijała tytuły: „Mogło być łatwiej, będzie trudniej", „Trzeba znów usiąść do stołu", „Liderzy opozycji komentują wyniki sondażu obywatelskiego". Ale pod tymi szumnymi tytułami znaleźć można było jedynie deklaracje mało ważnego w grze na opozycji Roberta Biedronia, że „trzeba wziąć ten sondaż na poważnie" i że trzeba „znów usiąść do stołu". Najważniejsi dla rozgrywki wokół list Tuska Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz w tekście wypowiedzieli się, że nadal chcą osobnego startu bez akceptowania wiodącej roli Donalda Tuska.

Oglądanie tej faktycznej bezsiły Adama Michnika jest pouczającym wydarzeniem. Żaden gracz polityczny nie powinien dopuszczać do sytuacji, kiedy jego bezsiła zaczyna rzucać się w oczy. A efekty radosnej twórczości „GW"? Znów zacytujmy Wirtualną Polskę: „»Sondaż obywatelski«, zamiast zjednoczyć, jeszcze bardziej podzielił opozycję. Nie ma dziś mowy o stworzeniu wspólnej wyborczej listy od Lewicy, przez PO i Polskę 2050, aż po PSL".

Politycy PO skupieni wokół Donalda Tuska twierdzą, że do wyborów jest jeszcze sześć miesięcy i ich szef znajdzie jakiś sposób na złamanie PSL-owców i ludzi Hołowni. Pytanie: W jakim stopniu pomoże w tej rozrywce dziennik z ulicy Czerskiej?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Niedziela 2 kwietnia

Dzień ze św. Janem Pawłem II w Telewizji Republika

REPUBLIKA

11:00 TRANSMISJA NARODOWEGO MARSZU PAPIESKIEGO

Weźmy udział w marszu i podziękujmy św. Janowi Pawłowi II za rozpalenie w nas potrzeby tworzenia wolnego i niezależnego kraju. Za miłość i szacunek do drugiego człowieka. Owoce Jego pontyfikatu to nasze dziedzictwo narodowe.

19:10 FILM „PIELGRZYM"

Pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny.
2-10 czerwca 1979 roku – dziewięć dni, które zmieniły Polskę.

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Trybunał kontra Putin

Łukasz Zboralski

Międzynarodowy Trybunał Karny wydał nakaz aresztowania Władimira Putina. Trudno to odczytywać jako coś więcej niż gest. Przed tym sądem stają tylko upadli dyktatorzy, a i to nie ci zarządzający wcześniej mocarstwami

Sędziowie Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze 17 marca wydali nakaz aresztowania prezydenta Federacji Rosyjskiej. To efekt śledztwa, które zostało wszczęte rok temu na wniosek kilkudziesięciu państw, w tym Polski. Dotyczy ono zbrodni wojennych popełnionych przez Rosję na Ukrainie. Władimir Putin jest podejrzany o bezprawne deportacje ukraińskich dzieci do Rosji. Za to samo wystawiono nakaz aresztowania wobec rosyjskiej rzeczniczki praw dziecka Marii Lwowej-Biełowej.

W odwecie Rosjanie oskarżyli sędziów MTK. Komitet Śledczy Federacji Rosyjskiej (ICR) wszczął postępowanie karne przeciwko sędziom MTK. Według rosyjskiego Komitetu sędziowie popełnili zbrodnię określoną jako „umyślne nielegalne przetrzymywanie, jak również jako przygotowanie do ataku na przedstawiciela obcego państwa, korzystającego z ochrony międzynarodowej, w celu skomplikowania stosunków międzynarodowych". A do tego Rosjanie uważają, że odpowiedzieć powinien też prokurator MTK. Ten z kolei za „pociągnięcie świadomie niewinnej osoby do odpowiedzialności karnej, połączone z bezprawnym oskarżeniem osoby o popełnienie ciężkiego lub szczególnie ciężkiego przestępstwa, a także przygotowania do zamachu na przedstawiciela obcego państwa korzystających z ochrony międzynarodowej, w celu skomplikowania stosunków międzynarodowych".

MIĘDZY NIEMCAMI A WĘGRAMI

Rosja przedstawiła więc jasno, co sądzi o decyzji MTK (zresztą nie jest stroną tego trybunału po tym, jak w 2016 r. decyzją Putina się z niego wycofała – ale o tym za chwilę). Tymczasem nakaz aresztowania wywołał problemy, przynajmniej dyplomatyczne, w Europie.

Decyzję MTK pochwalili bowiem m.in. szef MSZ Litwy Gabrielius Landsbergis czy premier Hiszpanii Pedro Sánchez. O ile ich wypowiedzi skończyły się na ogólnikach o „rozliczaniu zbrodni", o tyle niemiecki minister spraw zagranicznych wypowiedział się już w sprawie formalnej. Marco Buschmann w rozmowie z „Bildem" stwierdził bowiem, że „Niemcy byłyby zobowiązane do aresztowania rosyjskiego dyktatora, gdyby wjechał na terytorium RFN, i przekazania go do MTK".

Unia Europejska nie wydała jednak wspólnego oświadczenia w sprawie aresztowania prezydenta Rosji. Miały zaoponować Węgry, które jednak tego nie potwierdziły. Chwilę później szef kancelarii premiera Węgier Gergely Gulyás wypalił wprost: – Biorąc pod uwagę węgierskie prawo, Władimir Putin nie zostałby aresztowany po przybyciu na Węgry.

Powód? Statut MTK nie został na Węgrzech ogłoszony, bo uznano, że nie jest zgodny z konstytucją tego kraju.

Tak dochodzimy do głębszego problemu – funkcjonowania w światowym porządku Trybunału, który funkcjonując trwale (a nie tylko w konkretnych sprawach po konfliktach, jak Międzynarodowy Trybunał Karny ds. byłej Jugosławii), ma ułatwić pociąganie do odpowiedzialności za zbrodnie wobec ludzkości, zbrodnie wojenne i ludobójstwa.

OD NORYMBERGII DO HAGI

Do tej pory tego rodzaju międzynarodowe trybunały były powoływane do

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Międzynarodowy Trybunał Karny. W pierwszym rzędzie, drugi od lewej: prezes MTK prof. Piotr Hofmański FOT. KOEN VAN WEEL/EPA/PAP

osądzenia zbrodniarzy wojennych po zakończonych konfliktach. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze światowe mocarstwa utworzyły w 1945 r. i procedował on do października 1946 r. To on skazał na karę śmierci m.in. Hansa Franka, Hermanna Göringa i Joachima von Ribbentropa, a na dożywocie Rudolfa Hessa.

Warto już tu zauważyć, że Trybunał sprawiedliwości nie zapewniał. Bo wśród powołujących go mocarstw był ZSRS i zbrodnię katyńską dokonaną przez Sowietów sędziowie rozpatrywali pod kątem winy Niemców – aby ostatecznie nie uznać tej winy i w ogóle nie poruszyć tej sprawy w sentencji wyroku.

Podczas konfliktu na Bałkanach w 1993 r. powołano z kolei Międzynarodowy Trybunał Karny ds. byłej Jugosławii. Ten skazał na więzienie ponad 80 osób (nie może skazywać na karę śmierci – i to mocno odróżnia go już od Trybunału w Norymberdze), a ostatnią sprawę zakończył zaledwie pięć lat temu. Wówczas to ogłoszono wyrok w sprawie Ratka Mladicia, głównego dowódcy bośniackich Serbów podczas konfliktu w Bośni i Hercegowinie. Wcześniej skazani zostali m.in. Radovan Karadžić, były prezydent Republiki Serbskiej, czy serbski oficer Dragomir Milošević.

To właśnie Trybunał do spraw zbrodni podczas wojny na Bałkanach stał się inspiracją do powołania ciała prawnego, które funkcjonowałoby stale i nie trzeba byłoby powoływać go każdorazowo po jakichś konfliktach zbrojnych (a powoływano takie ciała także np. po ludobójstwie w Rwandzie). I tak w lipcu 2002 r. na podstawie Statutu Rzymskiego – aktu prawa międzynarodowego przyjętego w 1988 r. w siedzibie ONZ w Rzymie – utworzono MTK. Dodajmy, że za Statutem Rzymskim głosowało 120 państw, ale siedem głosowało przeciw. I były to Stany Zjednoczone, Chiny, Libia, Irak, Izrael, Katar i Jemen. A przed kilkoma laty z traktatu wycofała się putinowska Rosja.

Trybunał może osądzać wyłącznie osoby fizyczne, czyli nie organizacje lub państwa. Jak przez ostatnie lata udawało mu się to w praktyce?

KTO POWINIEN SIĘ BAĆ

MTK zajmuje się głównie zbrodniarzami z krajów Trzeciego Świata. Obecnie śledztwa dotyczą bowiem osób z takich krajów, jak: Bangladesz, Uganda, Sudan, Kenia, Libia, Wybrzeże Kości Słoniowej, Wenezuela, Filipiny, Demokratyczna Republika Konga czy Republika Środkowoafrykańska.

Tryby MTK mielą też straszliwie wolno. Pierwszy wyrok skazujący Trybunał wydał bowiem dopiero po 10 latach działalności. Skazał wówczas Thomasa Lubangę z Konga, który przymusowo wcielał do swojej rebelianckiej armii dzieci odbierane rodzicom. Przez to w walkach na terenie tego kraju zginęło ok. 30 tys. nieletnich żołnierzy. Lubangę aresztowano w 2006 r. w Kinszasie i jeszcze w tym samym roku wydano Hadze. Jego proces ruszył dopiero trzy lata później, a wyrok skazujący ogłoszono w marcu 2012 r. Przez ten czas przesłuchano 67 świadków i samego oskarżonego.

MTK zajmuje się głównie zbrodniarzami z takich krajów jak Bangladesz, Kongo, Uganda, Sudan czy Kenia

Dlaczego MTK zajmuje się głównie watażkami z Afryki? To pokazuje sprawa Afganistanu. Prokuratorskie postępowanie MTK dotyczące zbrodni popełnianych w tym kraju wszczęto w 2007 r. Po dekadzie prokurator wniósł o autoryzację postępowania dochodzeniowego przez Trybunał – sprawa miała już wówczas dotyczyć zbrodni popełnianych także poza terytorium Afganistanu, bo tajnych więzień CIA. Jak przypomniano w „Głosie Prawa" (Instytutu Allerhanda), mimo setek świadectw wysłanych do MTK Trybunał… odmówił autoryzacji tego dochodzenia. Sędziowie w decyzji odmownej dali jasno do zrozumienia, że nie ma sensu wszczynać postępowania w sytuacji, w której nie uda się wypełnić tego, na czym zależy ofiarom. Krótko mówiąc – trwał konflikt w Afganistanie i Stany Zjednoczone oraz ich sojusznicy nie pozwoliliby na szukanie w swoich działaniach winy.

Jeśli zatem USA, które nawet nie podpisały traktatu, mogą tak skutecznie blokować prace MTK, to czy można się spodziewać aresztowania Putina, w zasadzie wspieranego dziś przez Chiny?

Zaskakująco nadzieję na to ma obecny prezes Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze – prof. Piotr Hofmański (pełni tę funkcję jako pierwszy w historii Polak, od marca 2021 r.).

Hofmański uważa, że Putin pojawiający się w którymś z krajów Europy powinien przez takie państwo zostać aresztowany. – Państwa – strony statutu, które go ratyfikowały – mają prawny obowiązek pełnej współpracy, która obejmuje także wykonanie nakazów aresztowania. W konsekwencji, jeżeli osoba ścigana nakazem pojawia się na terytorium państwa, które jest stroną Statutu Rzymskiego, to ciąży na tym państwie prawny obowiązek wykonania tego nakazu, aresztowania tej osoby i dostarczenia jej przed trybunał haski – stwierdził prof. Hofmański.

Prezes MTK twierdził też, że Putina nie powinien chronić międzynarodowy immunitet. I wskazał, że Trybunał już wcześniej orzekł – wobec byłego prezydenta Sudanu Umara al-Baszira – że tego rodzaju immunitet nie stanowi ochrony przed odpowiedzialnością za zbrodnie wyliczane w Statucie Rzymskim.

Czy to nie jest jednak tylko polska złudna nadzieja?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Próżne nadzieje

Andrzej Krzystyniak

W stolicy Niemiec od dawna istnieją pomniki ku czci pomordowanych Żydów, Sinti i Romów, homoseksualistów czy osób niepełnosprawnych. Czy doczekamy się właściwej formy upamiętnienia cierpień Polaków?

FOT. ADOBE STOCK

Historia usiłowań upamiętnienia w Berlinie polskich ofiar niemieckiej agresji i okupacji toczy się intensywnie od 2017 r. Dyskusje, deklaracje i oświadczenia w tej sprawie osiągną niebawem taki stopień skomplikowania, że sam proces nieudanych, jak dotąd, zabiegów o budowę czegokolwiek zacznie budzić zainteresowanie badaczy, historyków, publicystów.

Przypomnijmy, że koncepcja upamiętnienia pomnikiem polskich ofiar niemieckiego terroru 1939–1945 pierwszy raz nabrała charakteru poważnej, jak się wydawało, debaty publicznej w 2017 r. (wcześniej – w 2012 r. – dyskusję o budowie pomnika polskich ofiar wywołał Władysław Bartoszewski). Wówczas to z propozycją budowy monumentu wystąpił niemiecki architekt i urbanista Florian Mausbach. Trzy lata trwała wymiana poglądów na ten temat. W październiku 2020 r. Bundestag (najwyższy organ konstytucyjny Republiki Federalnej Niemiec) podjął uchwałę, która zobowiązała rząd Republiki Federalnej do upamiętnienia Polaków.

Nieco wcześniej szef niemieckiej dyplomacji przedstawił koncepcję pomnika. Polska strona była z niej zadowolona. „W koncepcji przedstawionej przez szefa niemieckiej dyplomacji, a wypracowanej w porozumieniu z przedstawicielami wszystkich niemieckich sił politycznych oraz z udziałem polskich historyków, w sposób jednoznaczny przesądza się kwestię budowy w Berlinie pomnika polskich ofiar II wojny światowej" – poinformował wówczas polski MSZ w komunikacie.

W stolicy Niemiec od dawna istnieją pomniki ku czci pomordowanych europejskich Żydów, Sinti i Romów, homoseksualistów oraz osób niepełnosprawnych. Pomnika Polaków nie ma i wydaje się, że nie można się spodziewać, iż pojawi się w ciągu najbliższych kilku lat. Od momentu podjęcia uchwały przez Bundestag minęły już ponad dwa lata. Nic nie wskazuje na to, że jesteśmy bliżej wmurowania kamienia węgielnego pod obelisk polskich ofiar niemieckiego terroru.

PRÓBA ROZMYCIA

Obecnie budowa pomnika nie tylko wydaje się odłożona w czasie, lecz także trudno mieć już pewność, że on w ogóle powstanie. Pomysły na to upamiętnienie zaczynają bowiem skręcać w stronę, która Polakom na pewno się nie spodoba.

Z początkiem roku usłyszeliśmy o kolejnej koncepcji rządu niemieckiego. Miałoby dojść do stworzenia Domu Polsko-Niemieckiego, który przedstawiałby tysiącletnią wspólną historię narodów Polski i Niemiec. To w istocie próba rozmycia polskiego cierpienia lat 1939–1945. Można zakładać, że w ekspozycji zawierającej wspólną historię swoje miejsce znalazłyby również wysiedlenia ludności niemieckiej z terenów Ziem Odzyskanych, przyznanych Polsce po drugiej wojnie światowej decyzją zwycięskich mocarstw. Byłoby to zrównanie polskich cierpień, za które niewątpliwą winę ponoszą Niemcy, z cierpieniami narodu niemieckiego, które poniósł w wyniku wywołanej przez państwo niemieckie drugiej wojny światowej.

Koncepcję dotyczącą upamiętnienia wspólnego polsko-niemieckiego sąsiedztwa strona polska powinna dopuścić jedynie pod pewnymi warunkami. Być może należałoby tę historię skrócić do dziejów ostatnich stu lat. Jednak fundamentalnym warunkiem Polaków powinno być utworzenie odrębnej ekspozycji przedstawiającej niemieckich zbrodniarzy, którzy za popełnione na Polakach w czasie okupacji zbrodnie uniknęli sprawiedliwości i dożyli końca swych dni przez nikogo nieniepokojeni. Pokazani powinni też zostać ci, którzy jakimś cudem stanęli przed niemieckim sądem i otrzymali śmiesznie niskie wyroki, niewspółmierne do popełnionych zbrodni. Historycy wraz z muzealnikami nie powinni mieć problemów z zapełnieniem takiej ekspozycji postaciami niemieckich zbrodniarzy.

PRZYKŁAD „REGIONALISTÓW"

Tymczasem polsko-niemieckie spory dotyczące historii toczą się wciąż także na innych polach. Wybuchły m.in. podczas niedawnej uroczystości odsłonięcia na terenie dawnego komunistycznego obozu Zgoda w Świętochłowicach makiety odwzorowującej jego topografię.

Inicjatywa Muzeum Powstań Śląskich oraz Instytutu Pamięci Narodowej w Ka-

eprasa.pl 1a5fd4df8c

na pamięć

Budowa pomnika polskich ofiar w Berlinie dziś wydaje się nie tylko nieprzesądzona, lecz także bardzo niepewna

towicach wzbudziła nieskrywaną wściekłość „regionalistów" pod egidą Ruchu Autonomii Śląska. Protestowali przeciw napisowi na makiecie. Mówi on o tym, że obóz Zgoda w czasie okupacji był filią niemieckiego obozu koncentracyjnego, by po wojnie stać się „komunistycznym obozem pracy". Określenie umieszczone na makiecie („obóz dwóch totalitaryzmów niemieckiego i komunistycznego") jest w opinii „regionalistów" nie do przyjęcia. Ich zdaniem napis powinien zawierać sformułowanie „niemieckiego i polskiego" albo „nazistowskiego i komunistycznego".

Nietrudno zauważyć, że oburzenie wzbudziło przede wszystkim nazwanie obozu do 1945 r. „niemieckim". Protestujący byliby skłonni się na taką nazwę zgodzić jedynie pod warunkiem, że okres powojennego funkcjonowania obozu zostanie nazwany „polskim obozem koncentracyjnym". Trudno o lepszy przykład rozmycia niemieckich zbrodni rzekomymi polskimi represjami na „mniejszościach narodowych" po wojnie.

Naciski „regionalistów" okazały się – niestety – na tyle silne, że marszałek województwa śląskiego Jakub Chełstowski zapowiedział specjalną debatę historyków, która jego zdaniem ma pomóc w podjęciu właściwej decyzji dotyczącej napisu na makiecie.

Czy taki los czeka właśnie ewentualną ekspozycję wspólnych dziejów polsko-niemieckich? Czy tam także zwiedzający dowiadywać by się mieli nie tylko o niemieckich obozach koncentracyjnych, lecz także o powojennych „polskich" obozach, w których represjonowano mniejszości narodowe, w tym Niemców?

Wielu obserwatorów tego, co dzieje się wokół prób upamiętnienia polskich ofiar w Berlinie, zauważa, że naciski polskich polityków i historyków są zbyt rachityczne. Brakuje stanowczych kroków i nieustępliwości. Wszystko to sprawia, że projekt jest przez stronę niemiecką przesuwany w czasie oraz proponowany w niekorzystnych koncepcjach. Może to sprawić, że Polska będzie żałować, iż w ogóle powstał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Kim pan jest, panie Overbeek?

Tomasz Rowiński

Jakie jest zadanie książki „Maxima Culpa", panie Overbeek? Bo na pewno nie jest nim dotarcie do prawdy

Ekke Overbeek

FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

Kim jest Ekke Overbeek, holenderski dziennikarz, który wykreowany został przez część mediów w naszym kraju na sumienie polskiego Kościoła? Właściwie to należałoby powiedzieć, że nikim szczególnym. Człowiekiem, który był na tyle sprytny, by znaleźć się w odpowiednim miejscu i czasie razem ze swoimi „zainteresowaniami". Książka „Maxima Culpa. Jan Paweł II wiedział" dobrze jednak pokazuje, że nie wystarczy mieć „zainteresowania", by w sensowny sposób zabrać głos w debacie publicznej. Przypadek Overbeeka mówi nam jeszcze coś. Nie potrzeba nawet elementarnej rzetelności, by przebić się z przekazem wrogim Kościołowi, katolicyzmowi czy polskiej tradycji.

Nie da się o Overbeeku pisać w oderwaniu od jego ostatniej książki, ponieważ naprawdę wiele mówi ona tym autorze. Sposób przygotowania tego dzieła budzi zażenowanie nie tylko u tych, którzy są zaangażowani w obronę pamięci i dobrego imienia Jana Pawła II, a zatem także szukają wiedzy o tym, jak się rzeczy miały w przeszłości. Niesmak powoduje ona także u tych, którzy po prostu będąc zainteresowanymi prawdą, sięgnęli po tom „Maxima Culpa".

W ciekawy sposób swoją lekturę tej książki relacjonował Patryk Słowik, dziennikarz portalu wp.pl, które to medium naprawdę trudno uważać za sprzyjające Kościołowi. „Czytałem bez żadnej tezy w głowie. Pisałem zresztą kilka dni temu, że sprawa czynów Jana Pawła II powinna zostać rzetelnie wyjaśniona. Ale po lekturze książki sądzę, że autorowi chodziło o mocne tezy, a – niestety – nie starczyło czasu na ich warsztatowo poprawne opracowanie" – napisał Słowik w mediach społecznościowych. „I nie wdając się w spory na temat roli papieża w tuszowaniu pedofilii w Kościele – gdybym tak pisał teksty, jak autor książki swobodnie wyciąga wnioski, dawno byłbym wielokrotnie skazany za zniesławienia" – dodał dziennikarz. „Przykład jeden z wielu: »jeśli kardynał mówi prawdę, jest to kolejny dowód, że Jan Paweł II zachęcał biskupów do tuszowania przestępstw seksualnych«. Myślicie, że autor potem stara się ustalić, czy kardynał mówi prawdę? Otóż nie. Przyjmuje, że Jan Paweł II na pewno tuszował" – konkluduje autor portalu wp.pl.

CYNGIEL LIBERALNEJ LEWICY

Ekke Overbeek od lat pracuje w Polsce. Znany jest jako korespondent niderlandzkich dzienników, m.in. „Trouw" czy „Het Financieele Dagblad" w naszym regionie Europy. Pisał także dla belgijskiego „De Tijd". Od lat próbuje – warto podkreślić słowo „próbuje" – zajmować się skandalami seksualnymi w Kościele polskim. Jednak najnowsza książka skłania raczej do przekonania, że bardziej jest on zainteresowany pozycją „cyngla" środowisk liberalnej lewicy, które bez wątpienia reprezentuje Agora – wydawca zarówno książki „Maxima Culpa", jak i „Gazety Wyborczej" – niż chęć dotarcia do prawdy. Andrzej Pawluszek, korespondent Polskiej Agencji Prasowej w Amsterdamie, autor, który publikował m.in. na łamach „De Volkskrant", wspomnianego już „Trouw" czy „Nederlands Dagblad", tak scharakteryzował Overbeeka 8 marca br. w mediach społecznościowych: „Holenderski autor książki o JPII to nie jest żaden uznany autorytet. Jego teksty o Polsce są stronnicze i nacechowane niechęcią do PiS".

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Pawluszek w swoich wpisach wspomniał też o innym przypadku konfabulacji, której dopuścił się Overbeek: „Przypominam, że autor książki o JPII Ekke Overbeek kłamał w 2016 r., że w Polsce wzrosła liczba incydentów antysemickich. Prostowałem to w polemice, którą opublikował dziennik @trouw. Holenderski dziennikarz ma łatwość formowania opinii, które nie znajdują pokrycia w faktach" – zauważył korespondent.

Overbeek chwalił się w polskich mediach także innymi kuriozalnymi wypowiedziami. W grudniu 2021 r., a zatem raptem dwa miesiące przed rosyjską inwazją na Ukrainę, ale już jakiś czas po hybrydowym ataku, który miał miejsce na granicy polsko-białoruskiej, mówił w wywiadzie dla TVN24: „Stosunków z Rosją nie ma, to epoka lodowa. Ale jak patrzysz na to, jakie interesy ma Rosja, to może się okazać, że PiS jednak jest partią bardzo prokremlowską". Overbeek jest stały w swoich dyspozycjach. Eryk Mistewicz, prezes Instytutu Nowych Mediów, wydawcy miesięcznika opinii „Wszystko Co Najważniejsze", a także dziennikarka PAP Anna Gwozdowska przypomnieli w ostatnich dniach obszerny tekst Overbeeka z 2017 r. dla jednego z niderlandzkich portali zatytułowany „Rusofobiczna Polska: hałaśliwie antyzachodnia, milcząco popierająca Kreml". Autorytetami w polskich sprawach są w tym tekście dziennikarz „Gazety Wyborczej" Paweł Wroński czy „dziennikarz śledczy" Tomasz Piątek. Overbeek krytykuje w „Rusofobicznej Polsce" wszystko, nawet ewidentny sukces Wojska Polskiego, czyli rozwijanie jednostek WOT.

Warto przypomnieć, że od lat stałym stanowiskiem opinii liberalnej i lewicowej w Polsce jest wmawianie związków z Kremlem tym wszystkim, którzy np. w kwestiach moralności publicznej zachowują stanowisko „konserwatywne". W rzeczywistości nie chodzi o żaden konserwatyzm, który ma bardzo rozmaite oblicza, ale przywiązanie polskiej prawicy do katolickich czy prawnonaturalnych zasad stanowiących fundament życia społecznego. Gwozdowska w swoim opracowaniu sylwetki Overbeeka wspomina także inny jego tekst z niderlandzkich mediów, w którym ten porównuje Kaczyńskiego i Putina. Czy to dziwi? Niekoniecznie, skoro Overbeek w roku 2015 napisał i wydał w swoim kraju hagiograficzną książkę poświęconą Donaldowi Tuskowi zatytułowaną „Eurotopper Tusk – Nowa Polska w Europie", to trzeba uznać, że poglądy ma ustalone. Co charakterystyczne, na okładce książki, oprócz jej bohatera, możemy zobaczyć także stanowiącą dla Tuska tło – może zaplecze? – Angelę Merkel.

We wspomnianym wywiadzie dla TVN24 Overbeek pouczał Polaków także o ich rzekomo błędnym rozumieniu historii, w rzeczywistości wykazując się zupełną nieznajomością procesów narodotwórczych, jakie miały miejsce na naszych ziemiach w XIX i XX w. „W Polsce trwa taka narracja postszlachecka, mimo że większość ludzi w Polsce tak naprawdę ma pochodzenie chłopskie i de facto niewolnicze" – mówił dziennikarz. Nie mogło też zabraknąć słówka o „roli Polaków" w Holokauście. Jak trafnie zauważył dziennikarz „Wprost" Dariusz Grzędziński: „W tym momencie ten chory strumień świadomości powinien być przerwany, a obecność pana Ekkego w mediach zakończona na zawsze". Jednak prowadzący wywiad Jacek Tacik nie zareagował.

Wróćmy do kościelnych zainteresowań Overbeeka. W roku 2013 wydał on książkę „Lękajcie się. Ofiary pedofilii w polskim Kościele mówią". „Większość ofiar mimo upływu czasu wciąż się wstydzi, wciąż boi mówić. Ulegają szantażowi Kościoła, który sączy im do głów: »Lękajcie się«" – nawiązywał Overbeek do tej swojej pracy sprzed dekady w niedawnym wywiadzie dla „Newsweeka", w którym promował nową książkę. W promocji tej dawnej pozycji pomagał Overbeekowi Marek Lisiński, oszust, założyciel fundacji Nie Lękajcie Się, który przedstawiał się jako ofiara księdza pedofilia, co okazało się nieprawdą. To Overbeek miał zainspirować Lisińskiego do instytucjonalizacji swojego – jak się potem okazało – oszustwa. Wśród osób, które tak bardzo były zdeterminowane, by atakować Kościół za wszelką cenę, że dały się nabrać Lisińskiemu, byli nie tylko Overbeek, lecz także politycy lewicy Joanna Scheuring-Wielgus i Agata Diduszko-Zyglewska. Pamiętamy, te doprowadziły do spotkania Lisińskiego z papieżem Franciszkiem, który w geście przeprosin ucałował ręce oszusta.

„Dla ofiar to byłby cios. Dla fundacji też. Dla książki już nie. Ona spełniła swoją rolę. Zależało mi, żeby pokazać, że problem pedofilii istnieje również w Polsce. Dziś mało kto w to wątpi. I to jest ogromna zmiana. Przypadek jednego człowieka tego nie zmieni" – komentował sprawę ujawnienia oszustw Lisińskiego Overbeek. Po wydaniu książki Overbeek zrealizował jeszcze film „Silence in the Shadow of John Paul II", który nie wywołał jednak zbytniego poruszenia. Na YouTube ma on niespełna 800 wyświetleń.

CHŁODNE PRZYJĘCIE

Czy książka Ekkego Overbeeka „Maxima Culpa" została dobrze przyjęta w jego ojczyźnie? Wygląda na to, że niespecjalnie. Wprawdzie „Trouw" odmówił publikacji polemiki napisanej przez Diederika Wienena, który najwyraźniej zapoznał się z rzetelnymi opracowaniami tematu księży pedofilów w archidiecezji krakowskiej z czasów kard. Wojtyły, które wyszły spod piór Tomasza Krzyżaka i Piotra Litki. Jednak w mediach niderlandzkich pojawiły się zdystansowane komentarze dotyczące zarówno merytoryki, jak i metodologii książki. W „Nederlands Dagblad" ukazała się także rozmowa z Tomaszem Krzyżakiem, co trzeba uznać za dobry znak i objaw trzeźwości tamtejszych dziennikarzy w ocenie sytuacji. Dla komentatorów z kraju Overbeeka znaczący wydaje się argument niskiej wiarygodności archiwów, które wyprodukowała bezpieka. Z naszej perspektywy sprawy wyglądają na bardziej złożone i dziś trzeba mówić o tym, że Overbeek dopuścił się nadinterpretacji – jak mówią Krzyżak z Litką – a może po prostu nadużycia i manipulacji.

Można się niestety spodziewać, że sam zainteresowany na krytykę, która go spotyka, zareaguje bez zażenowania w podobny sposób, jak zrobił to po wpadce Lisińskiego – książka „spełniła swoją rolę". Nie można się spodziewać czegoś innego, skoro w niderlandzkich mediach bez zmrużenia oka mówił o przypadku ks. Eugeniusza Surgenta jako koronnym dowodzie na winę kard. Wojtyły. A przecież ta sprawa została rzetelnie wyjaśniona przez dziennikarzy „Rzeczpospolitej". Jakie jest zatem zadanie książki „Maxima Culpa", panie Overbeek? Bo na pewno nie jest nim dotarcie do prawdy. Co zatem?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

SZERZEJ O BŁĘDACH EKKEGO OVERBEEKA W KSIĄŻCE „MAXIMA CULPA. JAN PAWEŁ II WIEDZIAŁ" NA STRONIE 56

eprasa.pl 1a5fd4df8c

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Upadek pani Janiny

Zuzanna Dąbrowska

Janina Ochojska była autorytetem dla dużej części społeczeństwa. Dziś jest politykiem, którego niewielu Polaków traktuje poważnie. Jak do tego doprowadziła?

Myślę, że ofiar tej granicy jest o wiele więcej. One albo są w jakimś zbiorowym grobie, bo nie zdziwiłabym się, gdyby w czasie, kiedy był zamknięty dostęp do granicy, po prostu pozbierano ciała, żeby nie było tych dowodów. W tej chwili mówi się o prawie 300 osobach, które zaginęły – stwierdziła niedawno Janina Ochojska. Wybrana do Parlamentu Europejskiego z listy Koalicji Europejskiej prezes Polskiej Akcji Humanitarnej od początku kryzysu na granicy polsko-białoruskiej stawała w obronie „uchodźców", czyli de facto przeciw obronie polskiej granicy. Wraz z upływem czasu przeszła od apeli o przyjmowanie wszystkich niezależenie od tego, w jaki sposób chcą się przedostać na nasze terytorium, do snucia bezpodstawnych teorii o systemowej akcji ukrywania zwłok migrantów przez polskie służby.

Europosłanka sugerowała nawet udział polskich leśników w procederze chowania ciał w masowych grobach, w zawoalowany, ale niezbyt subtelny sposób wskazując jednocześnie, że być może mają oni za uszami coś gorszego. – Był taki moment, kiedy powołano leśników z całego kraju. Po co? Przecież nie po to, żeby pomogli puszczy w trudnym momencie. Ale po coś ich zwołano – stwierdziła Ochojska.

Leśnicy z Lasów Państwowych poczuli się tymi oskarżeniami dotknięci. Domagają się od Ochojskiej przeprosin i przekazania 200 tys. zł na cel charytatywny. Z kolei na polecenie prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry Prokuratura Okręgowa w Warszawie wszczęła postępowanie „w sprawie pomówienia Państwowego Gospodarstwa Leśnego Lasy Państwowe oraz jego pracowników o postępowanie i właściwości, które mogą poniżyć wyżej wymienionych w opinii publicznej lub narazić na stratę zaufania potrzebnego dla prowadzonej działalności".

Jednak dla szefowej PAH to tylko dowód na to, że władze mają wiele do ukrycia. „Jako europosłanka zadaję pytania niewygodne dla władzy. Polacy wciąż nie wiedzą, co się działo w strefie stanu wyjątkowego. Wczoraj znaleziono ciało 38. ofiary, 232 osoby Grupa Granica uznaje za zaginione" – napisała 13 marca.

Od połowy 2021 r., czyli początku kryzysu humanitarnego wywołanego na granicy przez Mińsk (o operacji „Śluza", opracowanej przez reżim Łukaszenki, już dekadę temu szeroko pisał białoruski bloger Tadeusz Giczan), odnajdywane są ciała migrantów (OKO.press twierdzi, że chodzi o 38 ofiar śmiertelnych). Grupa Granica twierdzi też, że zaginęło ponad 200 osób. Danych o zaginionych nie sposób zweryfikować. Jednocześnie nie ma ani jednego dowodu na to, aby państwo polskie w jakikolwiek sposób brało udział w ukrywaniu „dowodów zbrodni".

SPOŁECZNIK OD ZAWSZE

Janina Ochojska – jak czytamy w jej nocie biograficznej na stronie Polskiej

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Akcji Humanitarnej – „zawsze była aktywnym społecznikiem – na studiach związana z Duszpasterstwem Akademickim oo. Jezuitów, a od 1976 roku opozycjonistka oraz działaczka toruńskiej NSZZ »Solidarność«. Swój życiowy cel odkryła we Francji, dokąd trafiła na operację w 1984 r. Tam po raz pierwszy zetknęła się z ideą funkcjonowania organizacji humanitarnej – EquiLibre, w której pracowała jako wolontariuszka. Koordynowała francuską pomoc medyczną i żywnościową dla polskich szpitali oraz organizowała konwoje wparcia dla Bośni".

Ochojska otworzyła polski oddział EquiLibre, a następnie uruchomiła PAH. Organizowała misję pomocy w Kosowie, Czeczenii, Iraku, Iranie, Libanie, na Sri Lance, w Afganistanie, Sudanie, Darfurze czy Autonomii Palestyńskiej.

A wszystkim tym zajmowała się osoba, której życie nie rozpieszczało. W dzieciństwie chorowała na polio, a w dorosłym życiu zmagała się z rakiem.

W 2011 r. prezydent Bronisław Komorowski nadał jej Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi w działalności na rzecz budowania społeczeństwa obywatelskiego, za osiągnięcia w podejmowanej z pożytkiem dla kraju pracy zawodowej i społecznej". W 2018 r. gdańszczanka otrzymała honorowe obywatelstwo m.st. Warszawy z rąk prezydenta Trzaskowskiego.

W STRONĘ WAŁĘSY

Dorobek w pracy społecznika Ochojska zaczęła rozmieniać na drobne nieodpowiedzialnymi wypowiedziami o sytuacji na granicy z Białorusią. W grudniu 2021 r., po wprowadzeniu na terenach przygranicznych stanu wyjątkowego, zamieściła na Twitterze wpis, w którym wyraziła nadzieję, że „kiedyś ludzie ze Straży Granicznej odpowiedzą za łamanie prawa i tortury zadawane niewinnym ludziom". I dodała: „Opisy takich czynów czytałam w relacjach osób, które przeżyły II WŚ. Wzorce z katów niemieckich i sowieckich obozów".

Zamiast chwalić Polaków za otwarcie drzwi swoich domów dla uchodźców z Ukrainy, twierdziła na forum Parlamentu Europejskiego, że nasze społeczeństwo jest gotowe pomagać tylko ludziom o takim jak nasz kolorze skóry. Jej zdaniem polska pomoc „jest obecnie zarezerwowana tylko dla niektórych uchodźców". – Tych bliższych kulturowo, mówiących podobnym językiem. Pomaganie innym migrantom proszącym o ochronę międzynarodową na granicy białoruskiej jest kryminalizowane, a osoby udzielające takiego wsparcia prześladowane – mówiła w marcu 2022 r., wpisując się wprost w Łukaszenkowską propagandę, która stosowała identyczne argumenty.

Z kolei w lutym, informując o „ożywieniu" na granicy z Białorusią, Ochojska użyła skandalicznego porównania. – Dla mnie to, co ostatnio działo się w Polsce, taki kierunek faszyzujący, przypomina mi to lata 30. w Niemczech i rok 1933, kiedy Hitler doszedł do władzy. Ludzie, przyjmując takie zachowania, które wyrażały się w antysemityzmie czy nienawiści do ludzi innej rasy, wiecie, do czego doprowadzili. Na pewno nie chcielibyśmy tego, żeby to wróciło – ostrzegała w nagraniu udostępnionym w Internecie.

Na początku marca z inicjatywy Ochojskiej w PE w Brukseli otwarto wystawę „Push-back jest nielegalny. Pomaganie jest legalne". Jak informowała delegacja PO-PSL w PE, „wystawa nawiązuje do kryzysu humanitarnego na pograniczu polsko-białoruskim, trwającego od sierpnia 2021 r." i „skupia uwagę na kwestiach łamania międzynarodowego prawa humanitarnego, w tym konwencji genewskiej poprzez stosowanie regularnych push-backów i odmawianie migrantom możliwości składania wniosków o ochronę międzynarodową, a także zastraszanie tych, którzy ratują życie na granicy". De facto jest to nieformalny akt oskarżenia pod adresem własnego państwa, sformułowany na forum międzynarodowym, które – jak wiadomo – i tak jest nastawione do Warszawy negatywnie. – Wystawa w sposób tendencyjny i niezgodny z prawdą przedstawia obraz sytuacji na granicy polsko-białoruskiej, granicy zewnętrznej UE. Jest czymś absolutnie niedopuszczalnym, że w PE po raz kolejny z ust przedstawicieli opozycji wobec rządu RP padają słowa pełne agresji, nieprawdy – komentował europoseł PiS Joachim Brudziński.

Sprawa Janiny Ochojskiej zaczyna przypominać casus Lecha Wałęsy. Od wielu lat nawet politycy obozu liberalnego patrzą na wypowiedzi byłego prezydenta przez palce i z dystansem. Kolejne zaskakujące stwierdzenia są albo zupełnie ignorowane, albo kwitowane uśmiechem i komentarzem: „Nieważne, co mówi, ma ogromny dorobek, to przecież legenda". Warto mieć zdjęcie z noblistą, tylko tyle. Tak dzieje się również z „Janką".

Szefowa PAH nie należy do PO, a jedynie startowała z jej list do PE, jednak wydaje się, że partia nie chce mieć z Ochojską nic wspólnego. – Tej sprawie towarzyszy bardzo dużo emocji. Ja rozumiem, że Janinie Ochojskiej też towarzyszą emocje jako osobie, która była zawsze zaangażowana w pomaganie słabszym. Natomiast na pewno nie powinno się tego typu informacji podawać publicznie, jeżeli nie jest ona w stu procentach potwierdzona, bo to są zbyt poważne sprawy – przyznał Rafał Trzaskowski, pytany o oskarżenia formułowane przez europoseł. – Uważam, że jeżeli nie jest to potwierdzone, nie powinno się takich rzeczy mówić dlatego, że to tym bardziej te emocje wyzwala. A w takich sprawach powinno się jednak stronić od tak ostrych emocji, dlatego że to powoduje po prostu kolejne podziały i na pewno będzie też wykorzystywane przeciwko Janinie Ochojskiej – mówił dalej prezydent Warszawy. Wcześniej, gdy eurodeputowana krytykowała zapowiedź MON w sprawie budowy zapory na granicy z obwodem kaliningradzkim, w zdecydowany sposób odciął się od niej szef klubu KO Borys Budka. – Będziemy zawsze stać na straży polskich granic. Pani Ochojska nie jest członkiem Platformy – podkreślał.

Po ostatnich oskarżeniach Ochojskiej wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski napisał na Twitterze, że Janina Ochojska ma szansę zostać „pierwszą laureatką nagrody im. Emila Czeczki", którą może przyznać białoruska fundacja jego imienia (Czeczko był dezerterem z Polskiego wojska, który uciekł na Białoruś i był wykorzystywany przez tamtejszą propagandę do rozpowszechniania nieprawdy o kryzysie migracyjnym na wschodniej granicy. Zginął w niewyjaśnionych okolicznościach w marcu ubiegłego roku).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Imperium czy ojczyzna?

Piotr Gociek

Głuchowski krytykował ostro Putina i putinizm w czasach, gdy jeszcze nie było to modne. „Opowieści o ojczyźnie" pełne są ironii i rozpaczy

Dmitrij Głuchowski jest jednym z najpopularniejszych na świecie rosyjskich pisarzy – autorem fenomenalnego sukcesu serii postapokaliptycznej „Metro 2033" (piszą o tym uniwersum i inni autorzy, także polscy) oraz kilku innych poczytnych powieści. Jest także pisarzem przez Moskwę ściganym – w czerwcu ubiegłego roku wystawiono za nim list gończy, bo putinowski reżim wysmażył dla niego sprawę karną, a potem wpisał go także na listę „zagranicznych agentów". Zagraniczny jest o tyle, że żyje na emigracji w Barcelonie, a nie w Rosji, dzięki czemu ocalił wolność, a być może i życie. Jako jeden z nielicznych rosyjskich twórców protestuje głośno przeciw wojnie na Ukrainie. W marcu 2022 r. zwrócił się za pośrednictwem telewizji Arte i mediów społecznościowych do swoich fanów z całego świata (wystąpienie po angielsku): „Jestem pisarzem z Moskwy w Rosji. Chcę powiedzieć, że wiele osób w Rosji, tak jak ja, doskonale zdaje sobie sprawę, że ta wojna musi się natychmiast skończyć". Otwarcie wsparł Kijów, wzywając: „Proszę, bądźcie silni. Prawda i pokój muszą zwyciężyć!". Matiuszka Rosja odpłaciła mu się listem gończym.

Głuchowski krytykował ostro Putina i putinizm w czasach, gdy jeszcze nie było to modne. Robił to tak, jak może czynić pisarz: kąśliwym piórem. Znamy w Polsce jego zbiór opowiadań „Witajcie w Rosji" (2014), pełen przesyconych czarnym humorem humoresek fantastycznych o patologiach toczących władzę i cały kraj. Dwa lata temu recenzowałem w „Do Rzeczy" jego powieść „Outpost", w której malował czarny obraz przyszłości swojego kraju. Przyszłości, w której nikt niczego się nie nauczył, bo po kataklizmie, który wyludnił Rosję, nowe władze popełniają te same błędy, brną w imperialną pychę, szykując kolejną wojnę, bo „po raz pierwszy po rozpadzie imperium zgromadziły dość sił, żeby odbić z rąk rebeliantów zabrane przez nich ziemie. Nasze odwieczne ziemie!".

DIAGNOZA ROSYJSKICH CHORÓB

Najnowszy na naszym rynku tom prozy Głuchowskiego to zbiór opowiadań „Opowieści o ojczyźnie". Nie jest to ani książka szczególnie dobra, ani nowatorska, w dodatku mocno spóźniona, bo przypominająca teksty powstałe głównie w czasach, gdy Putin z Miedwiediewem

FOT. ULRICH BAUMGARTEN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 1a5fd4df8c

wymienili się na jakiś czas rolami premiera i prezydenta. Warto ją odnotować z kilku względów. Po pierwsze, to wciąż przenikliwa diagnoza wszelkich chorób Rosji. Po drugie, przyczynek do dyskusji, jak traktować rosyjską kulturę i rosyjskich twórców w czasach, gdy zdecydowana większość z nich wspiera Putina i wypisuje haniebne rzeczy – jak choćby inny znany w świecie rosyjski fantasta Siergiej Łukjanienko („Nie ma takiego kraju jak Ukraina i nigdy nie powinno być. To będzie albo część Rosji, albo polski protektorat” – głosił w marcu 2014 r. i twierdził, że władze w Kijowie przejęli „naziści” i „mordercy”). Niektórzy rosyjscy ludzie kultury udają, że nic się nie stało, dzielą się mądrościami typu „każda wojna to straszna rzecz”. Bardzo nieliczni, jak Głuchowski, publicznie protestują. Po trzecie, czytanie nielicznych rosyjskich prób rozliczania się z Putinem i putinizmem, powstałych nie tylko przed 24 lutego 2022 r., lecz także jeszcze przed zaborem Krymu w 2014 r., zmusza do pytań: A co dalej? Jak swój świat opiszecie teraz, panowie – i wy w Moskwie i wy na emigracji?

Wróćmy do opowiadań. Powszechna korupcja, bezprawie ubrane w szatki prawa, przemoc. Wybory zwane Rytuałem, które nadzoruje Sysadmin, czyli kontroler wszelkich kanałów propagandy (opowiadanie „Co poradzisz”). Już nawet nie o utrzymanie władzy martwią się w owym czasie włodarze Rosji – bo któż by im niby miał tę władzę odebrać – ale o własne konkretne korzyści. „Jeśli Rytuał nie zostanie przeprowadzony zgodnie z Kodeksem ceremonialnym albo nawet jeśli zostanie przeprowadzony bez fantazji, czyli mówiąc po rosyjsku, na odpier.ol, to nasi zachodni partnerzy pogorszą warunki przechowywania naszych depozytów bankowych” – przestrzega Narodowy Przywódca. Wszystko musi być wyreżyserowane perfekcyjnie, w razie potrzeby porwie się nawet i Jamesa Camerona.

Cóż z tego, że manipulacja jest doskonała, a manipulowani stają się prawdziwymi wyznawcami Narodowego Przywódcy. Tenże (w opowiadaniu „Karmienie tajskich sumików” chwilowo jako Premier) tłumaczy: „Naszą Ojczyznę utrzymuje w całości wyłącznie poczucie, że nasza Ojczyzna stanowi całość […]. Dopóki naród ma poczucie, że Władywostok i Władykaukaz to jeden kraj, dopóty tak właśnie będzie. Gdyby to poczucie zniknęło, to koniec”.

Zwróćmy uwagę na ten fragment, jakże ciekawy, gdy zabieramy się do całkiem poważnych rozważań o lękach zwykłych Rosjan, które Putin doskonale wykorzystuje. Związek Sowiecki nie istnieje, ale pozostał mechanizm wielkiej mistyfikacji. I cień wielkiej zbrodni. Jedni odnajdują się w systemie i chcą awansować za wszelką cenę. Jest tu kilka poświęconych temu tekstów, łącznie z chyba najlepszym w zbiorze opowiadaniem „Winda”. Inni mają dość. „Nie mam już siły. Nie chcę. W kolonii karnej to szybciej się skończy. Chcę, żeby wszystko się jak najszybciej skończyło” – mówi bohaterka przerażającej opowieści „Siarka”. Komunikują się z nią umarli – w głowie słyszy głosy tysięcy skazańców, którzy zakładali Norylsk, a teraz spoczywają w zbiorowym bezimiennym grobie. Ale chwilowe przebudzenia zdarzają się tylko pojedynczym bohaterom. Kluczem do Rosji jest wykorzystywanie „zbiorowej nieświadomości rosyjskiego narodu” („Komunia”).

DIMITRIJ GŁUCHOWSKI „OPOWIEŚCI O OJCZYŹNIE” WYDAWNICTWO INSIGNIS 2023

PRAWDZIWA WŚCIEKŁOŚĆ

Opowiadania Głuchowskiego nie są wielką literaturą; nawet jak na dzieła kultury popularnej wydają się ledwie poprawne. Publicystyczność, doraźność przeważają nad literaturą. Ale wściekłość, którą w nich znajdujemy, jest prawdziwa (podobnie jak ocena grzechów putinizmu). Ta wściekłość znajdzie punkt kulminacyjny w późniejszej powieści „Outpost”, o której wspominałem. Tam w pełni ukształtowane jest już przekonanie autora, że to wszystko musi się skończyć źle, bardzo źle, tragicznie, nie tylko dla ojczyzny, lecz także dla wszystkich dookoła. Czarna dziura nieprawości i nihilizmu pochłonie wszystko.

Przestrzegali przed tym bardzo nieliczni współcześnie twórcy rosyjscy, bo reszta taplała się w zaszczytach hojnie rozdawanych przez Narodowego Przywódcę: Któż nie chciałby być Wielkim Pisarzem Wielkiego Imperium? Nie znaliśmy skali tego zjawiska, bo zwykle tłumaczono w Polsce dzieła raczej tych krytycznie nastawionych do systemu. Inna sprawa, że cały czas nie wszyscy zdają sobie sprawę, jak podejrzliwym należało być wobec pozornie niewinnych i apolitycznych działań kulturalnych Federacji Rosyjskiej i luminarzy jej kultury. Nie darmo dyrektor Ermitażu Michaił Piotrowski wprost deklarował (wywiad dla dziennika „Rossijskaja Gazieta”) latem ubiegłego roku: „Wszyscy jesteśmy militarystami i imperialistami […]. Nasze ostatnie wystawy za granicą to po prostu potężna ofensywa kulturowa […], swego rodzaju »operacja specjalna«. Która wielu się nie podoba. Ale my nadchodzimy. I nikomu nie możemy pozwolić, by ingerował w naszą ofensywę”. Nie bez powodu, jak widać, mówił w moim programie telewizyjnym ukraiński eseista Mykoła Riabczuk: „Nie proponuję, by wyrzucić na śmietnisko całą kulturę rosyjską. Ale tak długo, jak trwa wojna, sugerowałbym nie wystawiać ani spektakli, ani oper rosyjskich. Po prostu to odłożyć na jakiś czas”.

Rosja swoich najlepszych pisarzy już dawno wyrzuciła na śmietnisko – żyją na emigracji jak Głuchowski, ale mam tu na myśli przede wszystkim twórców o kilka klas od niego lepszych, jak Michaił Szyszkin czy Siergiej Lebiediew. Ten ostatni w serii wybitnych i wybitnie ponurych powieści ukazał, jak współczesna Rosja jest więźniem zbrodni przeszłości. Drobiazgi literackie Głuchowskiego i wielkie dokonania Lebiediewa mówią nam to samo: to, co obserwujemy w Rosji, to nie kryzys – to rezultat (słowa Stefana Kisielewskiego o bolączkach PRL pasują tu jak ulał). Natura systemu znana była wszystkim, którzy chcieli patrzeć. Tyle że mało kto chciał patrzeć, a jak patrzył, to rzadko chciał widzieć.

Co prowadzi nas do kwestii trzeciej: A jak pisać będą pisarze rosyjscy o Rosji już po wojnie, kiedy skończy się (oby!) putinizm? Imperialne sny nie umierają w Moskwie wraz z przywódcami. Przytakuję Głuchowskiemu, gdy chłoszcze biczem satyry Putina, ale gdzieś z tyłu głowy mam też wiedzę, że jest zwolennikiem Nawalnego, o którym wprost trzeba powiedzieć: rosyjski szowinista, Wielkorus i zwolennik zaboru Krymu. Na Putina całej winy zrzucić się nie da. Ale do dalszej, głębszej analizy będą nam już potrzebne nowe dzieła pisarzy lepszych od Głuchowskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Z Anną Gabryś i Katarzyną Tybinką, scenarzystkami serialu „Polowanie na ćmy”
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Motyle nocy na tle rewolucji

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Jak pisze się scenariusz na cztery ręce?

KATARZYNA TYBINKA: Z pewnością wymaga to dobrego dostrojenia, wzajemnego zrozumienia i wrażliwości. Otwartości na wielogodzinne rozmowy. Nie tylko o treści serialu. Nasza praca dotyka delikatnej materii ludzkich emocji, bohaterów w kryzysie. Dlatego scenarzyści często dzielą się między sobą osobistymi doświadczeniami.

Dla mnie od razu było jasne, że w tym przypadku współpraca z Anią będzie niezbędna. Po pierwsze, ma wiedzę historyczną, której mnie brakuje, po drugie – to z naszej wspólnej rozmowy wyniknęła koncepcja adaptacyjna, serce tej opowieści. Pomysł na temat, zasadę porządkującą. Stąd naturalne było, że będziemy pracowały wspólnie nad szczegółowym zarysem całej historii. Gdy przyszło do pisania poszczególnych odcinków, podzieliłyśmy się wątkami, które każda z nas „czuła” lepiej. Oczywiście później czytałyśmy nawzajem swoje fragmenty i wymieniałyśmy się uwagami.

Z powieści Wacława Holewińskiego „Pogrom 1905” zdecydowały się panie wyeksponować kobiety. Dlaczego?

ANNA GABRYŚ: W pierwszej chwili, po przeczytaniu powieści po raz pierwszy, trudno było nam wyłuskać pierwszoplanowego bohatera i wyobrazić sobie taką historię, którą ekran mógłby „polubić”. Zaproponowałyśmy więc podejście nieco inne, które poskutkowało też poważnym odstępstwem od pierwowzoru literackiego. Postawiłyśmy na kobiety, wychodząc z założenia, że kobiety są pokrzywdzonymi bohaterkami historii w ogóle. Wokół nich toczą się wielkie wydarzenia: odległe echa rewolucji w Rosji, w Kongresówce, w tle polscy socjaliści marzą o niepodległości, rosyjscy włodarze „dzielą i rządzą”. A kobiety? Robią to, co zawsze i wszędzie: walczą o swoją wolność, o własną autonomię. Czasem w salonie, czasem w burdelu, a najczęściej na ulicy. Co więcej, te trzy kobiety – Yvette, Szlimakowska i Jurina – miały w naszej opinii większy potencjał na bohaterki niż męskie postaci w książce.

K.T.: Aż się prosi, by zdarzenie centralne powieści, czyli pogrom warszawskich burdeli, opowiedzieć z perspektywy pracujących tam kobiet. Odwracając tezę, że historię piszą zwycięzcy, wygranym może być też ten, kto swoją historię będzie miał szansę opowiedzieć.

Bohaterki są emancypantkami?

A.G.: Trudno powiedzieć o którejkolwiek z nich, że jest emancypantką taką, o jakich uczyliśmy się w szkole, a jednak każda z nich w jakiś sposób się emancypuje w miarę rozwoju narracji. Budując te postaci, myślałyśmy o współczesnych kobietach, którym problem emancypacji nadal jest, niestety, bliski.

K.T.: Dla naszych bohaterek wolność jest naturalną potrzebą. One sobie ją próbują wyszarpać, po prostu, dla siebie. Niezgoda na niemożność decydowania o własnym życiu to coś dla mężczyzn oczywistego, kobiety dochodzą do niej na różny sposób. To jest fascynujące w naszych bohaterkach – są tak inne

eprasa.pl 1a5fd4df8c

od siebie, ale w jednym podobne – chcą żyć swoim życiem. Łatwo się z tym utożsamić.

Wizerunek Warszawy widoczny okiem kamery Macieja Lisieckiego nie koresponduje z terminem belle époque.

K.T.: Myślę, że zdjęcia świetnie oddają kontrasty ówczesnej Warszawy. Z jednej strony luksusy, które dostępne były dla Rosjan, z drugiej strony choćby Nalewki, dzielnica żydowska z jej skrajną biedą. Działy się tam często przerażające rzeczy. Dla mnie osobiście podczas pisania wątków przestępczych inspiracją był serial „Peaky Blinders" opowiadający o gangach w Birmingham w latach 20. XX w. Cieszy mnie, że tę bezkompromisowość w pokazywaniu brutalnej rzeczywistości udało się zachować w warstwie wizualnej.

A.G.: Belle époque to nie tylko legendarny świat bohemy, lecz także rewolucji robotniczych i społecznych, niwelowania różnic klasowych, redefinicji ról płciowych. Wydaje mi się, że takie elementy udało nam się uchwycić w scenariuszu, a obiektyw kamery je uwypuklił. Zdecydowanie warto uzupełniać wizję belle époque o takie kadry.

To bardziej film społeczny czy obyczajowy?

K.T.: Dobry film zawsze jest o ludziach, a nie o sprawach. Walka o idee często jest kontekstem, w którym rozgrywają się ludzkie dramaty. Ale to ten kontekst trafia do podręczników, a o zwykłych ludziach nikt nie pamięta. Sztuka jest po to, by się o nich upominać.

A.G.: Może krakowskim targiem (jesteśmy obie krakowiankami z urodzenia) społeczno-obyczajowy?

Przed ponad stuleciem używano nieco innych form języka polskiego. Usłyszymy to z ekranu?

K.T.: Precyzyjna rekonstrukcja językowa nie była naszym celem. Zarówno nam, jak i producentowi zależało na tym, by dialogi były wartkie i przystępne dla widza. Inna sprawa, że często idealizujemy sposób, w jaki dawniej mówiono. Tymczasem język zawsze bywał wulgarny czy niechlujny. Pisząc dialogi, szukałyśmy złotego środka pomiędzy oddaniem ducha czasów a nieudziwnianiem na siłę.

Nawiasem mówiąc, bohaterowie „Polowania na ćmy" mówią również po rosyjsku.

A.G.: Mówią po rosyjsku, mówią w jidysz, pojawiają się zdania po francusku… Warszawa 1905 r. była miastem wielonarodowym, wieloetnicznym – przecież znajdowała się w granicach Imperium Rosyjskiego. Nasi bohaterowie żonglują językami – proszę zwrócić uwagę na rozmowy Juriny ze Szlimakowską, gdzie wybór języka – polski lub rosyjski – determinują temat i ton wypowiedzi. Podobnie w przypadku Gruna, ten bohater, wzorowany zresztą na prawdziwej postaci Wiktora Gruna, policjanta i agenta ochrany, wypiera się pochodzenia żydowskiego, udając, że nie zna jidysz. Gdy jednak potrzebuje, bez problemu znajduje odpowiednie słowa w tym języku. Mówiąc inaczej: nasi bohaterowie i języki, którymi się posługują, odzwierciedlają realia życia w Warszawie w tej epoce.

À propos tytułu filmu. Proszę wyjaśnić jego znaczenie. Nie chodzi chyba o parafrazę noweli Janusza Głowackiego przeniesionej do kina przez Andrzeja Wajdę…

K.T.: Tytuł został zaproponowany przez producenta. Przede wszystkim odwołuje się do środowiska warszawskich prostytutek, w którym toczy się znaczna część akcji serialu. Te kobiety nazywano eufemistycznie motylami nocy, romantyzując ich wizerunek, zapewne na potrzeby wyobrażeń mężczyzn. Ćmy to nieco bardziej przyziemna metafora. Lepiej oddaje brutalną prawdę o tym, jak niebezpieczne było to życie, na krawędzi blasku i cienia, i w pewnym sensie przywraca tym kobietom podmiotowość.

Scenariusz nawiązuje do tezy, że bez rewolucji 1905/1907 nie byłoby w Polsce roku 1918?

A.G.: To trudne pytanie, bo zachęcające do dokonania autoanalizy. Zastanawiałyśmy się nad motywacjami bohaterów dalszych planów – działaczy niepodległościowych – co ich popycha do akcji straceńczych. Czy jest to marzenie o Polsce, odrodzonej w 1918 r.? Być może. Z pewnością jednak nie stawiałyśmy tezy wiążącej wydarzenia rewolucji 1905 r. z tym, co się stało 13 lat później, bo to nie jest serial traktujący o historii politycznej. Rewolucja 1905 r. jest jedynie mglistym tłem tego, co stanowi główną treść serialu, czyli pogromu domów publicznych w Warszawie.

Tkając go, korzystały panie z archiwaliów?

A.G.: Trudno policzyć godziny spędzone przeze mnie na kwerendzie w bibliotekach tradycyjnych czy w znakomitych bibliotekach cyfrowych, przede wszystkim w Polonie. A to dlatego, że przyjęłyśmy zasadę sprawdzania każdej informacji, którą chciałyśmy zamieścić w scenariuszu. Jeśli rozminęłyśmy się z tzw. prawdą historyczną, to po głębokim namyśle. Dokonując przekłamań, miałyśmy pełną tego świadomość, biorąc pod uwagę dobro pisanej przez nas historii.

Konsultacje historyczne też miały miejsce?

A.G.: Mam doktorat z historii XIX stulecia, specjalizowałam się w badaniach pamięci historycznej i historii społecznej. Przy naszych pracach zakładałam często kapelusz historyczki, niekiedy spierając się sama ze sobą, a czasem z Kasią. W czasie produkcji także odbyły się konsultacje historyczne, zapewnione przez producenta, zarówno w zakresie wydarzeń oraz scenografii, jak i obyczajów.

Autor pierwowzoru literackiego jest uwieczniony w kadrze. Scenarzystki także?

K.T.: Nie, nie miałyśmy takiej potrzeby.

Adaptacje kolejnych tomów tryptyku Holewińskiego („Pogrom 1906" i „Pogrom 1907") już na warsztacie?

K.T.: To pytanie, na które lepiej odpowie producent. Ja mogę powiedzieć tylko tyle, że przystępując do tworzenia scenariusza, traktowałyśmy tę historię jako zamkniętą całość. W wielu miejscach mocno odeszłyśmy od książki, niektóre wątki zostały napisane od zera, inne kompletnie pominięte. Trudno tu mówić o adaptacji, a raczej o serialu na motywach powieści. W takim przypadku, gdyby chcieć tworzyć kontynuację, efekt domina byłby nieunikniony.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„Polowanie na ćmy", siedmioodcinkowy serial TVP w reżyserii Michała Rogalskiego – na kanwie prozy Wacława Holewińskiego. Emisja na antenie TVP 1 w niedziele o godz. 20.20. W rolach wiodących: Monika Krzywkowska, Sonia Mietielica, Daria Polunina, Przemysław Stippa, Piotr Nerlewski i Kamila Jarosińska. Jesienią 2023 r. do kin trafi też film pod tym samym tytułem.

eprasa.pl 1a5fd4df8c

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBO max

Skrzywdzeni i poniżeni

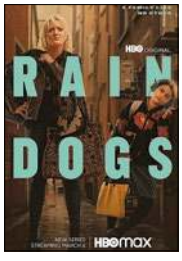

★★★★★☆

CASH CARRAWAY
„ZMOKŁE PSY" („RAIN DOGS")
WIELKA BRYTANIA 2023

wyst. Daisy May Cooper, Jack Farthing, Fleur Tashjian

Poznajcie Costello: eksmitowana z mieszkania (trzy tysiące funtów zaległości), walcząca z nałogiem (ale sto dni trzeźwości to już coś!), zarabiająca w klubie peep-show nie poddaje się i próbuje wychować samotnie córkę. Dziewczynka jest bystra, urocza i cierpliwa, nawet kiedy mama ogłasza, że żeby znaleźć miejsce do spania, trzeba się będzie włamać do samochodu znajomej. Tę czarną komedię o londyńskich skrzywdzonych i poniżonych Cash Carraway (scenarzystka i pomysłodawczyni serialu) wysnuła z własnych dziecięcych doświadczeń. Jej wspomnienia „Skint Estate" były kilka lat temu w Wielkiej Brytanii literacką sensacją, a brutalny, lecz zabawny i liryczny ton opowieści krytycy porównywali do prozy Charlesa Bukowskiego czy Huberta J. Selby'ego (czyli autora „Requiem dla snu").

„Zmokłe psy" to serial, który przywodzi na myśl brytyjski klasyk sprzed niespełna dwóch dekad, czyli „Shameless" Paula Abbotta. Metoda jest podobna: opowiadając o niedolach brytyjskiej biedoty, twórcy potrafią zarówno zakpić z nich okrutnie, jak i głęboko współczuć. W „Shameless" najcięższym brzemieniem dla rodziny Gallagherów był ich nieobliczalny, zapijaczony ojciec. W „Zmokłych psach" postacią, która bywa zarówno największym ratunkiem dla Costello i jej córki, jak i źródłem najpoważniejszych kłopotów, jest niejaki Selby, skłonny do przemocy gej z wyższych sfer, z którym bohaterkę łączy dziwna miłosno-nienawistna fascynacja.

Jest i komentarz polityczny w tej historii. Najbardziej dostaje się zadowolonym z siebie liberałom mieszczuchom, którzy dla osób pokroju Costello mają jedynie ładnie maskowaną pogardę. „Wpuszczą cię na swoje salony tylko pod warunkiem, że będziesz je sprzątać" – mówi ironicznie Selby, którego mierzą hipokryzja i brak klasy tych, który uważają, że mają klasę. Z kolei Costello szybko się przekona że nawet ci, którzy ponoć przejmują się jej losem i chcą jej pomóc, tak naprawdę myślą jedynie o własnym zysku, a nią samą zamierzają po prostu cynicznie wykorzystać. Rzecz jest świetnie napisana i koncertowo zagrana – Daisy May Cooper jako Costello, Jack Farthing jako Selby i Fleur Tashjian w roli młodziutkiej Iris skradną wam serce, ale wymowa całej opowieści może to serce złamać. ©℗

NOWE SERIALE: „DAISY JONES & THE SIX"

prime video

Serialowa wersja powieści Taylor Jenkins Reid o najsłynniejszym zespole rockowym lat 70. (który oczywiście został tylko wymyślony). Autorka inspirowała się częściowo historią Fleetwood Mac. Coś dla fanów „Almost Famous" Camerona Crowe'a czy „Szalonej kapeli" Briana Gibsona, ale po nowemu: silne kobiety dominują nad niedojrzałymi facetami. Cóż, w złotych latach rocka niedojrzali byli akurat wszyscy, bez względu na płeć. Oczywiście z wyjątkiem menedżerów. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***Scott Neustadter i Michael H. Webe „Daisy Jones & The Six", USA 2023***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 1* ***„Rabbit Hole"****, USA 2023* sky SHOWTIME

• *sezon 7* ***„Riverdale"****, USA 2023* N

• *sezon 1* ***„Nagroda na dzień dobry" („The Big Door Prize")****, USA 2023* tv+

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Żona w delegacji

KINO

„Wyrwa" to kryminał z nadmiernymi ambicjami. Akcja rozgrywa się w świecie, który aż za dobrze znamy. Od czasu, gdy na ekranach grasowała psychodrama „Karate po polsku", wiadomo, że Mazury to niebezpieczna kraina; od premiery serialu „The Office", że praca w korpo ogłupia i odczłowiecza. O zblazowanych celebrytach, których przerasta stworzenie tudzież utrzymanie normalnego związku, codziennie krzyczą okładki opiniotwórczych brukowców. Zacznijmy jednak od początku: Janina ginie w wypadku samochodowym. Maciej – choć wytrącony z równowagi – zastanawia się, co połowica robiła pod Mrągowem, skoro miała zbierać materiały do książki w Galicji. Jako wytrawny analityk spółek giełdowych, który „ma skrypt na każdą okazję", wszczyna prywatne dochodzenie. I na tym generalnie kończą się emocje, gdyż od postępów śledztwa ważniejsze jest odkrycie, że warszawski pracoholik jako mąż i ojciec nie stawał na wysokości zadania i teraz musi spojrzeć w lustro. Komediowy duet Kot-Damięcki, zderzony z powracającym jak wyrzut sumienia widmem nieboszczki, też bawi raczej średnio. Autor „Żmijowiska" lubi zaskakujące końcówki. Papier, w przeciwieństwie do ekranu, wszystko zniesie. Filmowcy o tej zasadzie zapomnieli. Zamiast przyhamować, nacisnęli pedał gazu. A mógł być z tego całkiem dobry serial telewizyjny. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. BARTOSZ KONOPKA
„WYRWA"
POLSKA 2023

wyst. Tomasz Kot, Karolina Gruszka, Grzegorz Damięcki

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OSZUST I PRZEGRYW

KINO

Nie całe pokolenie 50+ boi się Internetu. Weźmy takiego Chucka. Odkrywszy, że pierworodny zablokował go w mediach społecznościowych, tworzy fałszywy profil i próbuje się z Franklinem wirtualnie zaprzyjaźnić. Junior bystrzakiem nie jest, polubi rzekomą kelnerkę i uczyni ją powiernicą swoich sekretów. Od namolnego tatuśka woli się jednak trzymać z daleka. Film mimowolnie ilustruje słynne polskie porzekadło o piekle wybrukowanym dobrymi intencjami. Młody reżyser posiłkuje się sprawdzoną konwencją kina drogi, lecz „I Love My Dad" to niskobudżetowa komedia, bazująca na mało wybrednych dowcipach (najdrożej kosztowały chyba prawa do wykorzystania przeboju o chłopakach, którzy nie płaczą). O zgrozo, autobiograficzna. Mniemam, że są na świecie tematy bardziej warte śmiechu niż depresja czy kradzież cudzej tożsamości, ale na boomera jestem jeszcze trochę za młody, więc parę razy się uśmiechnąłem.

★★★☆☆☆

REŻ. JAMES MOROSINI
„I LOVE MY DAD"
USA 2022

wyst. Patton Oswalt, James Morosini, Claudia Sulewski

BERLIN, CZYLI BABILON

cda.pl

Pół wieku temu „Ojciec chrzestny" dostał Oscara dla najlepszego filmu, lecz najwięcej statuetek zgarnęli twórcy musicalu o agonii niemieckiej demokracji. „Kabaret" połączył w zachwycie publikę i krytyków, choć jest genialnym oszustwem. Główna bohaterka tak naprawdę była komunistką, jej przyjaciel zaś, Anglik, przyjechał do Berlina na homoseksualne safari. Nazywał się Christopher Isherwood i chciał zostać sławnym pisarzem. Nad Sprewą poznał rodaczkę występującą w nocnym klubie. Dziewczyna puszczała się na lewo i prawo, piła na umór, paliła jak smok, a w dodatku nie umiała śpiewać. Na szczęście opowiadania Isherwooda trafiły w ręce ludzi bardziej utalentowanych. Film Boba Fosse'a to arcydzieło. Emigranci z III Rzeszy wnieśli spory wkład w rozwój amerykańskiego przemysłu rozrywkowego. „Kabaretem" Hollywood poniekąd spłaciło dług wdzięczności, choć w obsadzie nie było wielkich gwiazd. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★★★

REŻ. BOB FOSSE
„KABARET" („CABARET")
USA 1972

wyst. Liza Minnelli, Michael York, Joel Grey

GRA TYGODNIA: „RETURNAL"

Doskonały port hitu z PS5 z 2021 r. Statek z astronautką Selene na pokładzie rozbija się na tajemniczej i nieprzyjaznej planecie. Rozgryzienie zagadek i pokonanie wrogów to jedyna możliwa droga, którą może podążyć Selene. I będzie podążać nią wielokrotnie, bo śmierć oznacza restart cyklu. Nie przepadam za pętlami czasowymi w grach, ale – o dziwo – w tym wypadku nie były one dla mnie irytujące. I nie jestem odosobniony w tej opinii. Fabuła pełna smaczków. Graficzna petarda. Wymagająca, ale wciągająca rozgrywka. Godna polecenia. ©℗ ***Radosław Wojtas***

★★★★★☆

- ***Gatunek:*** *Akcji, TPP*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Housemarque; Sony Interactive Entertainment*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1a5fd4df8c

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Prawdy rodzinne

Pisałem w tym miejscu o dwu poprzednich tomach wspomnień Zofii z Odrowąż-Pieniążków Skąpskiej, teraz przyszedł czas na tom ostatni, zamykający życie autorki opisane przez nią w 21 100-kartkowych zeszytach, których zawartość wnuk Zofii – Rafał Skąpski, znany wydawca, a bywało, że i wiceminister kultury – pracowicie przysposobił do druku, opatrując przypisami, tablicami genealogicznymi, a w trzecim tomie także listami i wspomnieniami członków rodziny.

A jest to rodzina liczna; Zofia Skąpska wychowała siedmioro dzieci, doczekała się 22 wnucząt, dziś chodzi po świecie już jej 11 prapraprawnucząt. Czy zainteresuje je opowieść o czasach dla nich zamierzchłych? Pewnie tak, bo to przecież historia familijna, jeśli zaś chodzi o ich rówieśników, niepołączonych więzami krwi z autorką, to gwarantuję im, że czas spędzony nad książką „Dziwne jest serce kobiece…" nie będzie stracony, bo dowiedzą się z niej tego, o czym zwykle milczą szkolne podręczniki. W tym np., co powinno zainteresować tegorocznego maturzystę, że gdyby przyszło mu zdawać na egzaminie dojrzałości geografię, mógłby trafić na taki zestaw pytań: „1/ Czynniki wewnętrzne kształtujące powierzchnię ziemi 2/ Klimat i szata roślinności w ZSRS 3/ Podstawowe uprawy w Polsce w związku z uprawą gleb". I to po popaździernikowej „odwilży" w 1957 r. W latach nazwanych eufemistycznie okresem „błędów i wypaczeń" autorka kibicująca swym wnukom w ich edukacyjnych postępach, szczególnie ukochanemu Bogdankowi [późniejszemu krytykowi literackiemu i szefowi Wydawnictwa Literackiego, Bogdanowi Rogatce – przyp. K.M.], odnotowała: „Ku wielkiej naszej radości rozstrzygnęły się losy naszych wnuków. Krzyś zdał dobrze egzamin i został do technikum budowlanego przyjęty. Z rachunków i rysunków zdał na bardzo dobrze, z polskiego i konstytucji zaś – na dobrze. Teraz po przyjęciu jako pracę społeczną musi cztery godziny popracować przy usuwaniu gruzu na Dębnikach. Bogdanek został też do liceum Nowodworskiego przyjęty. Mieli pewne zastrzeżenia, że to inicjatywa prywatna, więc mógłby pójść do liceum prywatnego, lecz pani Katzowa, ich nauczycielka, zasiadała w komisji i powiedziała, że on specjalnie nadaje się do przyjęcia, gdyż ma zacięcie literackie i jest bardzo zdolny".

W trzecim tomie wspomnień opisuje Zofia Skąpska czas powojenny, od roku 1945 do 1961, gdy zmarła w wieku 80 lat. Nie skarżyła się na trudności materialne, choć nowa władza dokończyła hitlerowskiego dzieła, wyrzucając ją i jej męża z majątku na Pomorzu, nie dając ż a d n e j emerytury. Dopóki to było możliwe, dopóty próbowali prywatnej działalności gospodarczej. Gdy i to okazało się niewykonalne, pozostawało biedowanie i jakże ważna w tej sytuacji pomoc dzieci, zwłaszcza syna Kornela, który z dalekiego Paragwaju, a potem z Kanady słał paczki, otworzył też rachunek w londyńskiej aptece, dzięki czemu mogli podreperować szwankujące zdrowie. Do Polski inżynier Kornel Skąpski przyjedzie dopiero w latach 70., już po śmierci rodziców. Wcześniej przekaże matce i rodzeństwu płytę, na której nagrał prawdę o swoim losie, a także m.in. o gen. Sosnkowskim i o Katyniu. Będzie to dla Zofii Skąpskiej głos z wolnego świata.

O systemie przyniesionym do Polski na ruskich bagnetach się nie rozpisywała. Jej ostrożność była zrozumiała po doświadczeniach okupacyjnych, kiedy to po aresztowaniu przez Niemców zamartwiała się, że jej pamiętnik z września 1939 r., w którym wskazywała sprawców okrucieństw, może zaszkodzić i jej, i jej bliskim. Ważyła więc słowa, ale tego, że podobały jej się powstała z niczego Nowa Huta czy odbudowana z ruin Warszawa (no, może poza Pałacem Kultury i kandelabrami na MDM), nie udawała. A już szczerze radowało ją odsłonięcie zniszczonego przez Niemców pomnika Adama Mickiewicza w 1955 r. Była przecież obecna wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyli go Polacy – w 1898 r. Wówczas działo się to w 100. rocznicę urodzin wieszcza, po latach – w 100. rocznicę jego śmierci,

Niemal aż do końca ważna była dla autorki tych wspomnień kultura: emocjonowała się słuchanym w radiu Konkursem Chopinowskim i, niestety, nieczęstymi wizytami w teatrze, cieszyły książkowe (!) prezenty, i te, które otrzymywała, i te, które dawała.

Sporadycznie komentowała wydarzenia z życia publicznego, ale odnotowała biskupią konsekrację młodego Karola Wojtyły.

A na początku 1954 r. z pewnym żalem stwierdzi: „Obecne zapiski będą więcej dotyczyły wnuków, bo i cóż ja dzisiaj o sobie mówić mogę?". „Gdyby młodość wiedziała, a starość mogła…" – zauważy gdzie indziej. Nic tu dodać nie trzeba. ©℗

★★★★☆☆

ZOFIA Z ODROWĄŻ-PIENIĄŻKÓW SKĄPSKA „DZIWNE JEST SERCE KOBIECE… TOM 3. WSPOMNIENIA Z ZĄBKOWIC I KRAKOWA"
CZYTELNIK, WARSZAWA 2023

eprasa.pl 1a5fd4df8c

PIOTR GOCIEK

POŻEGNANIE

Wieczna emigrantka

Na wschodzie bez zmian – pisarze warci są tyle, na ile można ich użyć w charakterze politycznej pałki. Widać to doskonale w tekstach żegnających Dubravkę Ugrešić. Ścigają się „Polityka" z „Wyborczą", przypominają inne gazety, jak nie lubiła nacjonalizmu, jak nie cierpiała, gdy nazywano ją pisarką chorwacką (bo wolała być „transnacjonalna"), jak prezentowała kobiecą perspektywę w literaturze. Żadne z tych zgrabnych i modnych określeń nie oddaje jej fenomenu. Pamiętajmy o tym, że te same terminy mogą oznaczać różne rzeczy w różnych miejscach mapy. Po traumie, którą był obserwowany przez nią wojenny rozpad Jugosławii, łatwo nie cierpieć nacjonalizmu. A perspektywę miała Ugrešić jedną – znakomitej pisarki.

Urodzona w Jugosławii, emigrantka z wyboru, zmarła w Amsterdamie, zostawiając ważną spuściznę: dobrą literaturę i wybitne eseje, które były jej ulubioną metodą wypowiedzi. W jej dorobku przeważają książki nienarracyjne. Łatwo Ugrešić zaszufladkować jako pisarkę rozliczającą się z traumami byłej Jugosławii, ale najważniejsze jest u niej moim zdaniem to, co nastąpiło w późnym okresie jej twórczości. Stała się wnikliwą i bezlitosną obserwatorką nowoczesności. Wymarzony lepszy Zachód mądrość i oryginalność miał w pogardzie. Ugrešić mówiła o faszyzacji rynku wydawniczego, o zgubnych dla kultury skutkach pisania na zamówienie na modne tematy, o tym, że machina promocyjna wielkich jest zgubna dla mniejszych literatur.

Wieczna kontestatorka, a jednocześnie pisarka obdarzona wyjątkowym słuchem, która z zasłyszanej rozmowy, krótkiego spotkania, obejrzanej książki, smutku na widok pejzażu potrafiła wywieść niezwykłe, mądre opowieści. Dla niej „cały świat robi wrażenie, jakby czekał na okazję, żeby się przed nią otworzyć i coś ciekawego opowiedzieć" – pisałem w recenzji jej ostatniej wydanej w Polsce książki „Lis" („Do Rzeczy" nr 13/2020).

„Uważam, że pisarz już przez to, że pisze, jest tak naprawdę emigrantem" – mówiła w 2008 r. w wywiadzie dla Polskiego Radia. Nie pielęgnowała tej osobności spojrzenia dla pisarskiego życia w wieży z kości słoniowej. Gdy mówiła o potrzebie wielokulturowości, chodziło jej o to, by bronić małych kultur przed wielkimi. Nie bała się wytknąć kłócącej się o multi-kulti Europie, że „wina leży też po stronie muzułmańskich emigrantów". Nie bała się mówić o powszechnym zidioceniu niszczącym współczesny świat. Im bardziej trafiała w punkt, tym mniej jej słuchano. Wznowień było coraz mniej. Odeszła 17 marca w wieku 73 lat. ©℗

FOT. GRAZIANO ARICI/BRIDGEMAN IMAGES/FAST NEWS

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Książka wcześniej znana w Polsce jako „Sprawa osobista". Nowego przekładu (wreszcie z japońskiego) jednej z najlepszych powieści zmarłego niedawno (3 marca) noblisty dokonał Dariusz Latoś.

KENZABURŌ ŌE „OSOBISTE DOŚWIADCZENIE" PIW

Jak Filip Macedoński i Aleksander Wielki odmienili (czytaj: zhellenizowali) świat. Kolejna książka wybornego znawcy starożytności, autora m.in. „Pax Romana" czy „Upadku Kartaginy".

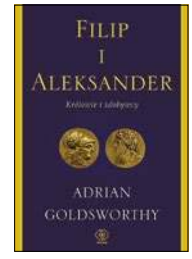

ADRIAN GOLDSWORTHY „FILIP I ALEKSANDER" REBIS

Trochę groch z kapustą. Bo co łączy „Nautilusa" Verne'a, Latającego Holendra, twórczość grafomana scjentologa L. Rona Hubbarda i „Alicję w Krainie Czarów"? Ale czyta się te szkice dobrze.

RADOSŁAW JAROSIŃSKI „KSIĘGI NIESAMOWITE, PISARZE NIEZWYKLI" WYDAWNICTWO IX

Wczesna powieść mistrza psychologicznych opowieści grozy („Upiorna opowieść", „Kraina cieni"). Ubrana w kostium horroru opowieść o wojnie wietnamskiej i traumach wszelkich wojen.

PETER STRAUB „KOKO" WYDAWNICTWO MAG

KOMIKS TYGODNIA: „MAMUŚKI"

Komiksowy import z Korei Południowej. Wielowątkowa opowieść o kobietach, które sporą cześć życia mają już za sobą i po odchowaniu dzieci, po nieudanych małżeństwach, bankructwach, po pożegnaniu z dawnymi marzeniami próbują na nowo odnaleźć w sobie śmiałość, by chcieć czegoś więcej. Gorzkie to rozważania, a zarazem zabawne. Uwaga panowie, płeć męska jest tu obiektem zasłużonej szyderki. A panie? Panie idą w miasto.

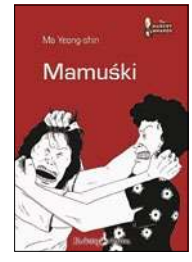

MA YEONG-SHIN „MAMUŚKI" WYDAWNICTWO KWIATY ORIENTU 2023

eprasa.pl 1a5fd4df8c

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Crème de la crème

W latach 2021–2022 kolekcja Zamku Królewskiego w Warszawie powiększyła się o prawie 500 dzieł sztuki. Z tej gamy obiektów kupowanych w galeriach i antykwariatach, na aukcjach polskich i zagranicznych, wyselekcjonowano 130 przedmiotów i pokazano na wystawie „Crème de la crème. Wybrane nabytki 2021–2022".

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Wśród najważniejszych nabytków ostatniej dekady znalazły się cenne okazy porcelany miśnieńskiej, zabytkowe meble, srebra, militaria i oczywiście obrazy takich artystów jak Bernardo Bellotto, zwany Canalettem, Marcello Bacciarelli czy Angelika Kauffmann. Zgromadzone na wystawie przedmioty na co dzień zdobią Apartamenty Królewskie, Apartament ks. Józefa Poniatowskiego w pałacu Pod Blachą oraz Galerię Arcydzieł. Część z nich powróciła do Zamku Królewskiego, gdyż od lat realizowana jest misja odkupywania dzieł, które kiedyś zdobiły zamkowe mury lub były związane z rezydującymi w zamku w XVIII w. władcami, część to przedmioty niezwiązane z zamkiem, ale wpisujące się w profil kolekcji. ©℗

GDZIE? ***Zamek Królewski w Warszawie***
KIEDY? ***do 14 maja***

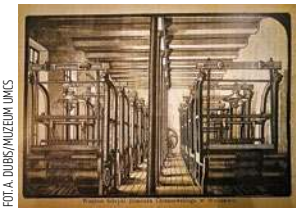

FOT. A. DUBIS/MUZEUM UMCS

ŻÓŁTE KALENDARZE

Różne potrzeby, różne kalendarze. Inne dla rzemieślników, inne dla rolników, jeszcze inne specjalnie dla kobiet. Na wystawie prezentowanych jest ok. 40 kalendarzy wydanych w XIX w. na ziemiach polskich. Te najciekawsze, z najlepszą treścią lub najpiękniejszą szatą graficzną. Zarówno te niezapisane, jak i te, w których ich dawni właściciele opisywali sprawy ich codzienności. Wiek XIX to okres rozwoju podobnych wydawnictw, „złoty wiek kalendarzy". Dziś mamy Google Calendar. Ale jak tu planować sprawy, gdy nie czuć zapachu papieru? ©℗

GDZIE? ***Muzeum Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Uczuciowe wakacje

Destiny „Miley" Cyrus zbudowała karierę, robiąc to, na co ma ochotę. Niewątpliwie miała jednak łatwiej niż inni. Jej ojciec, gwiazdor country Billy Ray Cyrus, wprowadzał ją do show-biznesu, a mama, Tish, została jej menedżerką.

Trzydziestoletnia Cyrus niewątpliwie wyrosła na niezwykle szczerą autorkę tekstów. Jej dziewiąty album, „Endless Summer Vacation", opowiada o dniu i nocy spędzonych w Los Angeles. To dojrzała płyta nieuciekająca od trudnych kwestii. W otwierającym utworze, „Flowers", emocjonalny śpiew Miley zawiera w sobie zarówno ból, jak i uzdrowienie. Wokalistka przebacza byłemu kochankowi i jednocześnie wyznaje, że życie w samotności będzie dla niej prawdopodobnie lepsze. W kolejnych piosenkach łączących rockowe brzmienia z nowoczesnym popem, a nawet disco roztacza przed słuchaczami fantazję o idealnym dniu. Następnie próbuje odnaleźć się pomiędzy niezależnością a autodestrukcją. „Niekończące się wakacje" poznajemy w 12 odsłonach, podczas których balansujemy między kalifornijskimi urokami a gorzkimi ocknięciami.

Album jest dość gładki, ale dzięki stylistycznej różnorodności (od country, przez synth-pop, do dance'u) nie jest nudny. Tym razem wśród gości na płycie Miley prym wiodą wokalistki – Brandi Carlile i Sia. ©℗

★★★★☆☆
MILEY CYRUS
„ENDLESS SUMMER VACATION"
COLUMBIA

★★★★☆☆
BOVSKA
„DZIKA"
AGORA

„Jest to album o kobiecie i wokół kobiety" – tłumaczy Bovska. W piosence „Ziemia mi się pali" buntowniczo wykrzykuje: „Śpiewam głośno, bo mi wolno". Jest przekonująca i emocjonalna. Jej piąty album zachwyci aspirujące panie, tyle że ich panów raczej nie poruszy. ©℗

★★★★☆☆
AFRO KOLEKTYW
„OSTATNIE SŁOWO"

Na okładce klepsydra informująca, że grupa urodziła się w 1999 r. i do 2010 r. wykonywała hip-hop jazz. Po ośmiu latach przerwy Kolektyw odrodził się wraz z wokalistką Basią Derlak. Przekaz jest bardziej poważny, ale muzyka nie mniej bujająco-jazzująca niż dawniej. ©℗

eprasa.pl 1a5fd4df8c

„M jak miłość"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Rzeczpospolita serialowa

Krzysztof Masłoń

Seriale takie jak „Polowanie na ćmy" czy „Dom pod Dwoma Orłami" budzą nadzieję, że nie będziemy musieli do końca naszych dni zastanawiać się nad tym, czy ta Weronika, która niecnie oszukuje kochliwego nad miarę Adasia, ma coś wspólnego ze swą imienniczką odmawiającą rozwodu Kacprowi

Nie ma jak seriale, tyle że coraz trudniej się w nich połapać. No bo np. ostatnio Marysia zaprosiła Jakuba na wieczór we dwoje, a tu zaraz została pobita przez jakiegoś damskiego boksera, który wcześniej topił w gorzale smutki po porzuceniu przez żonę. A do tego Marysia denerwuje się przed pójściem do nowej szkoły. Zaraz, zaraz – powie ktoś obyty z telewizyjną rzeczywistością – mieszasz tu człowieku trzy rożne seriale, trzy różne Marysie i jeszcze wplatasz do tego Bogu ducha winnego taksówkarza z „Klanu", ponoszącego trudy samotnego wychowywania syna, zmagania z chorobą alkoholową i wizytami swego suchego szwagra. Może i tak, ale w dawnych latach Marysia była jedna, zresztą sierotka. Jak w prostej bajce wszystko szło. I komu to przeszkadzało? – retorycznie pytał nieodżałowany Jan Kaczmarek.

W całej tej serialowej nadprodukcji pocieszające jest, że bohaterami jednego z telewizyjnych tasiemców są osobnicy o rzadkich raczej imionach, jak Zyndram czy Zawisza. Ten pierwszy – a postaci to historyczne – był z Maszkowic, drugi zaś z Garbowa. Zdawałoby się, że wiedzą to wszyscy Polacy, jako że dzieje Zawiszy wpajane są dziatwie zaraz po tym, gdy ta wyuczy się literek, ale telewizja i w tym wypadku potrafi nas zadziwić, o czym przekonaliśmy się w jednym z odcinków teleturnieju „Va Banque", w którym żaden z uczestników nie potrafił wydedukować, skąd najsławniejszy nasz rycerz pochodził. Obawiam się niestety, że objawiły się w tym momencie zarówno jakość naszej oświaty, jak i skuteczność telewizyjnej edukacji historycznej.

Tak czy inaczej Świdrygiełły nie pomylimy z nikim, co jednak, jeśli chodzi o takiego np. Zbigniewa z Brzezia, nie jest już pewne. Ale niewątpliwie odległa w latach historia jest łatwiejsza do przyswojenia przez telewidownię, bo ta bliższa nam czasowo sprawia niejakie trudności. Dajmy na to, podziwiając aktora Stippę w zakończonym niedawno serialu „Dom pod Dwoma Orłami", na końcu języka jawiło się pytanie: „Co u tatusia, jak się Zdzisio czuje?". Naturalnie, przychodzi opamiętanie, bo to wszak już nie Władek Cieślak, a budzący grozę Otto Hissen, ale ledwie przyjęliśmy do wiadomości przemianę sympatycznego geja z „Barw szczęścia" w hitlerowskiego zbrodniarza (a żeby rzecz skomplikować bardziej, Stippa gra w tym samym serialu także Niemca bardziej podobnego do ludzi – Uwe Hagendorfa), to już w najświeższej produkcji TVP „Polowanie na ćmy" ten sam aktor robi za wrednego Wiktora Gruna, ważną personę urzędu śledczego trzymanej pod knutem przez Moskali Warszawy, którego podejrzewamy o ruski rodowód, a on Żyd z Dzikiej. I bądź tu mądry.

Powie ktoś, że Janusz Gajos też był Jankiem Kosem i całkiem nieźle sobie z tym pancerniackim garbem poradził, odpowiem jednak, że wielu innym adeptom sztuki scenicznej nie udało się nic podobnego. Życząc Przemysławowi Stippie olśniewającej kariery filmowej (w dzisiejszych warunkach czytaj: serialowej), przypomnę jeszcze, że wiele lat temu, zanim powstało „Polowanie na ćmy", Andrzej Wajda zrealizował „Polowanie na muchy". Takie sobie, ale wbiło się w pamięć, przynajmniej tego pokolenia, które jeszcze oglądało filmy, a nie wyłącznie seriale. Zachodzę więc w głowę, czym kierował się decydent, zmieniając pierwotny tytuł serialu, powstałego na podstawie powieści Wacława Holewińskiego „Pogrom", z „Pogrom 1905. Miłość i hańba" na niefortunne „Polowanie na ćmy". Niefortunne, bo zrealizowanych siedem odcinków nie wskazuje na to, by miała to być historia związana z entomologią. A jeśli ktoś, ujmując rzecz metaforycznie, będzie się upierał, że to opowieść o stołecznych prostytutkach z początków zeszłego stulecia, to uczynię – niczym pan Zagłoba – tumult. Bo w serialu tym, z rewelacyjną scenografią (!), chodzi jednak o coś znacznie ważniejszego, a co sygnalizował tytuł roboczy.

Ale też trzeba odpowiednio mocno zaakcentować: takie seriale jak „Polowanie na ćmy" czy „Dom pod Dwoma Orłami" budzą nadzieję, że nie będziemy musieli do końca naszych dni zastanawiać się nad tym, czy ta Weronika, która niecnie oszukuje kochliwego nad miarę Adasia, ma coś wspólnego ze swą imienniczką odmawiającą rozwodu Kacprowi. Że co, że to inne seriale, a nawet inne telewizje? I co z tego? ©℗

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Lech Mażewski

„Polskość to nienormalność”

W antyrosyjskim patriotyzmie nie ma żadnej głębszej myśli politycznej ani refleksji o naszym położeniu geopolitycznym

FOT. ADOBE STOCK

W ankiecie miesięcznika „Znak” (nr 390–391) na temat „Czym jest polskość” Donald Tusk napisał często cytowane słowa: „Polskość to nienormalność”. I zaraz tłumaczył, co najczęściej się pomija: „Polskość wywołuje u mnie niezmiennie odruch buntu: historia, geografia, pech dziejowy i Bóg wie, co jeszcze wrzuciły na moje barki brzemię, którego nie mam specjalnie ochoty dźwigać, a zrzucić nie potrafię (nie chcę mimo wszystko?), wypaliły znamię i każą je z dumą obnosić”. Czy rzeczywiście polskość w ogóle to nienormalność?

Jeśli wypowiedź przyszłego premiera odnosiłaby się do całych dziejów Polski, to musielibyśmy ją uznać za bezsensowną, wręcz dla nas obraźliwą. Wydaje się, że odpowiedź Tuska wymierzona jest głównie w tradycję antyrosyjskiego patriotyzmu, obfitującą w serię kolejnych klęsk powstańczych, w efekcie kulminującą w ich niepolitycznym rozpamiętywaniu. Prawdą jest, że ankietowany nie pisze tego wprost. Być może jest tak z obawy natury cenzuralnej (ingerencja widoczna jest w tekście) albo Tusk autocenzurował się, obawiając się posądzenia, że już na pewno z polskością nie ma nic wspólnego. Tymczasem apologia antyrosyjskich insurekcji to rzeczywiście w sensie politycznym nienormalność.

PRZECIW ROSJI – ZAWSZE KLĘSKA

Począwszy od konfederacji barskiej (1768–1772), przez powstanie kościuszkowskie (1794), listopadowe (1830), a w jego następstwie wojnę polsko-rosyjską z 1831 r., powstanie styczniowe (1863–1864), warszawskie (1944), a skończywszy na ruchu solidarnościowym (1980–1981), polscy insurgenci wyruszali w bój przeciwko Rosji, wyczekując pomocy najpierw ze strony Francji, a później całego Zachodu. Efekt tych wysiłków – z dwoma różniącymi się od siebie wyjątkami – był taki sam: klęska militarna, której towarzyszyło pogorszenie warunków bytu narodowego. Jeśli bowiem konfederaci barscy doprowadzili do I rozbioru, to ich następcy z 1794 r. wbili ostatni gwóźdź do trumny Rzeczypospolitej. O ile przegrana wojna polsko-rosyjska z 1831 r. skutkowała zniszczeniem wojska polskiego i instytucji parlamentarnych Królestwa Polskiego, o tyle powstańcom styczniowym udało się zniweczyć rozpoczęcie rekonstrukcji ustrojowej Królestwa sygnowane przez margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, ale na ich dobro należy odnotować, że przynajmniej przyczynili się do uwłaszczenia chłopów.

Warszawskich insurgentów tylko dlatego nie da się dopisać do tej przerażającej listy, gdyż w lecie 1944 r. los Polski był już przesądzony. Miała ona po wojnie nie tylko zostać przesunięta na zachód, kosztem Niemiec, tracąc tereny zaniemeńskie i zabużańskie, lecz także znaleźć się w sowieckiej strefie wpływów.

Z innego powodu nie ma na tej liście NSZZ „Solidarność”. Nie chodzi o to, że w efekcie związkowej polityki w 1981 r. był zagrożony byt PRL jako nie w pełni niepodległego państwa polskiego, bo tak nie było, ale z pewnością nasza sytuacja byłaby gorsza, gdyby na przełomie lat 1981 i 1982 doszło do sowieckiej interwencji zbrojnej.

Co stanowi o sensie antyrosyjskiego patriotyzmu, do którego tak ochoczo odwołuje się obecnie właściwie cała klasa polityczna? Po co ten jasełkowy patriotyzm? „Patriotyczne jasełka” to dobre określenie. Chodzi właśnie o taki sposób odniesienia do patriotycznych emocji mas, że inaczej niż jasełkami nie można tego nazwać. Akurat świetnie do tej roli nadaje się apologia powstańczych klęsk w walce z Rosją/ZSRS. Tusk stał się częścią tej nienormalnej polskości, przeciwko której tak

eprasa.pl 1a5fd4df8c

radykalnie protestował u schyłku PRL na łamach krakowskiego miesięcznika.

W antyrosyjskim patriotyzmie nie ma żadnej głębszej myśli politycznej ani refleksji o naszym położeniu geopolitycznym. Trudno bowiem za takie uznać przekonanie o bezwarunkowej walce z moskiewskim ośrodkiem siły. Dominuje tu przekonanie o niezawinionej klęsce, za którą odpowiedzialność ponoszą wszyscy – poza przywódcami podejmującymi decyzje o walce. I o to w gruncie rzeczy chodzi, o szerzenie patriotycznej bezmyślności. Przywołanie zaś tradycji zwycięskich powstań (antypruskiego z 1806 r. i antyniemieckich z lat 1918 i 1921), co ostatnio ma jednak miejsce, byłoby niebezpieczne z tego względu, że tam nasze powodzenie wynikało właśnie z poprawnej kalkulacji politycznej i z właściwego rozumienia kontekstu geopolitycznego, w jakim znajdowała się ówcześnie sprawa polska. Nie ma to nic wspólnego z patriotyzmem rodem z jasełek, którego kultywowanie tak potrzebne jest teraz polskim politykom.

Obecnie apologia antyrosyjskich zrywów odnosi się szczególnie do powstania sierpniowego w Warszawie. Współcześni rekonstruktorzy walk powstańczych obwieszeni są rozlicznymi atrapami broni, ale przecież 1 sierpnia 1944 r. żołnierze Armii Krajowej przystąpili do walki, będąc wyposażonymi głównie w pistolety i amatorsko wykonane granaty oraz domowej roboty butelki z benzyną, co w przekonaniu płk. dypl. Antoniego Chruściela, faktycznego dowódcy powstania, doskonale nadawało się do ataku na gniazda niemieckich karabinów maszynowych. Jerzy Kirchmayer szacował, że broń palną miało 4–5 proc. powstańców, a reszta powinna ją zdobyć w walce z Niemcami. Kompletnie nieprawdziwie przedstawił tę sprawę Janusz Morgenstern w „Godzinie »W«", gdzie cały pluton mobilizowany do walki był uzbrojony w karabiny lub pistolety maszynowe. Nie jest też prawdą, że stawiennictwo młodych żołnierzy AK na punktach zbiórek wynosiło 100 proc. Dziś uważa się, że odnosiło się to jedynie do połowy z nich. Dobrze za to oddano w filmie patriotyczny entuzjazm, brak świadomości, że dosłownie za chwilę zginą; straty bowiem były tak wielkie, że kilka godzin po wybuchu walk powstanie o mało się nie załamało. Uczestnikom grup rekonstrukcyjnych należałoby też zalecić obejrzenie „Kanału" Andrzeja Wajdy. Pokazany jest tam dramat powstańców, dla których nie było dobrego wyjścia z niezawinionego przez nich przegranego boju. Nie mówi się tam jednak o losie łączniczek czy sanitariuszek, które na skutek zanieczyszczenia w kanałach dróg rodnych nie mogły później zajść w ciążę, nie wspominając o smrodzie, z którego trudno było im się wtedy domyć. Szkoda, że nic o tym nie wiedzą dziewczyny tak ochoczo wcielające się dziś w ich role.

Polski patriotyzm nie może sprowadzać się do apologii powstańczych klęsk w walce z Rosją. Insurgentom należy się szacunek, ale przywódcy, podejmujący błędne decyzje wojskowe czy polityczne, zasługują jedynie na postawienie przed sądem, jak w przypadku zrywu warszawskiego chciał gen. Władysław Anders. Niech będzie to chociaż sąd potomnych, jeśli na proces przed innym trybunałem jest już za późno.

KOMPLETNY UPADEK

Tusk nigdy, o ile mi wiadomo, nie podjął dyskusji z apologetami antyrosyjskiego powstańczego patriotyzmu – mimo że chyba o to chodziło mu w odpowiedzi na ankietę miesięcznika „Znak". Zamiast tego obecnie namiętnie licytuje się z Jarosławem Kaczyńskim, który z nich jest większym „agentem Putina". Pod każdym względem oznacza to kompletny upadek i jednocześnie całkowite zaprzeczenie politycznego myślenia.

Tusk namiętnie licytuje się z Jarosławem Kaczyńskim, który z nich jest większym „agentem Putina"

Kończąc swoją wypowiedź dla krakowskiego miesięcznika, przyszły premier napisał: „Sądzę – tak po polsku, patetycznie – że polskość niezależnie od uciążliwego dziedzictwa i tragicznych skojarzeń pozostaje naszym wspólnym świadomym wyborem". Czy jednak nie powinniśmy starać się uwolnić ten wybór od nienormalności zawartej w bezwarunkowej apologii antyrosyjskich zrywów? Czy nie mamy prawa chociażby tego oczekiwać od Tuska? Ale czy po powrocie do Polski z Brukseli, gdzie stał się on w pełni entuzjastą sfederalizowania i w konsekwencji zglajchszaltowania UE ze wszystkimi tego negatywnymi konsekwencjami, nadal byłoby to realne? Czy właśnie teraz nie okazałoby się, że rzeczywiście „polskość to nienormalność"? Ale gdyby nawet tak było, to może naciski Niemiec na szybkie zakończenie konfliktu nad Dnieprem – w kontrze do stanowiska USA, ale w zgodzie z własnym interesem – wymusiłyby na Tusku przynajmniej opóźnianie wejścia Polski do wojny, w przypadku podjęcia tego rodzaju decyzji przez Waszyngton. Nie ma wątpliwości, że wymagałaby tego nasza „raison d'état". Ale czy taka sytuacja przeczyłaby tytułowej frazie o polskiej nienormalności?

Z pewnością nie możemy liczyć w sprawie sprzeciwu wobec naszego udziału w wojnie na Ukrainie na prezesa PiS, dla którego sensem istnienia Polski jest walka ze wschodnim mocarstwem w każdych okolicznościach. Zmiana relacji między Berlinem a Moskwą w niczym nie wpłynęłaby na jego pogląd – pojawiłby się za to jeden przeciwnik więcej.

Jeśli pomyślimy, że Polska mogłaby zostać tak samo zrujnowana jak Ukraina w wyniku wojny, która znad Dniepru zostałaby przeniesiona na nasze terytorium, naprawdę robi się słabo. Początkowo mógłby nawet towarzyszyć temu entuzjazm, porównywalny z patriotycznymi uniesieniami z maja 1920 r., kiedy wojsko polskie wkroczyło na krótko do Kijowa, a wkrótce potem marszałek Sejmu Ustawodawczego Wojciech Trąmpczyński witał w podniosłej mowie zwycięskiego Wodza Naczelnego Józefa Piłsudskiego, wracającego ze szlaku Bolesława Chrobrego. Wiemy, co miało miejsce trzy miesiące później, z jakim zagrożeniem dla niepodległego bytu Polski mieliśmy do czynienia, ile nas kosztowało zwycięstwo nad bolszewikami w Bitwie Warszawskiej. Czy i teraz miałoby dojść do próby realizacji ukraińsko-polskich geopolitycznych fantazji wymierzonych w Rosję? Czy nie byłby to nadmierny hazard? Jeśliby i tym razem chciano dobrze, a wyszło jak zwykle, trzeba by się naprawdę poważnie zastanowić nad słowami Tuska, że „polskość to nienormalność".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, ustrojoznawcą. Ostatnio opublikował książki „Powstańczy szantaż i polityka odwetu" oraz „Polska jako junior partner?".

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Rząd idzie na wojnę

Łukasz Warzecha

Skoro Polska wysłała w tajemnicy przed obywatelami oddział policji na Ukrainę, a teraz wysyła bojowe samoloty, to czy całkowicie niewyobrażalne jest, że za miesiąc lub dwa usłyszymy, iż w planach jest wysłanie regularnych oddziałów wojskowych?

Nic nie zapowiadało bomby w programie publicystycznym Dariusa Rochbina na francuskim kanale LCI 18 marca o godz. 20. W studiu pojawił się najpierw generał w stanie spoczynku Bernard Norlain, były dowódca francuskich sił powietrznych, którego gospodarz programu pytał o świeżą w tamtym momencie informację: Polska dostarczy Ukrainie 20 swoich samolotów MiG-29. Razem z 13 słowackimi maszynami to już istotne zasilenie ukraińskiego lotnictwa.

Po pewnym czasie do studia dotarł kolejny gość: ambasador RP w Paryżu Jan Emeryk Rościszewski. Pan ambasador nie jest zawodowym dyplomatą, placówka w stolicy Francji to jego pierwsze stanowisko tego typu, wcześniej pracował w instytucjach finansowych, w tym będących własnością Skarbu Państwa, a kiedyś był także członkiem Porozumienia Centrum, ugrupowania będącego poprzednikiem Prawa i Sprawiedliwości.

Rozmowa przebiegała przez kilkanaście minut całkiem przewidywalnie. Szef polskiej placówki przedstawiał doskonale znane argumenty za daleko idącą pomocą dla Ukrainy, w tym również za przekazaniem jej polskich myśliwców. W pewnym momencie redaktor Rochbin poprosił ambasadora o komentarz do głosów o tym, że takie działania jak przekazanie polskich migów Kijowowi mogą doprowadzić do wybuchu trzeciej wojny światowej. Wówczas pan Rościszewski oznajmił, że to przecież nie Polska czy Słowacja eskalują napięcie, ale Rosja, która zaatakowała Ukrainę. I dodał: „Jeśli Ukraina się nie obroni, to będziemy zmuszeni wejść do tego konfliktu, jako że zagrożone będą wartości fundamentalne dla naszych cywilizacji i kultury, a więc dziś nie mamy wyboru”.

Gospodarz programu tej zaskakującej deklaracji nie podchwycił i dalej rozmowa toczyła się swoim torem, lecz wkrótce wspomniane słowa zostały wybite jako najważniejszy cytat z programu, a następnie znalazły się na czołówkach światowych mediów. W tym również rosyjskich.

REAKCJA WŁADZ

Następnego dnia pod presją medialną polska ambasada w Paryżu wydała oświadczenie. Czytamy w nim, że wypowiedź pana ambasadora jest „interpretowana w oderwaniu od kontekstu, w jakim została wygłoszona”. A dalej: „W innych fragmentach ambasador jasno mówi, że Polska nie jest w stanie wojny, ale robi wszystko, aby pomóc Ukrainie obronić się w tym konflikcie. Doszukiwanie się sensacyjnej wypowiedzi, niewpisującej się w konsekwentnie podejmowane od roku działania Polski, mające właśnie pomóc Ukrainie wygrać ten konflikt, tak aby nie zbliżył się on bardziej do Europy i Polski, należy rozważać w kategoriach złej woli”.

W wywiadzie (którego uważnie wysłuchałem w oryginale) Jan Emeryk Rościszewski faktycznie podkreślał, że Polska nie jest obecnie w stanie wojny. Równocześnie jednak kontekst, którym jego

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Jan Emeryk Rościszewski, polski ambasador w Paryżu, powiedział, że jeśli Ukraina przegra, to Polska będzie musiała „wejść do tego konfliktu" FOT. GOV.PL

słowa próbowała rozmywać ambasada, nijak nie zmieniał ich znaczenia. Wypowiedź pana ambasadora była jasna, jednoznaczna i nie pozostawiała wątpliwości. Nie oznaczała – jak twierdzili niektórzy, próbując złagodzić jej wydźwięk – że gdy Ukraina przegra, Rosja zaatakuje Polskę i będziemy musieli się bronić. Oznaczała, że po przegranej Ukrainy Polska nie będzie mieć wyboru i będzie musiała do wojny przystąpić – niezależnie od tego, czy sama zostanie zaatakowana czy nie.

MSZ odmówiło jakichkolwiek wyjaśnień w tej sprawie. Na skierowane do ministerstwa pytania odpowiedziano mi, odsyłając mnie do oświadczenia ambasady. Wkrótce po jego wydaniu głos na Twitterze zabrał ambasador RP w Kijowie, Bartosz Cichocki. „Przecież to jest oczywiste, że upadek Ukrainy oznacza wojnę w Polsce" – napisał. „Gdyby każdego posła rozliczać ze słów, to połowa parlamentu byłaby do dymisji" – stwierdził z kolei w Polsat News Marcin Przydacz z Kancelarii Prezydenta, zapominając, że poseł, w przeciwieństwie do ambasadora, nie jest przedstawicielem państwa za granicą i nie mówi w jego imieniu.

Słów ambasadora Rościszewskiego nie można rozpatrywać w oderwaniu od reakcji władz na nie. Można by oczywiście założyć, że mieliśmy do czynienia z karygodnym nadużyciem i zapędzeniem się, lecz wtedy MSZ powinno było się od wypowiedzi dyplomaty wyraźnie odciąć, może także wezwać go na rozmowę dyscyplinującą i powiadomić o tym opinię publiczną. Nic takiego jednak nie nastąpiło – zamiast zdystansowania się od tych zaskakujących deklaracji dostaliśmy próbę przekonania, że pan ambasador nie powiedział tego, co powiedział. Jakby tego było mało, z poparciem wystąpił Bartosz Cichocki.

Ten ostatni przypadek jest również bardzo ciekawy. Polski ambasador w Kijowie od początku trwania konfliktu zajmuje się gwiazdorzeniem w mediach i podgrzewaniem wojennych nastrojów, a jego wypowiedzi nierzadko wykraczają wyraźnie poza ambasadorski mandat. Tak było i tym razem: stwierdzenie ambasadora Cichockiego mogło paść ze strony polityka, ale nie członka korpusu dyplomatycznego. Za swoje harce ambasador Cichocki nigdy jednak nie został upomniany.

CO POLSKA POLICJA ROBIŁA NA UKRAINIE?

Jeśli już zaś mówić o kontekście słów Jana Emeryka Rościszewskiego, to trzeba do niego zaliczyć dwa wydarzenia z ostatniego czasu. Pierwszym było nagłe poinformowanie opinii publicznej, że przez pięć miesięcy na Ukrainie działał oddział 98 policjantów, zajmujących się – wedle wyjaśnień MSWiA – rozminowywaniem i zabezpieczaniem miejsc opuszczonych przez rosyjskie wojsko. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero w momencie, gdy ten „kontyngent humanitarny" – jak określało go ministerstwo – powrócił do kraju.

Sprawa, która przeszła niemal niezauważona, jest nie tylko tajemnicza, lecz także groźna. Pojęcie „kontyngentu humanitarnego" to publicystyka i w żaden sposób nie określa prawnego statusu, jaki ta grupa funkcjonariuszy miała na Ukrainie. Misje pokojowe, w których faktycznie brali lub biorą udział polscy policjanci (np. UNPROFOR w byłej Jugosławii, UNMIK i EULEX w Kosowie, UNOMIG w Gruzji, EUPOL w Afganistanie), mają mandat międzynarodowy, na ogół ONZ, a także UE. To nadaje im specjalny status i potwierdza, że ich członkowie nie uczestniczą w konflikcie po żadnej ze stron. Nie był to jednak przypadek misji polskich policjantów, którzy działali po prostu po ukraińskiej stronie. Nie wiadomo również, pod czyim byli dowództwem w czasie pobytu na Ukrainie.

Chcąc wyjaśnić te kwestie, skierowałem do MSWiA kilka pytań. Odpowiedź brzmiała: „Informujemy, że podstawę prawną dotyczącą utworzenia i działalności kontyngentu policyjnego wydzielonego do udziału w akcji humanitarnej w Ukrainie stanowią: umowa między Rządem Rzeczypospolitej Polskiej a Gabinetem Ministrów Ukrainy o współpracy i wzajemnej pomocy w dziedzinie zapobiegania katastrofom, klęskom żywiołowym i innym nadzwyczajnym wydarzeniom oraz usuwania ich następstw, ustawa o Policji oraz inne dokumenty o charakterze niejawnym. Jednocześnie wyjaśniamy, że w tej kwestii zastosowanie mają przepisy art. 5 ust. 1 ustawy o dostępie do informacji publicznej, zgodnie z którym »prawo do informacji publicznej podlega ograniczeniu w zakresie i na zasadach określonych w przepisach o ochronie informacji niejawnych oraz o ochronie innych tajemnic ustawowo chronionych«".

To typowy unik. Można zrozumieć, że jako informację niejawną zakwalifikowano by np. kwestię miejsc, gdzie operowali policjanci – aczkolwiek o to akurat nie pytałem. Jest jednak kompletnie niezrozumiałe, dlaczego w taki sposób potraktowano pytanie o mandat międzynarodowy misji. Jedyne wyjaśnienie jest takie, że odpowiedź byłaby kłopotliwa.

Można się też zastanawiać, z kogo faktycznie składał się 98-osobowy oddział. Liczba policyjnych pirotechników w Polsce nie jest oficjalnie podawana, ale gdyby choć połowa grupy należała do tej właśnie specjalizacji, można by mieć wątpliwości, czy wysłanie ich na Ukrainę nie oznaczało znaczącego osłabienia ochrony polskich obywateli w kraju. Chyba że osoby pracujące w „kontyngencie" były w policji od bardzo niedawna…

Przede wszystkim jednak rząd podjął decyzję poważnie narażającą bezpieczeństwo Polski, po raz kolejny wychodząc przed szereg. Misja została wysłana na Ukrainę po apelu ukraińskich władz do grupy ATLAS, zrzeszającej europejskie jednostki specjalne, ale wszystkie kraje, których oddziały do ATLAS-a należą, uznały, że wysyłanie członków uzbrojonych formacji do kraju toczącego wojnę

eprasa.pl 1a5fd4df8c

jest zbyt niebezpieczne. Wszystkie – poza Polską.

Wysłanie polskich policjantów (?) na Ukrainę nie tylko wiązało się z ryzykiem śmierci członków oddziału, lecz także nie można było wykluczyć choćby wzięcia któregoś z nich do niewoli. Trudno sobie nawet wyobrazić, w jak dramatycznym położeniu znalazłoby się wówczas nasze państwo i jak wykorzystaliby to Rosjanie. Dlatego to posunięcie polskich władz trzeba uznać za wyraz skrajnej nieodpowiedzialności.

Wynika z tego jednak znacznie więcej. Polska, podejmując w tej sprawie decyzję inną niż wszystkie pozostałe kraje koalicji proukraińskiej, ugruntowała swój wizerunek państwa nieliczącego się z konsekwencjami i zachowującego się już nie odważnie, ale po prostu brawurowo. O ile można jeszcze zrozumieć chęć pobudzenia przez Warszawę naszych partnerów do większej odwagi – jakkolwiek można się z tym nie zgadzać – o tyle łatwo tu przekroczyć granicę i Warszawa to uczyniła. W ten sposób zamiast przykładem odwagi stajemy się przykładem bezmyślności i szafowania własnym bezpieczeństwem. A to nie tylko nie pociąga innych w tę samą stronę, lecz także przeciwnie – raczej odstręcza i wywołuje za kulisami pukanie się w czoło.

PRZEKROCZENIE MANDATU DEMOKRATYCZNEGO

Druga kluczowa kwestia to znaczące przekroczenie mandatu demokratycznego przez rząd. Jasne jest, że władza nie może konsultować z obywatelami swoich posunięć w warunkach wojny. My jej jednak nie prowadzimy. Skoro w takich okolicznościach rząd był w stanie skierować na Ukrainę 98 członków uzbrojonej formacji w czynnej służbie bez powiadamiania opinii publicznej, narażając Polskę na trudne do oceny konsekwencje, to można sobie zadać pytanie: Co jeszcze władza robi i jakie ryzyko podejmuje, nie uznając za stosowne poinformować o tym Polaków?

Podczas debaty w Klubie Jagiellońskim, w której na temat Ukrainy starłem się z wiceministrem spraw zagranicznych Pawłem Jabłońskim, minister stwierdził, że politykę władz wobec Ukrainy Polacy oceniają i dają jej mandat w wyborach. To obłuda. W 2019 r. Polacy nie dali rządowi mandatu na tak daleko idące działania, ponieważ nikt wtedy nie wyobrażał sobie, co się stanie dwa i pół roku później. Aby zaś takie działania właściwie ocenić w tym roku, wyborcy musieliby mieć informację o tym, co się dzieje. Jak się okazuje, w wielu sprawach takiej informacji nie mają, a dyskusja jest uciszana za pomocą narzędzi nieformalnej cenzury.

Kolejnym rozdziałem tej historii jest decyzja o przekazaniu Ukrainie polskich samolotów MiG-29. W marcu ubiegłego roku Polska szczęśliwie się z tego pomysłu wycofała, apelując do Amerykanów, aby taki transfer dokonał się za ich pośrednictwem. Waszyngton się nie zgodził. Dziś reakcja USA jest podobna: administracja Joe Bidena jasno stwierdziła, że to suwerenna decyzja Polski i tylko Polska będzie odpowiedzialna za jej skutki, natomiast Stany Zjednoczone nie mają zamiaru przekazywać Ukrainie swoich samolotów.

CO W ZAMIAN?

Przedstawiciele rządu konsekwentnie wspominają o tym, że swoje maszyny wraz z polskimi ma przekazać Słowacja. Zapominają jednak dodać, że na Słowacji toczyła się wokół tej sprawy zażarta dyskusja, a ostatecznie przeważyła bardzo korzystna oferta finansowa. Nasi południowi sąsiedzi w zamian za wysłanie wycofanych ze służby 13 maszyn wartych 400 mln euro mają otrzymać rekompensatę w wysokości 900 mln euro. Dwieście milionów euro będzie pochodzić z Europejskiego Funduszu na rzecz Pokoju, a 700 mln będzie miało postać dostarczonego ze Stanów Zjednoczonych uzbrojenia lub upustów przy jego zakupie. Rzecznik rządu Piotr Müller pytany o to, co nasz kraj dostanie w zamian za oddane samoloty, próbował przekonywać, że przecież kupujemy koreańskie FA-50 oraz zamówiliśmy amerykańskie F-35. Za wszystko to płacimy jednak sami pełne kwoty, a pierwsze dostawy zaledwie kilku koreańskich maszyn dotrą dopiero w drugiej połowie tego roku – co nie oznacza włączenia ich do służby. F-35 to dopiero perspektywa 2025 r. Tymczasem polskie samoloty MiG-29 miały przed sobą jeszcze kilka lat służby, były zmodernizowane i dostosowane do standardów NATO.

Tych kilka epizodów, jedynie przecież przykładowych, składa się na coraz bardziej niepokojący obraz działań polskich władz, które systematycznie przekraczają kolejne granice zaangażowania w wojnę, w której nie uczestniczymy – jakkolwiek jesteśmy w nią włączeni politycznie. Wygląda to na klasyczne przesuwanie okna Overtona: to, co wzbudziło ogromny opór i gorącą dyskusję rok temu, dzisiaj zostaje zaakceptowane jako oczywiste. Dlatego całkowicie zasadne jest pytanie: Co jeszcze może się wydarzyć? Skoro Polska wysłała już w tajemnicy przed obywatelami oddział policji na Ukrainę, a teraz wysyła bojowe samoloty, to czy całkowicie niewyobrażalne jest, że za miesiąc lub dwa usłyszymy, iż w planach jest wysłanie regularnych oddziałów wojskowych? Oczywiście nie na linię frontu – przesuwanie okna Overtona nie tak się odbywa. Taki oddział, może najpierw w symbolicznym rozmiarze i złożony z ochotników, ale nie cywilów (taka jednostka już przecież na Ukrainie została powołana), lecz żołnierzy w czynnej służbie, mógłby zostać przez propagandę nazwany „misją pokojową" – to postulował już przecież Jarosław Kaczyński podczas swojej brawurowej wyprawy kijowskiej – i rozlokowany gdzieś na tyłach. Argumentowano by zapewne, że ma to jedynie na celu zwolnienie części ukraińskich żołnierzy, tak aby mogli zająć się walką z Rosjanami na pierwszej linii. I tak jak w kwestii wysłania policjantów albo przekazania polskich migów wokół tej sprawy nie byłoby żadnej parlamentarnej dyskusji.

Wraca zatem z nową mocą – szczególnie wobec najpewniej kluczowych nadchodzących tygodni wojny – pytanie o to, czy rząd nie chce nas stopniowo do tego konfliktu wciągnąć. Nie nagłym i widocznym dla wszystkich posunięciem, które mogłoby wywołać protesty, ale właśnie małymi kroczkami.

Tym, którzy tak chętnie pobrzękują szabelkami, przypomnieć trzeba, że ochrona wynikająca z naszej przynależności do NATO obowiązuje w razie zaatakowania kraju członkowskiego – a i tak nie jest bezwarunkowa. Nie działa jednak w razie, gdyby kraj członkowski sam włączył się do konfliktu zbrojnego. I nie miejmy złudzeń: państwa sojuszu postępujące wstrzemięźliwiej i ostrożniej niż Polska w razie realnego zagrożenia z pewnością wykorzystają pretekst, którym są nasze brawurowe wyskoki, aby osłabić moc swoich zobowiązań wobec naszego kraju.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Ideologia przeciwko wolności

FOT. ADOBE STOCK

Jerzy Kwaśniewski

Żadna z podstawowych wolności nie jest dana raz na zawsze. Ideologia gender i LGBT jest tylko kolejną próbą wynalezienia emocjonalnego wytrycha, za pomocą którego osłabi się gwarancje praw i wolności, poddając je pod dyktat politycznej poprawności

Państwo Peter i Hazelmary Bull niemal 30 lat prowadzili niewielki pensjonat w Kornwalii, z przepięknym widokiem na zatokę i wyspę St. Michael's Mount. Pensjonat ofertę kierował do chrześcijan, a usługi hotelarskie łączył ze wspólnotowym czytaniem Biblii i modlitwą. Nic zatem dziwnego, że pokoje małżeńskie nie były udostępniane parom nieformalnym, które bez problemu mogły znaleźć przytulne miejsce w jednym z dziesiątków innych pensjonatów w okolicy malowniczego Mariazon. Idylla Bullów skończyła się w 2008 r., gdy para homoseksualistów zażądała wynajęcia apartamentu małżeńskiego, odmawiając zameldowania w pokoju z dwoma oddzielnymi łóżkami. To, co nastąpiło, było publicznym pręgierzem wstydu dla starszego małżeństwa. Potępieni przez wszystkie niemal media, zaszczuci procesami, pozbawieni dobrego imienia i ostatecznie uznani przez Sąd Najwyższy Wielkiej Brytanii za winnych dyskryminacji po sześciu latach sprzedali swój dom i zrezygnowali z wymarzonej pracy. Peter Bull zmarł dwa lata później.

Historia Bullów stanowi doskonały przykład taktyki stosowanej przez aktywistów LGBT w celu zdeformowania klasycznych, liberalnych praw i wolności oraz zastąpienia ich opresyjnym systemem politycznej poprawności. Naprzeciw gwarancjom osobistej niezależności, prawa do politycznej partycypacji i do własności, stawiane jest prawo jednostki do zaspokojenia wszelkich zachcianek – o ile

eprasa.pl 1a5fd4df8c

tylko mieszczą się w wiążącym paradygmacie „postępu i nowoczesności".

EKSPRESYJNY INDYWIDUALIZM

Amerykańska doktryna konserwatywna nazywa ten nurt „ekspresyjnym indywidualizmem". Jego podstawowym błędem jest upatrywanie istoty człowieczeństwa w nieskrępowanej możliwości samorealizacji, bez względu na naturalne ograniczenia społeczne, kulturowe, a nawet biologiczne. Wolność do urzeczywistnienia indywidualnych zachcianek otrzymuje pierwszeństwo wobec wolności i praw innych ludzi. Natomiast państwo ma być gwarantem realizacji osobistych wyborów. Jeżeli pragnę zostać lekarzem, to żadna uczelnia nie może skreślić mnie z listy studentów. Jeżeli brzydzę się pracą, to należy mi się dochód podstawowy. Jeżeli chcę kraść, to kradzież powinna zostać dozwolona, a policja powinna zaniechać ścigania. Jeżeli chcę być kobietą, to mają mi zostać zapewnione stosowne zabiegi i terapie, a przede wszystkim każdy ma zwracać się do mnie stosownym zaimkiem i zaakceptować, że nastąpiła zmiana płci. Kto tego nie zrozumie, powinien zostać poddany stosownej represji karnej.

Brzmi znajomo? To brutalne wdrożenie założeń neomarksistowskiej szkoły frankfurckiej, postulującej zniszczenie wszystkich instytucji i samej kultury, by wyzwolić jednostkę ze struktur społecznych skazujących człowieka od dziecka na powielanie schematów zniewolenia. Dokładnie te postulaty, okraszone oskarżeniami o systemowy rasizm, wybrzmiały niedawno w spójnym pakiecie podczas ulicznych zamieszek Black Lives Matter w USA. Cały proces przejścia od praw człowieka afirmujących prawo naturalne do praw człowieka odrzucających naturę ludzką w imię realizowania dowolnych rojeń jednostki doskonale opisuje Grégor Puppinck w wydanej niedawno w Polsce „Degeneracji praw człowieka".

TOLERANCJA, ALE REPRESYJNA

Skoro wspominaliśmy o szkole frankfurckiej i niszczeniu kultury, to czas na „tolerancję represywną" Herberta Marcuse'a, który wprost definiował ją jako „nietolerancję wobec ruchów prawicowych, a tolerancję wobec ruchów lewicowych". Aby łatwiej uzasadnić represje wobec rzeczników starego ładu, proces degeneracji praw człowieka wyposaża ruchy bliskie radykalnej lewicy i ich przedstawicieli – w tym głównie aktywistów LGBT – w moc nieograniczonego tworzenia nowych praw człowieka. Wspierają ich w tym potężny kapitał inwestujący w ideologię LGBT jako wehikuł konsumpcji oraz cała, międzynarodowa sieć organizacji pozarządowych, agend ONZ i komitetów, dla których nowa ideologia stanowi uzasadnienie rozwoju. Za pomocą nowych praw człowieka niszczona jest wolność słowa, bo zagraża dobremu samopoczuciu mężczyzn czujących się kobietami. Pod ciosami tej samej ideologii upadają wolność akademicka i nauka, które muszą podporządkować się politycznej poprawności oraz przemilczeć biologiczną prawdę o tym, „kto jest kobietą".

Żadna rewolucja nie zwyciężyła bez złamania prawa własności

Wreszcie żadna rewolucja nie zwyciężyła bez złamania prawa własności i bez zaprzężenia, dobrowolnie lub pod przymusem, prywatnych majątków do wdrażania ideologicznych koncepcji na każdym poziomie życia społecznego. Dlatego tak potężny atak lobby LGBT wymierzony jest w przedsiębiorców – od cukierników i hotelarzy do drukarzy, właścicieli klubów sportowych i wydawców prasy. Kto nie pokłoni się nowej ideologii, ten nie jest godzien, by korzystać z konstytucyjnych praw i wolności.

Wyrok w sprawie Bullów to tylko wierzchołek góry lodowej. W ten sam sposób należy traktować postępowanie karne przeprowadzone przeciwko ks. prof. Dariuszowi Oko i ks. prof. Johannesowi Stöhrowi. Obaj księża naukowcy odpowiadali za publikację w naukowym czasopiśmie „Theologisches" artykułu krytycznego wobec homoseksualnej kliki kryjącej pedofilów w szeregach katolickiego kleru. Chociaż artykuł pomagał postawić diagnozę ważną dla profilaktyki przestępczości oraz przywoływał podobne oceny formułowane przez Benedykta XVI i kardynałów, niemiecka prokuratura uznała go za mowę nienawiści przeciwko homoseksualistom jako zbiorowości. Gdyby nie polska odsiecz prawna Ordo Iuris, mogłoby skończyć się skazaniem. A i tak, wobec świadomości ideologicznego zacietrzewienia niemieckiego wymiaru sprawiedliwości, udało się zakończyć sprawę zaledwie ugodą z oskarżycielem. Przykłady można mnożyć w nieskończoność.

POLSKA DROGA

Na razie Polska idzie inną drogą. Mocno zakorzenione w europejskim dziedzictwie kulturowym orzecznictwo Trybunału Konstytucyjnego zbudowało na przestrzeni lat podwójny mur przeciwko ideologiom nastającym na podstawowe prawa i wolności. Na pierwszym odcinku wolność przedsiębiorców chroniona jest swobodą kontraktową, na drugim rozwiniętą ze szczególnym pietyzmem doktryną wolności sumienia i powiązaną z nią instytucją klauzuli sumienia. Przed nami budowa trzeciego szańca, składającego się z ustawowych regulacji szczegółowych.

Pierwsza linia obrony wolności wykuła się w sporze o prawo do odmowy przyjęcia zlecenia przez łódzkiego drukarza. Wolność przedsiębiorcy do kształtowania portfela klientów została przy tym zaatakowana przez niezwykle charakterystyczny sojusz starego i nowego marksizmu. Współdziałający aktywiści LGBT i ówczesny rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar sięgnęli do przepisu Kodeksu wykroczeń z czasów głębokiego PRL i gospodarki nierynkowej, który zakazywał odmowy świadczenia bez uzasadnionej przyczyny. Po kilkuletniej epopei sądowej drukarz, który odmówił produkcji materiałów promocyjnych organizacji LGBT, został uniewinniony. Stało się to jednak możliwe dopiero wtedy, gdy na wniosek prokuratora generalnego Trybunał Konstytucyjny uchylił komunistyczny przepis i potwierdził rynkową zasadę wolności doboru kontrahentów. Dzisiaj nie ulega już wątpliwości, że pierwszą linią obrony przed „nowymi prawami" kreowanymi przez ideologów LGBT jest klasyczna wolność, która pozwala odmówić wydruku broszur i manifestów, odmówić wynajmu sal konferencyjnych czy udzielenia czasu antenowego. W Polsce państwo Bullowie mogliby jeszcze długo prowadzić swój pensjonat.

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Drugą linię murów ochronnych przeciwko ideologiom stanowi sprzeciw sumienia, starannie dopracowany w Europie jako odpowiedź na koszmar nazistowskiego „ustawowego bezprawia". Tak się zatem składa, że od zarania „klauzula sumienia" służy przeciwstawieniu się ideologii, która w imię nieracjonalnej wizji człowieka chce za pomocą siły przymusu prawnego zmusić jednostkę do moralnego zła. Dzięki systemowi praw człowieka i priorytetowi wolności sumienia jednostka poddana takiej ideologicznej presji może odwołać się do nadrzędnego autorytetu praw człowieka i odmówić uczestnictwa w ustawowo dozwolonej lub nawet nakazanej zbrodni.

Wbrew zarzutom radykalnej lewicy sumienie nie jest w świetle prawa ani zachcianką, ani subiektywnym odczuciem. Nie jest także dowolnością. Powszechna Deklaracja praw człowieka z 1948 r. już w pierwszym artykule powiązała wolność sumienia z ludzką godnością i rozumem. Sumienie, zakorzenione głęboko w filozofii i teologii chrześcijańskiej Europy, pozostaje funkcją poznawczą rozumu. Jak podkreślał Trybunał Konstytucyjny w 2015 r., sumienie jest „zdolnością do intelektualnej oceny własnych aktów jako dobrych albo złych". Koncepcja sumienia jest zatem wyzwaniem rzuconym współczesnemu relatywizmowi. Podobnie jak preambuła Konstytucji RP potwierdza istnienie prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna. Dobrze, racjonalnie ukształtowane sumienie prawidłowo identyfikuje moralne zło i pozwala go uniknąć. Tak rozumianą wolność sumienia potwierdzają cała historia rozwoju praw człowieka i jednoznaczne postanowienia Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych, Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, Karty praw podstawowych Unii Europejskiej.

Tak rozumiana wolność sumienia i prawo do oporu wobec niesprawiedliwości jest charakterystyczną i unikalną cechą kultury prawnej cywilizacji europejskiej. Już w XV w. słynny polski prawnik Paweł Włodkowic podkreślał, że rycerz winien odmówić udziału w wojnie niesprawiedliwej. Po drugiej wojnie światowej trybunał norymberski odrzucił zasadę „ślepych bagnetów", gdy obrońcy niemieckich zbrodniarzy wojennych żądali wykluczenia odpowiedzialności za czyny zgodne z prawem III Rzeszy i rozkazami dowódców. W latach powojennych powszechnie zaakceptowano zasadę prawa głoszącą, że norma prawna rażąco naruszająca prawo moralne nie obowiązuje, stanowiąc „ustawowe bezprawie". W akceptacji tej zasady europejska tradycja prawna widzi ochronę przed powrotem ideologii totalitarnych, które chciałyby na nowo zapanować nad ludzkimi sumieniami.

Stanowczym potwierdzeniem roli sprzeciwu sumienia w polskim porządku prawnym jest wyrok Trybunału Konstytucyjnego z października 2015 r. w sprawie z wniosku Naczelnej Izby Lekarskiej. Orzekający w pełnym i jeszcze niekwestionowanym składzie Trybunał nie tylko wzmocnił lekarską klauzulę sumienia, lecz także potwierdził, że prawo do niej przysługuje każdemu. Bez względu na wykonywany zawód, formę zatrudnienia lub prowadzonej działalności.

Rzecz jasna, sprzeciw sumienia wchodzi w grę dopiero wtedy, gdy ciążący już na człowieku obowiązek prowadziłby do jednoznacznego, moralnego zła. Nauczyciel, którego program edukacji seksualnej zobowiązałby do pokazania dzieciom wulgarnej pornografii. Pracownik korporacji, któremu nakazano wystąpienie na firmowej platformie podczas Parady Równości. Sprzedawca mebli, którego pracodawca nazywa obowiązkiem wychodzenie z inicjatywą aktywnej afirmacji napotykanych w pracy par jednopłciowych. Farmaceuta, któremu pracodawca nakazuje wydawać środki wczesnoporonne. Taksówkarz, którego oddelegowano do dowożenia klientów agencji towarzyskiej. Lekarz, który w świetle swej najlepszej wiedzy nie może podać pacjentowi preparatu, który przyniesie więcej szkód niż pożytku.

Wbrew zarzutom radykalnej lewicy sumienie nie jest w świetle prawa ani zachcianką, ani subiektywnym odczuciem

WOLNOŚĆ TRZEBA STALE ZDOBYWAĆ

Przed nami poważne zadanie wzniesienia trzeciej warstwy murów obronnych, którymi będą działania legislacyjne rządu i parlamentu, wzmacniające gwarancje wolności wobec konkretnych zagrożeń ze strony irracjonalnych ideologii. Pierwszym z tych ważnych obszarów była ustawa z 2021 r. wykluczająca postępowania dyscyplinarne wobec nauczycieli akademickich wyrażających przekonania religijne, światopoglądowe lub filozoficzne. Jednym z pierwszych beneficjentów zmiany była prof. Ewa Budzyńska, skazana wcześniej na Uniwersytecie Śląskim w skrajnie kontrowersyjnym postępowaniu dyscyplinarnym za swój wykład o genezie instytucji rodziny w kulturze europejskiej. Jej jednoznaczna niewinność oraz dorobek naukowy i dydaktyczny nie stanowiły żadnej przeszkody do poddania jej pokazowemu wykluczeniu w ścisłej współpracy radykalnej grupy studentów i inspirujących ich pracowników uczelni. Dokładnie na wzór marksistowskich rewolt lub współczesnych praktyk „cancel culture". Dzięki zmianie prawa nie tylko prof. Ewa Budzyńska, lecz także wszyscy inni naukowcy mogą cieszyć się realną wolnością.

Jednak żaden z trzech szańców nie będzie dawał ochrony, jeżeli sami zainteresowani – pracownicy, przedsiębiorcy, naukowcy i lekarze – nie będą mieli dostatecznej wiedzy na temat swoich praw i skutecznych środków ich ochrony. Dostarczeniu tej wiedzy, wraz z praktycznymi przykładami, a nawet konkretnymi wzorami pism, służy udostępniony niedawno poradnik Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris „Wolność słowa, sumienia i wyznania w miejscu pracy".

Żadna z podstawowych wolności nie jest dana raz na zawsze. Ideologia gender i LGBT jest tylko kolejną próbą wynalezienia emocjonalnego wytrycha, za pomocą którego osłabi się gwarancje praw i wolności, poddając je pod dyktat politycznej poprawności. Budując kolejne bastiony przeciwko wpływom ideologii LGBT, wzmacniamy demokrację i rządy prawa, zabezpieczając prawdziwą wolność także dla tych, którzy dzisiaj służą totalnym ideologiom. Odkrywamy znaczenie słów Jana Pawła II, który do pielgrzymów z Białorusi powiedział uniwersalne słowa: „Wolności nie można tylko posiadać, ale trzeba ją stale zdobywać, tworzyć".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Kościół na progu schizmy

Paweł Chmielewski

Kościół katolicki pod rządami papieża Franciszka zaczyna coraz bardziej przypominać wspólnotę anglikanów: wewnętrznie skłóconą o stosunek do Pisma Świętego, rozumienie istoty Ewangelii, fundamentalne zagadnienia doktrynalne. W związku z konfliktem wokół LGBT anglikanom grozi poważny rozłam. W Kościele katolickim jest tak samo. I nikt nie wie, czy nie dojdzie do schizmy

Problemy targające światem anglikańskim mogłyby nas nie interesować, gdyby nie to, że ich sytuacja w olbrzymim stopniu przypomina sytuację w Kościele katolickim. Anglikanie od lat spierają się o rozumienie zasadniczych prawd wiary, co samo w sobie nie jest dziwne: nie mają przecież jednego ośrodka władzy. Honorowe przewodnictwo we wspólnocie anglikańskiej przysługuje prymasowi tzw. Kościoła Anglii, tytułującemu się arcybiskupem Canterbury, Justinowi Welby'emu. Kluczowe dla światowej wspólnoty decyzje anglikanie podejmują „synodalnie", zbierając się regularnie na zjazdach gromadzących szefów struktur wspólnotowych z całego świata, zwykle w londyńskim Lambeth. Pozbawieni kościelnego urzędu nauczycielskiego kierują się nader często osądem świata i od dziesięcioleci stopniowo odchodzą od wiary opartej na Bożym objawieniu, czego opisywać tu nie trzeba: każdy słyszał o podatności anglikanów na idee oświecenia i rewolty '68.

NIEPRZEKRACZALNE GRANICE

Dla większości z nich istnieją jednak pewne nieprzekraczalne granice. Dotyczy to m.in. tematyki LGBT. Skoro zarówno Stary, jak i Nowy Testament mówią, że stosunki homoseksualne są grzeszne, to takie są – i zdaniem większości nie wolno udawać, że jest inaczej. Problem w tym, że do zmiany prą m.in. rządy państw zachodnich. Sam Justin Welby przyznał niedawno, że już dwukrotnie był wzywany do brytyjskiego parlamentu, gdzie naciskano, aby dostosował anglikańskie regulacje do ustaw świeckich i wprowadził homoseksualne małżeństwa. W końcu to król jest „głową" tzw. Kościoła, dlaczego więc jego wola nie miałaby zostać przeforsowana? Welby i inni angielscy decydenci kościelni, niezależnie od własnych poglądów na ten temat, obawiali się podziału. Postanowili zatem podjąć próbę zadowolenia obu stron. W Anglii wprowadzono w efekcie nie same homomałżeństwa, a „jedynie" błogosławieństwa par jednopłciowych. Welby wychwalał to jako rozwiązanie inkluzywne i wolne od dyskryminacji, a z drugiej strony chroniące specyfikę małżeństwa.

Przeliczył się – i to nie tylko dlatego, że władze Wielkiej Brytanii wcale nie zadowoliły się takim ograniczonym „postępem". Na krok tzw. Kościoła Anglii z wściekłością zareagowali przywódcy wspólnot anglikańskich zrzeszeni w grupie Global South Fellowship of Anglican Churches. Opublikowali oświadczenie, w którym oskarżyli Anglików o odejście od Biblii, zdradę misji Ewangelii – i ogłosili, że zrywają z nimi jedność. Mówiąc krótko, to swoista protestancka „ekskomunika". Obecnie toczą się rozmowy nakierowane na przywrócenie jedności. W tym momencie można jednak już mówić o rozłamie.

FOT. GRZEGORZ GAŁĄZKA/EAST NEWS

KOŚCIELNY BEZPIECZNIK

Katolicy powinni znajdować się w lepszej sytuacji: papież jest stróżem

eprasa.pl 1a5fd4df8c

niezmiennej Tradycji, dlatego co do zasady łatwiej jest im nawigować między pułapkami modnych ideologii. Niestety, ten kościelny bezpiecznik obecnie nie działa. Papież nie wykonuje swojej misji stróża jedności: kardynałowie i biskupi swobodnie głoszą najbardziej nawet rażące błędy. Odbywa się to pod hasłami „jedności w różnorodności" oraz „nowego paradygmatu duszpasterskiego". Problem w tym, że w Kościele nie może być różnorodności doktrynalnej, a duszpasterstwo nie może być przeciwne nauce Kościoła. W jednym z numerów „Do Rzeczy" opisywaliśmy przebieg europejskiej fazy Synodu o synodalności – procesu, który w zamyśle Franciszka ma trwale przekształcić Kościół. Europejscy biskupi de facto zgodzili się na rozbicie doktrynalne Kościoła. W ostatnich tygodniach mogliśmy obserwować konsekwencje przyjęcia takiej postawy. Podam tylko dwa „drobne", ale wymowne przykłady.

14 lutego – w walentynki – niemiecka diecezja Aachen ogłosiła, że zaprasza wszystkie pary po błogosławieństwo kościelne; zaproszenie zilustrowano grafiką przedstawiająca parę całujących się mężczyzn. Incydent? Nie, metoda. Biskup wyjaśnił mediom, że popiera te działania, bo to każdy ksiądz decyduje, czy chce błogosławić pary gejowskie. To niezgodne z nauką Kościoła, ale biskup nie musi się tym przejmować. Wie, że nic mu nie grozi, bo decydenci w Watykanie popierają jego linię. Przecież to samo robią też biskupi z Belgii, Włoch czy ze Stanów Zjednoczonych i papież nie powie przeciw nim nawet słowa. W Aachen urządzono ceremonię, podczas której ksiądz okryty tęczową stułą błogosławił parę gejowską. Później, stojąc przed Najświętszym Sakramentem, para przytulała się i całowała. Zgromadzony tłum szalał z zachwytu. Reakcji Stolicy Apostolskiej nie ma.

Pod koniec lutego bp Tomáš Holub z Pilzna w Czechach ogłosił wytyczne, w których zaproponował „akt trwałego miłosierdzia" dla rozwodników w nowych związkach. Zgodnie z nauką Kościoła takie osoby nie mogą przystępować do sakramentów, chyba że ich nowy związek z powodu konieczności opieki nad dziećmi jest trudny do przerwania oraz żyją z partnerem jak brat z siostrą. Biskupa to jednak nie interesuje: zmienił tę praktykę, występując przeciwko nauczaniu Kościoła. Wie, że nic mu nie grozi: wcześniej to samo zrobiło wielu biskupów na całym świecie, a papież wyrażał nawet listownie aprobatę dla takich kroków.

DZIAŁANIA FAŁSZYWYCH „REFORMATORÓW"

Ta absurdalna „jedność w różnorodności" dotyczy nie tylko Europy. W styczniu na łamach jezuickiego magazynu „America" kard. Robert McElroy ogłosił, że akty homoseksualne to nie jest grzech ciężki, w związku z czym gejów i lesbijki żyjących w intymnych związkach należy dopuszczać do Eucharystii, podobnie zresztą jak rozwodników; Komunia Święta powinna bowiem być „inkluzywna" i dla każdego. Reakcji Rzymu naturalnie brak; przecież dokładnie te same poglądy wyraża od lat przyjaciel Franciszka Jean-Claude Hollerich, któremu papież powierza wysokie urzędy i kontrolę nad przebiegiem Synodu o synodalności.

Tak wygląda Kościół katolicki za pontyfikatu Jorge Maria Bergoglia: homoseksualiści całują się przed Najświętszym Sakramentem, a przebrany na tęczowo ksiądz ich błogosławi i udziela Komunii Świętej. Owszem, takie patologie incydentalnie występowały także wcześniej. Było jednak oczywiste, że dochodzi do nich wbrew Rzymowi. Teraz jest oczywiste, że Rzym to popiera. Nie dziwi mnie więc, że rosnąca grupa katolików z niepokojem zagląda do punktu 675 Katechizmu Kościoła katolickiego. Czytamy w nim, że przed powtórnym przyjściem Chrystusa Kościół musi przejść przez końcową próbę. Próba ta będzie polegać na głoszeniu oszukańczej religii, która da ludziom pozorne rozwiązanie ich problemów za cenę odstępstwa od prawdy. Oszustwem Antychrysta będzie pseudomesjanizm, w którym człowiek uwielbi siebie zamiast Boga i Chrystusa. Żyjący na przełomie II i III w. ojciec i doktor Kościoła, Hipolit Rzymski, pisał, że Antychryst wyjdzie z „pokolenia Dana", co jest symbolem wyjścia z wnętrza samego Kościoła. Tak jak Kościół katolicki jest Mistycznym Ciałem Chrystusa, tak hierarchia Antychrysta wznosi jego „Mistyczne Ciało" – Antykościół.

Owszem, pojawiają się głosy wzywające do otrzeźwienia – i to nie tylko w środowiskach związanych z Bractwem Kapłańskim św. Piusa X. Pod koniec lutego jasne stanowisko zajął jeden z amerykańskich biskupów, Thomas Paprocki, syn polskich emigrantów, ordynariusz Springfield w stanie Illinois. Biskup odniósł się pośrednio do tez kolportowanych przez kard. McElroya i innych jemu podobnych progresistów, wskazując, że mamy do czynienia z formalną herezją. Co za tym idzie – pisał – pasterze, którzy ją głoszą, zaciągają ekskomunikę. Są odstępcami od wiary – odstępcami, których Stolica Apostolska nie ma odwagi czy też po prostu nie chce nazwać po imieniu, dlatego nieniepokojeni sprawują swoją władzę. Na innym kontynencie, w Afryce, ordynariusz Liry bp Sanctus Lino Wanok nazwał milcząco akceptowaną przez Watykan praktykę błogosławienia związków jednopłciowych „szyderstwem" z Kościoła. W samym Rzymie kard. Marc Ouellet, do początku tego roku prefekt Dykasterii ds. Biskupów, ostrzega przed zranieniem Kościoła kolejną schizmą w związku z działaniami fałszywych „reformatorów". Wcześniej już kilku innych hierarchów krytykowało Synod o synodalności jako drogę wiodącą do zniszczenia Kościoła.

Takich głosów jest jednak wciąż za mało. Co więcej, okazuje się, że w bezpośredniej konfrontacji tracą one na wyrazistości. Przecież biskupi we wschodniej Europie, w tym w Polsce, od dawna krytykują rewolucyjną linię takich hierarchów jak ci z Niemiec. A jednak gdy wszyscy zbierają się wspólnie, jak miało to miejsce na spotkaniu synodalnym w Pradze, ostateczną konkluzją jest ciągle „jedność w różnorodności". Jesienią tego roku biskupi z całego świata zbiorą się na synodzie w Rzymie. Czy liczba tych, którzy będą zdolni do odważnego wyartykułowania prawd wiary, będzie wystarczająca, aby nakłonić papieża do jakiejś interwencji i zatrzymania tego rozbuchanego festiwalu herezji? Nieustanne chowanie głowy w piasek w obliczu zuchwałego deptania fundamentów doktryny jest strategią wyłącznie oddalającą to, co konieczne: odcięcie błądzących. Widzą to już nawet anglikanie: nie można pozostawać w jednej wspólnocie, jeżeli wyznaje się tak naprawdę zupełnie odmienną wiarę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Manipulacje manipulatora

Rafał Łatka

Liczba błędów, które Ekke Overbeek popełnił w książce „Maxima Culpa. Jan Paweł II wiedział", jest zatrważająca. Bezpieka nie uwierzyła w informacje, które uznał za wiarygodne

Książka Ekkego Overbeeka zatytułowana „Maxima Culpa. Jan Paweł II wiedział" oraz reportaż Marcina Gutowskiego „Franciszkańska 3" były zapowiadane jako „przełom". Miały doprowadzić do udowodnienia tezy, że kard. Karol Wojtyła jako metropolita krakowski był pobłażliwy dla podlegających mu kapłanów, którzy dopuścili się nadużyć seksualnych. W przekonaniu obydwu autorów miał on również chronić księży pedofilów i kryć ich przestępstwa.

Okazało się jednak, że ów przełom nie nastąpił, gdyż sposób udowadniania rzekomych win kard. Wojtyły okazał się pełen luk, nadinterpretacji, zwyczajnych przekłamań oraz licznych błędów szczególnie przy czytaniu dokumentacji aparatu bezpieczeństwa. Specjalnie używam określenia „czytaniu", gdyż nie była to w żadnym wypadku rzetelna analiza, lecz dopasowywanie wybranych fragmentów materiałów archiwalnych do z góry przyjętej tezy.

Warto przeanalizować szczegółowo to, jak Overbeek patrzy na dokumenty

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Metropolita krakowski abp Karol Wojtyła podczas mszy FOT. NAC

UB/SB, i wykazać liczne nadużycia, których się dopuścił. Rozpocznę od uwag ogólnych, a następnie przedstawię na trzech konkretnych przykładach manipulacje tego autora. Dokonam tego, omawiając to, jak holenderski dziennikarz przedstawił przypadki: ks. Eugeniusza Surgenta, ks. Józefa Loranca oraz kard. Adama Stefana Sapiehy. Pochylę się także nad dość dziwnym rozdziałem zatytułowanym „Wierzchołek góry lodowej", w którym autor książki „Maxima Culpa" twierdzi, że molestowanie nieletnich przez duchownych miało mieć w PRL niemalże masową skalę.

BRAK WIEDZY, NIEZNAJOMOŚĆ KONTEKSTU

Liczba błędów, które popełnił Overbeek, pisząc swoją książkę, jest ogromna. Nie dokonał rzetelnej dziennikarskiej analizy, lecz nachalnie i bez przedstawiania jakichkolwiek wątpliwości zaprezentował przygotowaną wcześniej tezę i zawsze wybierał interpretacje najgorsze dla kard. Wojtyły. Jest tak w każdym z opisanych przez niego przypadków, a podsumowanie publikacji stanowi tylko sumę uprzedzeń autora pod adresem Kościoła katolickiego. Na przykład na stronie 482 Holender stwierdził, że Kościół jest instytucją, która tłamsi wolnych ludzi, ogranicza ich prawa, a nawet stosuje wobec nich przemoc instytucjonalną: „Reprodukuje ona siebie przez brak zaufania, wzajemny szantaż i – ostatecznie – nagą przemoc. Siłą napędową każdego autorytarnego systemu jest lęk. Kościół nie działa inaczej. Kontroluje jednostkę, podsycając jej lęki, równocześnie oferując tych lęków ukojenie". Nietrudno dostrzec w tym nienawiść, jaką autor żywi wobec Kościoła i duchowieństwa.

Holenderski dziennikarz nie posiada elementarnej wiedzy o historii Polski w XX w. Przykłady jego niekompetencji w tym względzie znajdują się w wielu fragmentach „Maxima Culpa". Jednym z nich jest stwierdzenie, że Kościół i duchowieństwo (a szczególnie biskupi) żyli w dwóch ostatnich dekadach systemu komunistycznego niejako w symbiozie z władzami w celu „ciemiężenia" Polaków. Ponadto nie wykorzystał w swojej książce niemal żadnych opracowań dotyczących historii Kościoła katolickiego w PRL ani prac monograficznych czy wielu ważnych edycji źródłowych (w tym tych dotyczących metropolitów krakowskich). Jeśli zechciałby się pochylić nad najbardziej nawet podstawowymi publikacjami na ten temat, to wiedziałby, jak wyglądała inwigilacja kard. Wojtyły i kard. Sapiehy. Wiedziałby wtedy również, że jeśli aparat bezpieczeństwa dysponowałby jakimikolwiek wiarygodnymi informacjami dotyczącymi nadużyć seksualnych obydwu hierarchów czy też chronienia przez nich zboczeńców seksualnych, to by je natychmiast wykorzystał do ich werbunku lub publicznego skompromitowania. Nie doszło do tego dlatego, że bezpieka weryfikowała donosy składane przez swoich informatorów i oceniła, że np. informacje jej podane przez ks. Anatola Boczka na temat „zboczeń" kard. Sapiehy są zupełnie niewiarygodne. Aparat bezpieczeństwa wykorzystywał nawet potencjalnie słabsze materiały do rozpętywania nagonek prasowych, czego przykładem mogą być ataki propagandowe na bp. Czesława Kaczmarka przy pomocy „wspomnień" ks. Leonarda Świderskiego (miały udowadniać, że biskup molestował zakonnice). Czemu więc bezpieka nie podjęła działań w przypadku donosów ks. Boczka? Otóż dlatego, że nie uwierzyła w te informacje, ale za to uwierzyli Overbeek i Gutowski…

Holenderski dziennikarz nie posiada elementarnej wiedzy o historii Polski w XX w. Przykładów w „Maxima Culpa" jest wiele

PRZYPADKI KS. SURGENTA I KS. LORANCA

Jeśli chodzi o przypadki ks. Surgenta i ks. Loranca, to Overbeek miał potencjalnie ułatwione zadanie, gdyż obydwa zostały wcześniej rzetelnie i całościowo opisane przez Piotra Litkę i Tomasza Krzyżaka. Autor „Maxima Culpa" nie tylko z nich nie skorzystał, lecz także w ogóle udawał, że ich nie ma. Przyczyna takiej postawy wydaje się bardzo prosta: wspomniani dziennikarze, analizując ich sprawy oraz zachowanie kard. Wojtyły, doszli do zupełnie innych wniosków.

Jeśli chodzi o opis sprawy ks. Surgenta, to holenderski dziennikarz popełnił wiele nadinterpretacji, wyciągając nieprawdziwe wnioski z informacji, których po prostu nie ma w dokumentacji SB. Po pierwsze, stwierdził, że wspomniany kapłan molestował dzieci już na swojej pierwszej placówce w Lachowicach, podczas gdy w materiałach aparatu bezpieczeństwa nie ma na ten temat żadnych informacji. Jeśliby takowe

eprasa.pl 1a5fd4df8c

były, bezpieka podjęłaby już wówczas próbę werbunku duchownego, używając takiej wiedzy jako materiału kompromitującego. Było za to inne przekonujące wytłumaczenie na częste przenoszenie ks. Surgenta przez kościelnych przełożonych na kolejne parafie – jego trudny charakter oraz wchodzenie w spory z proboszczami.

Analogiczne błędy i złą wolę widać w przypadku opisu reakcji kard. Wojtyły na nadużycia seksualne duchownego. Z materiałów archiwalnych jasno wynika, że metropolita krakowski podjął stanowcze i szybkie działania, gdyż jak tylko dowiedział się, że ks. Surgent molestuje nieletnich, zdjął go z funkcji, suspendował i kazał zamieszkać w odosobnionym miejscu – klasztorze Cystersów w Mogile. Później, po odbyciu kary więzienia przez ks. Surgenta, to nie metropolita krakowski przenosił wspomnianego kapłana do innych parafii, lecz byli to biskupi lubaczowski i koszalińsko-kołobrzeski (i to na nich spoczywa w tym względzie odpowiedzialność).

Wśród innych manipulacji Overbeeka należy wymienić również sugerowanie, że relacje ks. Surgenta z kard. Wojtyłą były bliższe niż w rzeczywistości. Holenderski dziennikarz bez żadnych podstaw źródłowych określił metropolitę krakowskiego mianem „mentora" księdza pedofila.

Podobnych manipulacji nie brakuje przy opisie przypadku ks. Loranca. Znów pojawia się próba udowadniania za wszelką cenę tezy, że kard. Wojtyła nie dopełnił swoich obowiązków i mimo wiedzy o molestowaniu dziewczynek przez podległego mu kapłana miał tolerować jego kolejne nadużycia. Rzeczywisty przebieg wydarzeń daleko jednak odbiega od tego, co napisał Overbeek. Kardynał Wojtyła, gdy tylko dowiedział się o nadużyciach seksualnych ks. Loranca, postąpił prawidłowo: natychmiast pozbawił go urzędu, suspendował i wydał nakaz przebywania w określonym miejscu (w klasztorze Cystersów w Mogile). Po odbyciu zasądzonej kary ks. Loranc był ściśle nadzorowany w Zakopanem i nie miał prawa do katechizacji.

W lipcu 1974 r. aparat bezpieczeństwa spreparował anonimowy list do kard. Wojtyły, w którym informowano, że ks. Loranc miał napadać na wychodzące z katechezy dziewczynki. Overbeek postawił tezę, że na skutek tego donosu metropolita krakowski miał być przekonany o winie kapłana i miał przenieść go od razu na inną parafię, żeby sprawę wyciszyć. Przeczy temu jednak sekwencja zdarzeń, gdyż ks. Loranc został przeniesiony do nowej placówki dopiero prawie rok później. Można więc zatem wysunąć zupełnie odmienny i bardziej logiczny wniosek – że kard. Wojtyła uznał te zarzuty za nieprawdziwe.

Arcybiskup metropolita krakowski Adam Sapieha podczas przemowy w 1936 r. FOT. NAC

W opisie akcji z anonimem Overbeek zresztą sam sobie zaprzeczył, gdyż napisał tak: „To mogło być prawdą, ale mogło być też insynuacją lub wyolbrzymieniem faktów. Tego nie wiemy". Autor książki jednak ponownie bezzasadnie obciążył winą przyszłego papieża, opierając się tylko na swoich domniemaniach.

Błędów w jego rozumowaniu dowodzi też dalszy przebieg zdarzeń, gdyż ks. Loranc w czerwcu 1975 r. rozpoczął posługę jako kapelan w szpitalu w Chrzanowie, gdzie pracował do 1981 r., a następnie przez 11 lat przebywał w domu księży emerytów, gdzie zmarł w 1992 r. Nie ma z tego okresu żadnych informacji o jego nadużyciach seksualnych, a przecież gdyby takie były, to aparat bezpieczeństwa wykorzystałby je przeciwko temu duchownemu.

ZAKŁAMANY OBRAZ KARD. SAPIEHY

Najsłabszym i jednocześnie najbardziej zmanipulowanym fragmentem książki są opis postaci kard. Sapiehy i nachalna próba udowodnienia, że miał on być „seksualnym drapieżcą", który molestował kleryków i kapłanów archidiecezji krakowskiej. Sposób, w jaki Overbeek to opisał, ujawnia nie tylko rażący brak kompetencji historycznych i dziennikarskich, lecz także daleko idącą złą wolę.

Otóż ciężkie oskarżenia wysunięte pod adresem kard. Sapiehy nie są oparte na pogłębionej analizie wielu źródeł historycznych. Opierają się wyłącznie na donosach ks. Anatola Boczka – zdegenerowanego kapłana, alkoholika mającego na koncie nadużycia seksualne, wywodzącego się ze środowiska księży patriotów oraz informatora bezpieki w latach 1947–1956 (o pseudonimach Luty i Porwa).

Doniesienie, w którym informował o molestowaniu go przez kard. Sapiehę, ks. Boczek złożył już po tym, gdy został suspendowany przez metropolitę krakowskiego. Sama bezpieka przerwała z nim współpracę agenturalną, gdyż traktowała przekazywane przez niego informacje jako mało wiarygodne.

Overbeek nie tylko nie dokonał analizy wykorzystywanego źródła, lecz także stwierdził arbitralnie, iż donos ks. Boczka jest bezdyskusyjnie prawdziwy. Ten fragment książki jasno udowadnia, że jej autor nie ma pojęcia o analizie dokumentacji UB, a nawet nie próbuje zadawać sobie najbardziej oczywistych pytań o okoliczności, w jakich powstało wykorzystane przez niego doniesienie. Overbeek nie zastanowił się także nad sprawą dość fundamentalną, a mianowicie: jakim sposobem schorowany metropolita krakowski w 1950 r., czyli mając 83 lata, miał się dopuszczać agresywnych napaści seksualnych na kapłana o ponad 50 lat młodszego…

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Autor zresztą w kolejnym rozdziale napisał, że często współpraca z księżmi donosicielami była zrywana ze względu na ich nieprzydatność, wynikającą z niewielkiej wartości donosów. Tej uwagi, jak widać, nie jest w stanie jednak odnieść do tak ewidentnego przykładu niskiej wiarygodności przekazanych przez ks. Boczka informacji na temat kard. Sapiehy (choć sam też w innej części książki napisał, że bezpieka przerwała współpracę agenturalną z tym kapłanem). Z tego jasno wynika, że Overbeek manipulował przekazem, rzetelnie (co dość rzadkie) opisując sposób pracy aparatu bezpieczeństwa tylko tam, gdzie mu to pasuje do głównej tezy…

Szczytem absurdu i absolutnym kuriozum jest podsumowanie tego wątku przedstawione w zakończeniu: „Prawie dekadę Wojtyła żył pod skrzydłami arcybiskupa Sapiehy, który go wprowadził w kapłaństwo. Przejął od niego zwyczaje, rytm dnia i styl pracy, gdy stał się jego następcą. Nawet jeżeli Karol Wojtyła jako młody ksiądz sam nie doznał molestowania z rąk swojego mentora, to trudno sobie wyobrazić, by mógł tyle lat żyć w środowisku krakowskiego kleru, nie odnotowując tego, co w tym środowisku musiało być powszechnie wiadome. Postać Sapiehy może okazać się kluczowa dla zrozumienia, dlaczego późniejszy papież Jan Paweł II milczał i odwracał wzrok, gdy docierały do niego informacje o przestępstwach seksualnych księży".

Muszę powiedzieć, że dawno z czymś takim się nie spotkałem, jak sugerowanie bez żadnych dowodów, iż Karol Wojtyła jako kleryk i młody kapłan był molestowany przez kard. Sapiehę. Zaiste Jerzy Urban by się nie powstydził takich metod i pewnie cieszy się zza grobu, że ma takiego wychowanka jak Ekke Overbeek, który nie waha się używać takich samych metod jak „Nie" czy „Fakty i Mity" (zresztą do korzystania z tego drugiego pisma jako źródła wiedzy sam się przyznał).

„MASOWE" MOLESTOWANIE

Holenderski dziennikarz w 10. rozdziale swojej książki sugeruje, że molestowanie przez duchownych osób nieletnich miało w Polsce w okresie PRL niemalże masowy charakter. Wyciąga tego rodzaju wnioski na podstawie lektury donosów z teczek pracy osobowych źródeł informacji. Ich dobór jest zupełnie przypadkowy (a przynajmniej nic nie wiemy na temat kryterium ich selekcji). Overbeek nie dokonuje ich analizy, po prostu bezkrytycznie powtarza to, co znalazł w dokumentach UB/SB. Oprócz tego wprost stwierdza, że dokumenty aparatu bezpieczeństwa dotyczące duchowieństwa zostały zniszczone „w rezultacie nieformalnego porozumienia między odchodzącą władzą PRL a kościelnymi hierarchami". I znów jak w przypadku wielu innych twierdzeń w tej książce nie przedstawia na to absolutnie żadnych dowodów. Dodatkowo traktuje to jako uzasadnienie dla poglądu, że nie udało mu się odnaleźć większej liczby przypadków „krycia" przez kard. Wojtyłę pedofili niż te, które opisał.

Ekke Overbeek napisał swoją publikację o Janie Pawle II pod z góry ustaloną tezę, manipulował przekazem

Autor wyciąga również daleko idące wnioski na podstawie pojedynczych dokumentów. Przykładowo na stronie 377 podał, że w 1985 r. w Polsce ośmiu duchownych było ściganych za przestępstwa pedofilskie. W związku z czym stwierdził, że jeśli każdego roku było osiem takich przypadków, to w całej dekadzie lat 80. miałoby być niemal stu duchownych podejrzanych o tego rodzaju praktyki. Overbeek ma tu problem z czytaniem dokumentów ze zrozumieniem oraz stosuje w sposób nieuprawniony metodę skali. Łatwo to poddać krytyce.

Po pierwsze, dokument SB, z którego wyciąga takie wnioski, mówi o tym, że „w 1985 roku w prokuraturach terenowych prowadzonych było 8 postępowań przygotowawczych przeciwko księżom rzymskokatolickim podejrzanym o popełnienie tego rodzaju przestępstw". Po drugie, prowadzenie postępowania przygotowawczego to nie to samo co ściganie. Wreszcie po trzecie, na jakiej podstawie dane z konkretnego 1985 r. miałyby być reprezentatywne dla całej dekady? Holenderski dziennikarz rzecz jasna tego nie wyjaśnia.

Kolejnym przykładem takiego absurdalnego rozumowania jest twierdzenie, że jest bardzo prawdopodobne, iż kard. Wojtyła wiedział o tym, że ks. Antoni Karabuła molestował nieletnie dziewczynki, i nic z tym nie zrobił. Problem jest taki, że Overbeek nie przedstawia w tej sprawie żadnego dowodu, który potwierdzałby tak postawiony zarzut.

WNIOSKI

Szczegółowa analiza książki „Maxima Culpa" prowadzi do jednoznacznych wniosków. Ekke Overbeek napisał swoją publikację pod z góry ustaloną tezę, manipulował przekazem, okazał się ignorantem w zakresie rozumienia kontekstu historycznego oraz wykazał się brakiem jakichkolwiek kompetencji przy analizie dokumentacji aparatu bezpieczeństwa. Nie zna również nawet podstawowej literatury przedmiotu.

W moim przekonaniu jedynym przypadkiem przedstawionym w książce, który wymaga dalszych badań, jest sprawa działań kard. Wojtyły w przypadku ks. Bolesława Sadusia. Wbrew sądom holenderskiego dziennikarza nie mamy jednak do czynienia z udowodnionymi zaniedbaniami metropolity krakowskiego, lecz z sytuacją, którą dopiero należy wyjaśnić. Ponadto analiza dokumentów SB nie daje też jednoznacznej odpowiedzi, czy jeśli chodzi o tego kapłana, to mieliśmy do czynienia z pedofilią czy też z molestowaniem młodych mężczyzn.

Dodać trzeba, że jeszcze pełniejsze wyjaśnienie sposobu reakcji kard. Wojtyły na przypadki nadużyć seksualnych przez duchownych podlegającej mu archidiecezji krakowskiej będzie możliwe po uzyskaniu dostępu przez historyków do dokumentacji znajdującej się w archiwum kurii krakowskiej. Pozwoli to szczególnie na rozwianie wątpliwości co do działań przyszłego papieża w sprawie ks. Sadusia, która nie została dotychczas w odpowiedni sposób wyjaśniona. Z tego względu zwracam się z apelem do abp. Marka Jędraszewskiego o zgodę na udostępnienie zainteresowanym badaczom materiałów kościelnych z tego zasobu archiwalnego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, profesorem UKSW.

eprasa.pl 1a5fd4df8c

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Falsyfikaty

Badacze konspiracji i jej wynaturzeń powinni większą uwagę zwracać na komunistyczne falsyfikaty. Branie wszystkiego, co pochodzi z przeszłości i jest uważane za źródłowy „dokument", za dobrą monetę prowadzi do absurdalnych wniosków. Dlatego zawsze konieczne są solidna krytyka dokumentu i umiejętność odróżniania zapisów falsyfikujących rzeczywistość od źródeł prawdziwych.

Jednym z przejawów komunistycznej propagandy w okresie okupacji (a także w latach późniejszych) było fałszowanie dokumentów w celu wzmożenia „walki klasowej" i poniżenia przeciwników. Mamy wiele dowodów takiej działalności ze strony PPR i GL-AL. Należą do nich fałszywe ulotki i oświadczenia, sygnowane nazwami organizacji niepodległościowych. Były też opisy rzekomo własnych akcji zbrojnych i działań przeciwko Niemcom, a w istocie zostały one przeprowadzone przez ugrupowania bardzo dalekie od komunizmu. Miało to na celu z jednej strony potęgowanie własnego obrazu, jako ugrupowania walczącego na wielką skalę z okupantem, z drugiej zaś obdzieranie organizacji niepodległościowych z ich autentycznego dorobku i dawało podstawy, aby oskarżać je o postawę „z bronią u nogi" i bierność, mimo posiadania sił i środków do czynnej akcji. Jednym z najbardziej bezczelnych zabiegów tego typu było przypisanie GL akcji „Wieniec", przeprowadzonej przez grupy dywersyjne AK w październiku i grudniu 1942 r. Innym przykładem było zawłaszczenie przez GL akcji oddziału NSZ wachm. Tomasza Wójcika „Tarzana" z 26 sierpnia 1943 r., w wyniku której zginął niemiecki gen. Kurt Renner z oficerami sztabu i ochroną.

Wiedza o bezczelnych praktykach uprawiania rabunków na wielką skalę i pozostawiania pokwitowań, wystawionych rzekomo przez NSZ jest nadal znikoma – choć zachowały się liczne dowody i dają pojęcie o takim procederze. Oto np. w marcu 1944 r. w Woli Trzydnickiej banda AL obrabowała gospodarza i (wg własnego meldunku!) „pokwitowanie zostawili na NSZ". Nie były to przypadki odosobnione. Wyjątkowy zwyrodnialec Bolesław Kaźmirak vel Kowalski „Cień" napisał we wspomnieniach, że mieli nawet stosowną pieczątkę!

Ostrzeżenia ukazywały się już podczas okupacji. Dowództwo NSZ ogłosiło specjalny komunikat: „Stwierdzono, że w szeregu wypadków organizacje komunistyczne […], wymuszając od Polaków pieniądze na cele organizacyjne lub urządzając napady, używają nazw narodowych, m.in. legitymując się jako Egzekutywa NSZ".

Również po wojnie funkcjonariusze MO w trakcie napadów rabunkowych zostawiali pokwitowania, podpisując je jako… „NSZ". ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Aresztowanie Piłsudskiego

Mało kto wie, że przyszły Komendant studiował na wydziale medycznym uniwersytetu w Charkowie. O wyborze uczelni zadecydowały koszty utrzymania, znacznie niższe niż w Petersburgu. Praktyka lekarska gwarantowała zresztą wyższy dochód niż posada urzędnika, nauczyciela czy inżyniera. Studia nie przypadły mu jednak do gustu, wobec czego podjął próbę przeniesienia się na uniwersytet w Dorpacie. Planów jednak nie udało się zrealizować i w nowym roku akademickim Piłsudski powrócił do Wilna, gdzie związał się z grupą konspiracyjnej młodzieży. Można odnieść wrażenie, że przyszły Komendant zajął się konspiracją wyłącznie dla wypełnienia wolnego czasu. Inna sprawa, że pod wpływem otoczenia przeczytał wówczas kilka znaczących lektur, w tym „Kapitał" Karola Marksa. Dzieło nie wywarło na nim pozytywnego wrażenia, po latach wspominał, że „panowanie towaru nad człowiekiem" nie trafiło mu do przekonania.

W sposób najzupełniej przypadkowy wileńscy konspiratorzy znaleźli się w kontakcie (bardziej towarzyskim niż operacyjnym) z frakcją terrorystyczną Narodnej Woli. Rosyjscy rewolucjoniści przygotowywali zamach na cara Aleksandra III, planując użycie bomby wypełnionej mieszaniną strychniny z atropiną. Truciznę zorganizował w Wilnie brat przyszłego marszałka, Bronisław, który na ferie świąteczne przyjechał z Petersburga, gdzie studiował prawo.

Zamach się nie powiódł, agenci policji śledzili (z zupełnie innych powodów) jednego z konspiratorów, a widząc go w otoczeniu młodych ludzi na trasie przejazdu cara, prewencyjnie aresztowali całą grupę. Po ujawnieniu planów zamachowców niezwłocznie rozpoczęto energiczne śledztwo. Dwóch z zatrzymanych nie wytrzymało przesłuchań i zdradziło powiązania z grupą wileńską. 22 marca 1887 r. aresztowano Józefa Piłsudskiego, którego jedyną winą było to, że przenocował w Wilnie (i oprowadzał po mieście) jednego z konspiratorów, nie wiedząc zresztą nic o jego przynależności spiskowej.

Pięciu niedoszłych zamachowców powieszono (wśród nich był Aleksander Uljanow – starszy brat Lenina), Bronisławowi Piłsudskiemu wyrok śmierci zamieniono na 15 lat katorgi. Józef zeznawał wyłącznie jako świadek, ale i tak nie ominęła go kara. Za przypadkowe kontakty ze spiskowcami został skazany w trybie administracyjnym (bez procesu sądowego) na pięć lat osiedlenia się na Syberii. Nie otrzymał wyroku katorgi jak starszy brat, jedynie przez okres obowiązywania kary musiał przebywać we wskazanym miejscu osiedlenia. Ale legenda zesłańca pozostała… ©℗

eprasa.pl 1a5fd4df8c

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

GRETA – DOKTOR TEOLOGII

Greta Thunberg opuszczała szkołę, by prowadzić „strajk klimatyczny", a teraz odbierze już trzeci honorowy doktorat. Tym razem – jak wynika z zapowiedzi – uhonorować ją zamierza Uniwersytet w Helsinkach. Prestiżowy tytuł akademicki przyzna Grecie tamtejszy Wydział Teologii. Pracownik tego wydziału tłumaczył w fińskich mediach, że teologia zajmuje się nadziejami i lękami ludzi, a jednym z największych zagrożeń jest obecnie „katastrofa klimatyczna".

ŻARTOWAŁ Z NAZWISKA PREMIERA

Rahul Gandhi, jeden z przywódców opozycyjnego Indyjskiego Kongresu Narodowego, został skazany na dwa lata więzienia. W 2019 r. parlamentarzysta przemawiał na wiecu wyborczym w stanie Karnataka i zapytał: „Dlaczego wszyscy złodzieje mają na nazwisko Modi? Nirav Modi, Lalit Modi, Narendra Modi" (Narendra to premier, Nirav – zbiegły z kraju potentat diamentowy, a Lalit – zdyskwalifikowany dożywotnio szef ligi krykieta). Polityk rządzącej Indyjskiej Partii Ludowej złożył wówczas pozew w sądzie o to, że Gandhi znieważył wszystkich o nazwisku Modi. I wygrał.

NIEMCY PO ARABSKU

W niemieckim Düsseldorfie zamontowano pierwszy w tym kraju znak z nazwą ulicy napisaną w języku arabskim. Stanął w dzielnicy Oberbilk, gdzie od lat mieszka wielu migrantów z Afryki. Inicjatywa „promująca różnorodność" spodobała się stowarzyszeniu „Uchodźcy są mile widziani w Düsseldorfie". Umieściło ono zdjęcie tablicy w mediach społecznościowych, ale musiało wyłączyć możliwość jego komentowania. Niemcy jakoś nie potrafili się cieszyć.

ZAMELDUJ WŁADZY, KTO Z KIM ŚPI

W Ugandzie przygotowano ustawę wprowadzającą nowy obowiązek dla obywateli. Przyjaciele, rodzina i znajomi osoby o odmiennej orientacji seksualnej będą musieli zgłosić władzy, że taka osoba pozostaje w związku homoseksualnym.

JEDNORAZOWE DRONY Z TEKTURY

Nowość na froncie wojny rosyjsko-ukraińskiej. Australia zaczęła dostarczać Ukraińcom jednorazowe drony, wykonane z tektury. Statki powietrzne, które składa się z elementów z pudełka, mają zasięg 40–120 km i mogą przenosić żywność, leki czy amunicję. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Kryzys do kontroli

Szalone tempo wzrostu cen produktów żywnościowych daje w kość mieszkańcom praktycznie wszystkich krajów UE. Ich przyczyną jest nie tylko rosyjska agresja na Ukrainę i inflacja, lecz także kiepska pogoda we Włoszech czy w Hiszpanii i wysokie ceny energii.

Globalnie mówi się o światowym kryzysie żywnościowym, a poszczególne kraje mają swoje narodowe kryzysy: w Wielkiej Brytanii w niektórych supermarketach jeden klient nie może kupić więcej niż trzy pomidory, ograniczono również sprzedaż ogórków i papryki. Z kolei Słowacy cierpią na „kryzys cebulowy". Wszyscy zaś narzekają na horrendalnie wysokie ceny żywności, które w ciągu roku wzrosły o kilkadziesiąt procent.

Wprawdzie węgierska próba wprowadzenia urzędowych cen regulowanych – oględnie mówiąc – nie zakończyła się pełnym sukcesem, jednak koszmarne tempo wzrostu cen żywności w krajach całej Europy skłoniło władze różnych państw do poszukiwania skutecznych rozwiązań. Jedną z opcji jest obniżenie stawek podatku VAT. Inną zaś zachęcanie sprzedawców detalicznych do ograniczania marż.

Ten ostatni sposób w marcu wprowadzili w życie Francuzi oraz Słowacy. Rząd w Paryżu na początku miesiąca ogłosił zawarcie porozumienia z największymi sieciami detalicznymi, które w ramach „kwartału antyinflacyjnego" ograniczyły do minimum marże na wybrane produkty żywnościowe. Tańsze towary są oznaczone kolorem francuskiej flagi i właściwym logo. Podobną akcję zaczęło również osiem sieci handlowych na Słowacji, gdzie od 20 marca przez trzy miesiące 400 produktów spożywczych ma stałą niższą cenę. A co na to polscy detaliści? ©℗

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Xi Jinping (z lewej) i Władimir Putin
FOT. GRIGORY SYSOEVS/SPUTNIK/KREMLIN POOL/EPA/PAP

Smok u wasala

Jacek Przybylski

Xi Jinping pojawił się w Moskwie wkrótce po tym, jak Międzynarodowy Trybunał Karny wydał symboliczny nakaz aresztowania Władimira Putina. Sygnał dla Zachodu jest więc jasny: Pekin i Moskwa zawarły antyamerykański sojusz. Rosjanie za wsparcie Chińczyków płacą jednak wysoką cenę

Taktyczny sojusz chińsko-rosyjski – nazywany przez niektórych komentatorów „małżeństwem z rozsądku" – od objęcia władzy przez Władimira Putina w 1999 r. konsekwentnie się zacieśnia, a jego celem od lat jest wspieranie policentryzacji świata. Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę wzajemne stosunki między sąsiadami wkroczyły na zupełnie nowy poziom. A nierównowaga sił w chińsko-rosyjskim związku stała się jeszcze bardziej widoczna. Słaba Rosja nie może być dla Chin prawdziwym partnerem, może być co najwyżej chwilowym narzędziem do realizacji mocarstwowych interesów Pekinu.

W okresie, w którym kolejne pakiety zachodnich sankcji nałożonych na Kreml przynoszą coraz bardziej widoczne rezultaty – po dwóch pierwszych miesiącach 2023 r. dziura w rosyjskim budżecie pogłębiła się do równowartości 34 mld dol. – przed gospodarczą zapaścią Rosjan chroni głównie strumień pieniędzy płynących z Chin, które ze swojego sąsiada zrobiły dostawcę mocno przecenionych surowców energetycznych.

ASERTYWNY PEKIN

Jak zauważył brytyjski „Financial Times", władze w Moskwie nie mają wyjścia i muszą godzić się na uzależnienie ich gospodarki od Pekinu, bo od tego zależą ich szanse na kontynuowanie walk i zwycięstwo (cokolwiek będzie ono ostatecznie oznaczało) w wojnie na Ukrainie. Bez silnego wsparcia Chin Rosjanie skazani byliby na globalną izolację, a Putin szybko spadłby do roli światowego pariasa. Trzydniowa wizyta przywódcy Państwa Środka Xi Jinpinga w Moskwie, zaledwie kilka dni po tym, jak Międzynarodowy Trybunał

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Karny w Hadze wydał symboliczny nakaz aresztowania Władimira Putina, to jasny sygnał dla Zachodu: skończył się okres hegemonii Stanów Zjednoczonych w systemie międzynarodowym, a przebudowa światowego porządku błyskawicznie nabiera tempa. I chociaż podpisane przez Putina i Xi wspólne oświadczenie o „pogłębianiu wszechstronnego partnerstwa i strategicznej współpracy w nowej erze" brzmi jak komunistyczny bełkot, to akurat „nowa era" rzeczywiście już się rozpoczęła.

Wystarczy rzut oka na relacje chińskich mediów z wizyty przywódcy w Moskwie, aby przekonać się, że była to jawna demonstracja siły coraz bardziej asertywnego czerwonego smoka, który jawnie sprzeciwia się woli Waszyngtonu i dąży do prymatu w globalnej polityce.

Władze w Pekinie przez ostatnie dekady bardzo umiejętnie wykorzystały okres niepotrzebnych wojen prowadzonych przez Amerykanów w Afganistanie i Iraku, zgromadziły potężny kapitał, stały się największym producentem przemysłowym świata i rozpoczęły ogromne inwestycje nie tylko w Azji, lecz także w większości krajów afrykańskich. Nowy etap rozwoju Państwa Środka to również nowy etap budowy nowego ładu międzynarodowego. Chiny już są bowiem globalnym mocarstwem i szykują się do długiej chińsko-amerykańskiej rywalizacji o dominację na świecie nie tylko pod względem gospodarczym (15 listopada 2020 r. dzięki wycofaniu się USA z Partnerstwa Transpacyficznego Chińczycy wraz z dziewięcioma innymi krajami Azji stworzyli największą w historii świata strefą wolnego handlu znaną jako Regionalne Kompleksowe Partnerstwo Gospodarcze, a amerykański Goldman Sachs już dwa lata temu prognozował, że ok. 2050 r. gospodarka Państwa Środka może być nawet dwa razy większa niż Stanów Zjednoczonych), lecz także pod względem militarnym i politycznym.

Amerykanie zdają sobie sprawę z zagrożenia ze strony rosnącej chińskiej potęgi, a prezydent Joe Biden od pierwszych dni rządów kontynuuje strategię Donalda Trumpa, której głównym celem jest powstrzymywanie wzrostu znaczenia Pekinu (choć sposób realizacji tej polityki przez obecną ekipę Białego Domu znacząco różni się od sposobu postępowania administracji Trumpa). Tymczasem zarówno Rosji, jak i Chinom zależy na budowie wielobiegunowego świata, z nową architekturą bezpieczeństwa międzynarodowego ze strefami wpływów rozdzielonymi na zupełnie nowych zasadach.

W interesie Chin leży więc, aby wojna na Ukrainie nie skończyła się bardzo szybko. Tak jak niektórzy zachodni przywódcy są gotowi zachęcać Kijów do walki z Rosją choćby do ostatniego Ukraińca (przed takim podejściem przestrzegał podczas ostatniej wizyty w Warszawie czeski prezydent Petr Pavel), tak władze w Pekinie nie chcą, aby Moskwa przegrała konflikt, który jednocześnie pokazuje innym światowym graczom, że jednak można postawić się wszechpotężnej Ameryce, i który skutecznie z miesiąca na miesiąc zmniejsza militarne zasoby Zachodu, a jednocześnie tak osłabia Rosję, że jej dalsza wasalizacja wobec Chin postępuje coraz bardziej. Pekin i Moskwę łączy też oczekiwanie co do wyniku konfliktu na Ukrainie, ewentualna wygrana zachodniej koalicji mocno skomplikowałaby

REKLAMA

CapitalBook.pl

Ryszard Gromadzki, Andrzej Witkowski

MISJA POPIEŁUSZKO

Kulisy śledztwa w sprawie porwania i morderstwa kapelana Solidarności

Prokurator Andrzej Witkowski był osobą która była najbliżej wyjaśnienia sprawy. W rozmowie z Ryszardem Gromadzkim opowiada kulisy sprawy która pomimo upływu prawie 40 lat nie może znaleźć swojego finału, a rozwikłanie jej może sprawić, że historię PRL i transformacji trzeba będzie napisać od nowa.

Tylko 42,00 zł ~~49,90 zł~~

533 496 436 sklep@capitalbook.pl

eprasa.pl 1a5fd4df8c

bowiem plany zmierzające do ostatecznego zrealizowania „polityki jednych Chin", czyli skłonienia Tajwanu do „pokojowego zjednoczenia" lub zbrojnego podbicia wyspy.

Jednocześnie zawieszenie broni na Starym Kontynencie byłoby dla Pekinu korzystne, ponieważ umożliwiałoby Chinom ekspansję gospodarczą w Europie. Jako pokojowy mediator Pekin mógłby chcieć przekonać do bliższej współpracy wbrew woli Waszyngtonu nie tylko Budapeszt, lecz także Berlin, Paryż, Rzym czy nawet Londyn.

Władze Państwa Środka od ponad roku wykonują więc skomplikowane dyplomatyczno-gospodarcze wygibasy. Wprawdzie komunistyczne władze w Pekinie mimo nacisków ze strony Zachodu nie potępiły rosyjskiej inwazji na Ukrainę (co więcej, nie chcą jej nawet nazywać „inwazją"), ale nie stanęły też jawnie po stronie Moskwy. Chociaż Chiny oficjalnie sprzeciwiają się też zachodnim sankcjom nakładanym na Rosję, to także promują własny 12-punktowy plan pokojowy, w którym nie ma mowy o konieczności wycofania wojsk agresora z podbitych terytoriów na Ukrainie. Władimir Putin ochoczo pochwalił więc chińską propozycję, przekonując, że mogłaby ona stać się podstawą do zakończenia walk we wschodniej Europie.

Jednocześnie Chińczycy starają się bardzo, wykorzystując luki w przepisach, by nie łamać jawnie zachodnich sankcji, aby dostarczać Rosji potrzebny do prowadzenia wojny sprzęt (np. nowoczesne drony za ponad 12 mln dol., o których pisał niedawno „New York Times") tak cicho, jak to tylko możliwe. Chińskie karabiny, które trafiają do rosyjskich żołnierzy, dostarczane są więc formalnie jako broń na użytek cywilny lub eksportowane są do Rosji poprzez kraje pośredniczące. Wątpliwe, by ta polityka zmieniła się po ostatnich rozmowach Xi i Putina, ponieważ Pekin wie doskonale, jak szkodliwe dla rozwoju Państwa Środka byłoby doprowadzenie do sytuacji, w której Zachód ogłasza sankcje wobec Chin podobne do tych, które zostały nałożone na Rosję.

W styczniu 2023 r. Rosja stała się największym eksporterem gazu ziemnego do Państwa Środka

ROSJA NICZYM CHIŃSKA KOLONIA?

Jak podkreślił brytyjski dziennik „Financial Times", w zamian za przychylną postawę Pekinu wobec rosyjskiej inwazji na Ukrainę Moskwa oferuje Chinom surowce energetyczne w bardzo dobrej cenie. Należąca do państwowego nadawcy China Global Television Network przypominała podczas wizyty Xi u Putina, że choć bilateralna współpraca między sąsiadami trwa od setek lat, to tak intensywnej wymiany handlowej jak obecnie nie było jeszcze nigdy w historii.

I rzeczywiście wartość chińsko-rosyjskiej wymiany handlowej, która w 1993 r. wynosiła 7,7 mld dol., a w 2001 r., po podpisaniu kolejnego porozumienia o przyjaźni między sąsiednimi narodami, przebiła poziom 10 mld dol., w roku 2022 r. osiągnęła rekordową w historii wartość aż 190 (!) mld dol. W styczniu 2023 r. Rosja stała się zaś największym eksporterem gazu ziemnego do Państwa Środka, a podczas wizyty Xi na Kremlu Putin starał się go przekonać do realizacji projektu „Siła Syberii 2", który ułatwiłby Rosji sprzedaż Chinom nadwyżek gazu, których Kreml nie może już sprzedawać krajom zachodniej Europy. „Logika wydarzeń wskazuje na to, że już całkowicie przekształcimy się w chińską kolonię surowcową. Nasze serwery będą produkowane przez Huawei. Staniemy się dla Chin dostawcą dosłownie wszystkiego. Będą otrzymywać gaz z »Siły Syberii«. Do końca 2023 r. juan będzie naszą główną walutą w handlu (zagranicznym)" – mówił zbliżony do Kremla informator „Financial Times". Odejście od rozliczeń w dolarach to element mocarstwowej polityki Chin. Rosja oficjalnie ogłosiła zaś, że jest gotowa przejść na rozliczenia w juanach nie tylko w handlu z Państwem Środka, lecz także przy wymianie handlowej z państwami Azji, Afryki czy Ameryki Łacińskiej.

CESARZ NA TRUDNE CZASY

Sześćdziesięciodziewięcioletni Xi Jinping – któremu Narodowy Kongres Ludowy powierzył trzecią pięcioletnią kadencję w roli przewodniczącego Chińskiej Republiki Ludowej – skupił w swoich rękach już praktycznie całą władzę. Podporządkowany jest mu cały aparat państwowy łącznie z 63-letniem premierem: Li Qiang to bowiem od ponad 20 lat zaufany człowiek Xi.

Misją chińskiego przywódcy jest przygotowanie czerwonego mocarstwa na czasy globalnych niepokojów. Wymaga ona nie tylko wyprowadzenia gospodarki Chin z postpandemicznej izolacji, lecz także zwiększenia nakładów na armię oraz rozwój technologicznej przewagi Państwa Środka nad Zachodem przy jednoczesnym zwiększeniu poziomu niezależności technologicznej.

To trudne zadanie nawet dla de facto totalitarnego przywódcy, któremu udało się przez ostatnią dekadę tak radykalnie przebudować system politycznych Chin, że trudno jest już mówić o kolektywnym kierownictwie w partii. Świadczy o tym już samo wybranie Xi na trzecią kadencję, choć dotychczas obowiązywała niepisana, ale przestrzegana zasada, że liczba kadencji najwyższego kierownictwa ograniczona jest do dwóch. W obecnym systemie politycznym trudno wyobrazić sobie kandydata na następcę Xi, co oznacza, że raczej nie planuje on przejścia na emeryturę przed kolejnym Zjazdem Komunistycznej Partii Chin w 2027 r., co oznacza, że perspektywę praktycznie dożywotnich rządów (a przynajmniej trwających do 2032 r.).

Chiny pod przywództwem Xi Jinpinga nie ukrywają przed światem, że są globalnym mocarstwem i że zamierzają walczyć o swoje globalne interesy, ponadto szybka ekspansja gospodarcza i militarna czerwonego smoka sprawiła, że antychińskie nastroje zapanowały nie tylko w Stanach Zjednoczonych, lecz także w wielu krajach Azji Wschodniej oraz Europy. Tymczasem Chinom – państwu, które najwięcej zyskało na globalizacji – nadal bardzo zależy na rozwoju gospodarczo-politycznych relacji z kluczowymi krajami Starego Kontynentu. Tylko w ten sposób mogą bowiem poważnie myśleć o swych mocarstwowych ambicjach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Z Alaksandrem Azarauem, szefem białoruskiej organizacji antyrządowej BYPOL i ruchu partyzanckiego, członkiem Zjednoczonego Gabinetu Przejściowego
rozmawia Maciej Pieczyński

Wiemy, jak obalić Łukaszenkę

FOT. PRESIDENT.GOV.BY

MACIEJ PIECZYŃSKI: Jako jeden z pierwszych informował pan, że kryzys migracyjny na granicy Białorusi z Litwą i Polską został wywołany sztucznie, w ramach kontynuacji rozpoczętej dekadę wcześniej operacji „Śluza". Jej celem początkowo było wymuszenie zniesienia sankcji unijnych. Czy z perspektywy czasu nie uważa pan, że kryzys miał jakiś związek z późniejszą inwazją Rosji na Ukrainę?

ALAKSANDR AZARAU: Nie mam żadnych wątpliwości, że Łukaszenka sam tej operacji nie wymyślił. Opracował ją wspólnie z Rosjanami. Migranci przybywali z krajów Azji na Białoruś również przez Rosję. Możliwe, że celem operacji było sprawdzenie odporności Unii Europejskiej i NATO na zagrożenia hybrydowe. Bardzo prawdopodobne, że kryzys miał być skoordynowany z inwazją Rosji na Ukrainę. Być może chodziło o to, żeby Unia Europejska, zajęta nielegalną migracją z Azji i Afryki, nie była w stanie pomóc Ukrainie. Plan się jednak nie powiódł, bo UE zamknęła granice.

Zjednoczony Gabinet Przejściowy białoruskiej opozycji, w którym odpowiada pan za odtworzenie porządku prawnego, ogłosił jakiś czas temu powstanie chorągwi na terenie Polski. W ich szeregi mogą wstępować Białorusini, którzy chcą zdobywać doświadczenie wojskowe, by w przyszłości wziąć udział w obaleniu Łukaszenki. Ilu chętnych udało się wam zwerbować?

Chorągwie powstały we wszystkich dużych polskich miastach. Stan liczebny chorągwi to informacja tajna.

Czym dokładnie zajmują się chorągwie? Czego uczą się ochotnicy, co ćwiczą, co trenują?

Każda chorągiew ma dowódcę i instruktorów z różnych dziedzin. Ochotnicy zajmują się przygotowaniem fizycznym, taktycznym, ćwiczą strzelanie, uczą się udzielania pomocy medycznej. Prowadzone są różnego rodzaju ćwiczenia wojskowe, w zależności od tego, jakimi specjalistami dysponuje dana chorągiew.

Kim są instruktorzy? To byli białoruscy żołnierze czy funkcjonariusze resortów siłowych? Osoby z doświadczeniem wojskowym?

To są różni ludzie. Weterani pułku im. Konstantego Kalinowskiego [złożony z białoruskich ochotników oddział, walczący na Ukrainie z Rosją – przyp. red.], byli funkcjonariusze białoruskich

eprasa.pl 1a5fd4df8c

resortów siłowych. W szeregi chorągwi wstępują przedstawiciele najróżniejszych zawodów. Łączy ich to, że wyjechali z Białorusi z przyczyn politycznych, a teraz chcą walczyć o to, aby na Białorusi została ustanowiona demokracja.

W jaki sposób wspierają was polskie władze?

Polski rząd w żaden sposób nie wspiera organizacji chorągwi. Pracujemy samodzielnie.

Ale przecież chorągwie to organizacje paramilitarne, które na terenie Polski przygotowują się do przyszłej walki o władzę w sąsiednim państwie. Polskie władze muszą wiedzieć o waszej działalności i mieć do niej jakiś stosunek.

Chorągwie nie są organizacjami wojskowymi. To są legalnie działające kluby sportowe. Prawo nie zabrania korzystania ze strzelnicy.

Kto was finansuje?

Ochotnicy sami zrzucają się na działalność chorągwi.

W Polsce działają chorągwie, a na Białorusi oddziały partyzanckie. Pod koniec lutego na lotnisku wojskowym pod Mińskiem przy użyciu dronów został poważnie uszkodzony rosyjski samolot wczesnego ostrzegania A-50. Ten akt dywersji miał zostać dokonany przez białoruskich partyzantów, których działalność koordynuje pan w ramach planu „Pieramoha" (po białorusku: zwycięstwo). Czyli planu obalenia Łukaszenki. Według podawanych przez pana danych w jego ramach działa już ponad 200 tys. partyzantów.

Zniszczenie rosyjskiego samolotu to nie pierwsza taka poważna akcja. W ubiegłym roku w ramach planu „Pieramoha" udało się dokonać ponad 10 aktów dywersji na białoruskich liniach kolejowych. Partyzanci wysadzali tory. Celem było uniemożliwienie transportu wojsk rosyjskich na Ukrainę. Część partyzantów została zatrzymana.

Od razu zaznaczę, że chorągwie i akcje na Białorusi to dwie zupełnie różne rzeczy. Nie są ze sobą powiązane. Partyzanci, którzy przeprowadzają akty sabotażu na terenie Białorusi, nie są szkoleni za granicą. Wśród nich są różni ludzie, w tym również byli pracownicy służb. Podobnie jak w przypadku ochotników, trenujących w chorągwiach, łączy ich jedno – chęć obalenia dyktatury. Organizują się oddolnie w niewielkich ośrodkach oporu. Walczą nie tylko z reżimem Łukaszenki, lecz także z rosyjską okupacją. Łukaszenka oficjalnie się zgodził, by wojska rosyjskie stacjonowały na terytorium Białorusi bezterminowo i w nieograniczonej liczbie. Użyczył Putinowi terytorium do agresji na Ukrainę. Tak naprawdę oddał kraj pod rosyjską okupację. Dlatego Białorusini mają obecnie dwóch wrogów: Rosjan i zbrodniczy reżim Łukaszenki. W kraju panuje reżim totalitarny, stosowane są represje. Partyzanci chcą, żeby Białoruś stała się demokratycznym, szybko rozwijającym się państwem. Białorusini nie chcą żyć w państwie, które bierze udział w inwazji na sąsiada. Nie chcemy, aby świat postrzegał nasz kraj jako agresora, nie chcemy, żeby nas kojarzono z Łukaszenką. On nie reprezentuje narodu białoruskiego.

Każdemu Białorusinowi, który zechce odsunąć Łukaszenkę od władzy, damy bardzo konkretne zadanie

To zbrodniarz współodpowiedzialny za najazd na Ukrainę. Władzę sprawuje nielegalnie. Sfałszował wybory prezydenckie, w których powinna wygrać Swiatłana Cichanouska. Według nieoficjalnych wyników zdobyła wówczas ok. 70 proc. głosów. To pokazuje, że Białorusini chcą żyć w państwie demokratycznym. Chcemy odsunąć Łukaszenkę od władzy i przeprowadzić uczciwe wybory.

W jednym z wywiadów powiedział pan, że w odpowiednim momencie chorągwie powinny znaleźć się na Białorusi i podjąć walkę z reżimem...

Nie chorągwie, tylko ci wyszkoleni w szeregach chorągwi Białorusini, którzy zechcą wziąć udział w realizacji planu „Pieramoha". Do walki o wolność nasi ludzie przygotowują się również na froncie ukraińskim. W składzie pułku im. Kalinowskiego sformowaliśmy własny pododdział pod nazwą „Atom". Służą w nim nasi ludzie, którzy w ten sposób zdobywają doświadczenie bojowe, niezbędne podczas walki z reżimem.

Jak dokładnie wyobraża pan sobie odsunięcie Łukaszenki od władzy?

Muszą znów wybuchnąć masowe protesty i strajki...

Po sfałszowanych wyborach w 2020 r. też wybuchły i nic nie dały. Były to pokojowe protesty. Teraz szkolicie ludzi do walki. Rozumiem, że kluczem do sukcesu będzie użycie siły?

Nie. Zamierzamy organizować protesty na tyle pokojowe, na ile to będzie możliwe. Siły użyjemy tylko w akcie samoobrony. W 2020 r. protesty nie odniosły skutku nie dlatego, że były pokojowe, tylko dlatego, że nie były w żaden sposób zorganizowane. Ludzie po prostu spontanicznie wyszli na ulice z biało-czerwono-białymi flagami. Nie mieli żadnego konkretnego planu. Od samego chodzenia po ulicach raz w jedną, raz w drugą stronę władza w kraju się nie zmieni. Trzeba mieć plan. My go mamy. Gdy Rosja najechała Ukrainę, Białorusini w kraju sami poprosili nas [opozycję na emigracji – przyp. red.], żebyśmy wymyślili, jak można pomóc Ukraińcom. Wtedy opracowaliśmy plan „wojny kolejowej". Podobnie będzie teraz. Gdy już naród dojrzeje i będzie gotów do walki o demokrację, sam się zwróci do nas z prośbą o plan działania. Każdemu Białorusinowi, który zechce odsunąć Łukaszenkę od władzy, damy bardzo konkretne zadanie do wykonania i instrukcje, jak powinien się zachować w danej sytuacji.

Białoruskie służby są mocno powiązane z Rosją. Ta zaś raczej nie pozwoli sobie na zwycięstwo „kolorowej rewolucji" na Białorusi...

W kierownictwie struktur siłowych jest oczywiście mnóstwo agentów rosyjskich. Łukaszenka sam wysyła swoich siłowików na studia na rosyjskich uczelniach wojskowych. Tam są werbowani. Potem służą już nie Łukaszence, tylko Putinowi... Gdy jednak wybuchną protesty, ok. 70 proc. funkcjonariuszy struktur siłowych przejdzie na stronę silniejszego. Nie będą aktywnie wspierać ani Łukaszenki, ani opozycji, tylko poczekają na rozwój sytuacji. Jeśli demonstracje nie zostaną łatwo stłumione, to siłowicy zaczną wspierać opozycję. Dla nich nie ma różnicy, kto sprawuje władzę. Teraz wykonują rozkazy Łukaszenki, ponieważ to on rządzi silną ręką. Gdy podczas protestów w 2020 r. jeszcze nie było jasne, na czyją stronę przechyli się szala zwycięstwa, wielu funkcjonariuszy odmawiała wykonywania rozkazów. Gdyby wtedy uczestnicy protestów, zamiast chodzić po

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Alaksandr Azarau

FOT. ZJEDNOCZONY GABINET PRZEJŚCIOWY

ulicach, zaczęli zajmować budynki resortów siłowych, ich pracownicy poddawaliby się bez oporu.

Białoruskim siłowikom może być wszystko jedno, czy rządzi Łukaszenka czy demokratyczna opozycja. Putinowi obojętne to nie będzie.

Oczywiście, Rosja może zainterweniować i stłumić nasz bunt. Ale nie mamy wyboru. Musimy spróbować.

Liczycie na to, że Rosja na tyle osłabnie na froncie ukraińskim, że nie będzie w stanie utrzymać w rękach Białorusi?

To byłby, rzecz jasna, wariant dla nas idealny.

Nawet niezależni badacze oceniają, że Łukaszenka wciąż może mieć ok. 30 proc. poparcia. Jego zwolennicy mogą nie zaakceptować planu „Pieramoha". Co z nimi zrobicie? Nie obawia się pan wojny domowej?

Zwolennicy Łukaszenki są pasywni. W 2020 r. nie wychodzili na ulice, nie wsparli Łukaszenki. Siedzieli w domach i omawiali sytuację w kuchni [w czasach sowieckich kuchnia była jedynym miejscem, w którym ludzie nie bali się rozmawiać o polityce – przyp. red.]. To w większości ludzie w wieku emerytalnym. Raczej nie grozi nam wojna domowa. Nikomu nie będziemy narzucać swoich poglądów. Niech każdy myśli, co chce. Po obaleniu dyktatury w kraju będą funkcjonować niezależne, demokratyczne media, które będą mówić prawdę narodowi białoruskiemu.

Na froncie ukraińskim walczą z Rosją białoruskie oddziały ochotnicze, w tym pułk im. Kalinowskiego czy pułk „Pahonia". Współtwórca „Pahoni" Wadzim Prakopieu zaproponował kiedyś, żeby na bazie tych oddziałów utworzyć armię na obczyźnie – coś na kształt armii Andersa. To chyba mało realne, biorąc pod uwagę, że mowa o żołnierzach znajdujących się pod komendą Kijowa.

Zgadza się. Na razie oni są żołnierzami Sił Zbrojnych Ukrainy. Przede wszystkim są jednak białoruskimi patriotami, którzy zdobywają na froncie doświadczenie bojowe, niezbędne w walce z reżimem. Dlatego pracujemy nad tym, aby w odpowiednim momencie zjednoczyć walczących na Ukrainie rodaków i z ich pomocą zrealizować plan „Pieramoha".

Rozmawiacie na ten temat z Kijowem?

Ukraińskie władze zajęte są wyłącznie wojną z Rosją. Nic innego ich nie interesuje. Na ten moment Kijów nie deklaruje wsparcia dla naszej walki z Łukaszenką.

Dlaczego wojska białoruskie nie uderzyły na Ukrainę? Łukaszenka nie chciał wejść do wojny? Czy Putin tego nie potrzebował?

Nie wierzę, że Łukaszenka odmówił Putinowi wejścia do wojny. Myślę, że działają w ścisłej współpracy. Najwidoczniej ani Łukaszence, ani Putinowi nie opłaca się inwazja Białorusi na Ukrainę. Łukaszenka wspiera jednak Rosję. Nie tylko udostępnił terytorium, lecz także zaopatruje armię rosyjską w broń i amunicję. Stwarza też permanentne zagrożenie, wiążąc część armii ukraińskiej przy granicy z Białorusią i odciążając w ten sposób dla Rosjan inne odcinki frontu. Osłania też zachodnią flankę Rosji. Wykonuje swoją rolę. Nie jest pokojowo nastawiony. Sam bardzo chętnie by wszedł do wojny, gdyby zwycięstwo Rosji było przesądzone. W przeciwnym wypadku mógłby się obawiać, czy armia będzie wykonywać jego rozkazy. Absolutna większość żołnierzy białoruskich nie uważa Ukraińców za wrogów i nie chce z nimi walczyć.

Łukaszenka bardzo chętnie przyłączyłby się do wojny, gdyby zwycięstwo Rosji było przesądzone

Cynicznie rzecz ujmując, uderzenie Białorusi na Ukrainę byłoby dla was, jako opozycji, korzystne. Wejście do wojny z pewnością stworzyłoby sytuację rewolucyjną w kraju...

Możliwe.

Przyjmijmy, że Białorusini dojrzeli już do obalenia Łukaszenki. Co dalej?

Rozpoczynamy realizację planu „Pieramoha". Wybuchają protesty i strajki. Najlepiej, żeby w tym czasie jeszcze trwała wojna na Ukrainie, ale żeby Rosja wyraźnie ją przegrywała. Wtedy nie będzie w stanie interweniować na Białorusi. Łukaszenka zostaje obalony i postawiony przed niezawisłym sądem. Do Mińska przyjeżdża Zjednoczony Gabinet Przejściowy i rozpisuje nowe wybory parlamentarne, a następnie prezydenckie. I to wszystko.

Gdy Łukaszenka oskarżył CIA o udział w ataku na lotnisko w Mińsku, stwierdził pan, że gdyby rzeczywiście Stany Zjednoczone wspierały białoruską partyzantkę, już dawno na Białorusi zwyciężyłby obóz demokratyczny. Ale przecież Zachód was wspiera. Możecie działać na terenie Polski i Litwy, cieszycie się poparciem ich władz.

Zachód wspiera przemiany demokratyczne na Białorusi i na całym świecie. Wspiera jedynie moralnie. My sami walczymy. W sensie praktycznym nam tak naprawdę nie pomaga.

Jaka powinna być przyszła Białoruś – poza tym, że demokratyczna? Powinna wejść do UE albo NATO? Wyjść z Państwa Związkowego Rosji i Białorusi?

Kwestie sporne powinien w przyszłości rozstrzygać naród białoruski w demokratycznych wyborach. Osobiście jestem zwolennikiem zerwania relacji z Rosją i wstąpienia Białorusi do Unii Europejskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Jak odciąć drogę do Anglii

Teresa Stylińska

Każdy, kto będzie próbował nielegalnie przedostać się do Wielkiej Brytanii, mocno zaryzykuje: już nigdy nie będzie mógł tam zamieszkać ani uzyskać brytyjskiego obywatelstwa. W dodatku w ciągu miesiąca zostanie deportowany i na decyzję w swojej sprawie będzie czekać w Rwandzie

FOT. GLYN KIRK/AFP/EAST NEWS

To najważniejsze punkty projektu brytyjskiej ustawy imigracyjnej, która na początku marca została przedstawiona w Izbie Gmin i weszła tym samym na ścieżkę legislacyjną. Niepewną, mimo aprobaty wielu deputowanych i większości społeczeństwa, które ma dosyć napływu imigrantów i wydatków ponoszonych przez państwo na ich rzecz. Projekt ustawy bowiem – co przyznaje nawet firmująca ją minister spraw wewnętrznych Suella Braverman – może w pewnej mierze naruszać prawo międzynarodowe i Europejską Konwencję Praw Człowieka. Rząd nie ma jednak wyjścia: musi sięgnąć po środki radykalne, bo, jak powiedział premier Rishi Sunak, żadne dotychczasowe nie pomogły i Wielką Brytanię niezmiennie szturmują tysiące ludzi, głównie przez kanał La Manche.

Nowa ustawa dotyczy nie imigracji w ogóle (to regulują wcześniejsze przepisy), lecz przeciwdziałania imigracji nielegalnej. Powinni ją zatem uważnie prześledzić nasi rodzimi obrońcy nielegalnych imigrantów, stali się bowiem – pomińmy aspekty polityczne – rzecznikami ludzi, którzy nie próbują wjechać do Polski legalnie, z paszportem w ręku, lecz chcą się wedrzeć do naszego kraju z naruszeniem prawa. Rzecznicy nielegalnych imigrantów, broniąc ich, pokazują, że prawo mają za nic.

NIKT NIE DAŁ SOBIE RADY

Dzisiejsza sytuacja nie przypomina tej z pamiętnego 2015 r., gdy Europa została najdosłowniej zalana przez tysiące imigrantów z Azji, Bliskiego Wschodu i Afryki, którzy – poza już wcześniej dobrze przećwiczoną drogą śródziemnomorską z wybrzeża Afryki do Włoch – wytworzyli nowy szlak lądowy przez Bałkany. Od tej strony sytuację opanowano, nie bez pomocy Turcji, która, zachęcona unijnym wsparciem finansowym, ograniczyła morskie wyprawy ze swego terytorium. Szlaku przez środek Morza Śródziemnego nigdy jednak nie zdołano skutecznie wyłączyć.

Ostatnio zaś fala imigracyjna znowu przybiera na sile. Na włoskiej wyspie Lampedusa, od 10 lat oblężonej ponad miarę, padł rekord: jednego tylko dnia, 9 marca, do jej brzegów przybiło 41 łodzi z 1869 osobami na pokładzie. Dla porównania: przez cały marzec ubiegłego roku dotarło do Włoch 3 tys. imigrantów.

Powstają też nowe drogi. Poza łatwą, bo krótką przeprawą z Turcji na greckie wyspy Morza Egejskiego, oraz wspomnianym szlakiem śródziemnomorskim z Libii i Tunezji na Maltę i Lampedusę utrwaliła się droga przez kanał La Manche. Do tej pory przemytnicy upychali imigrantów, po pobraniu należnego haraczu, w ciężarówkach jadących do Wielkiej Brytanii. Teraz upycha się ich na łódkach i wypuszcza na morze. Tragedie, do których co pewien czas dochodzi, poruszają na krótko opinię publiczną, niczego jednak nie zmieniają – bo wielu imigrantów zdecydowanie przedkłada możliwości, jakie daje Wielka Brytania, nad atuty Francji czy Niemiec. Niewykluczone też, że organizatorzy przemytu ludzi zaczęli wypróbowywać nową, dłuższą drogę ze wschodniej części Morza Śródziemnego na zachód do Włoch. Drewniana łódź, która pod koniec lutego przełamała się i zatonęła u wybrzeży Kalabrii (utonęła blisko połowa ze 180 osób), wyruszyła bowiem z Turcji.

Co zaś znamienne, w porównaniu z rokiem 2015 zmieniło się nastawienie rządów, a po trosze nawet Unii Europejskiej, choć eurokraci niespecjalnie to eksponują. Żadnemu z europejskich polityków nie przyszłoby dzisiaj do głowy, by otwierać bramy przed imigrantami i – jak wówczas Angela Merkel – zapewniać: „Damy sobie z tym radę". Po latach wszyscy doskonale wiedzą, że nikt nie dał sobie rady, włącznie z Niemcami pod wodzą pani kanclerz. Wiedzą także dobrze, bo z doświadcze-

eprasa.pl 1a5fd4df8c

nia, że obecność imigrantów wszędzie powoduje problemy, i to na wielu płaszczyznach, poczynając od kwestii codziennych obyczajów do spraw kryminalnych. Nie bez znaczenia są wydatki na ich utrzymanie, zwłaszcza w początkowym okresie, gdy czekając na rozpatrzenie wniosku, często nie mogą pracować, więc żyją wyłącznie na koszt państwa.

MAGNES DLA MAŁYCH ŁÓDEK

Wszystko to razem wzięte rodzi niezadowolenie, a niezadowolenie przekłada się na perspektywy wyborcze partii rządzących. Gdy w Wielkiej Brytanii w ubiegłym roku ośrodki dla imigrantów zapełniły się ponad miarę, nowoprzybyłych zaczęto umieszczać w hotelach. Koszt utrzymania ludzi czekających na decyzje w sprawie prawa pobytu to 5,5 mln funtów dziennie, co Brytyjczykom nie może się podobać. Najgorzej odebrano informacje, że część przybyszów z braku miejsc umieszczono na koszt podatnika w hotelach pięciogwiazdkowych...

Najważniejsze pytanie dotyczy więc tego, jak skutecznie zahamować napływ imigrantów. Skoro nie da się ich zniechęcić, to należy zastosować radykalne bariery.

– Na świecie jest ponad 100 mln ludzi, którzy w świetle brytyjskiego prawa mogliby z powodzeniem starać się o pobyt w naszym kraju – mówiła Suella Braverman, przestrzegając przed zgubnymi skutkami nazbyt liberalnych przepisów i sprowadzając argumentację przeciwników ustawy ad absurdum. Pani minister nie przewiduje oczywiście napływu aż tylu ludzi, ale 80 tys. w tym roku to liczba, jej zdaniem, całkiem realna, skoro w ubiegłym roku przez kanał La Manche przedostało się do Anglii 45 tys. ludzi. Od stycznia przybyło ich ponad 3,5 tys. i choć w skali roku przekładałoby się to na zaledwie 20 tys., to należy pamiętać, że zimą mniej ludzi ma odwagę zmierzyć się z zimnymi wodami kanału. Co innego latem: w samym tylko sierpniu ubiegłego roku tą drogą dotarło do Anglii 9 tys. ludzi.

W łódkach, na pontonach i małych stateczkach – small boats, jak określa się w Anglii najnowszą formę imigranckiej przeprawy. Small boats to nie tylko środek transportu – to zjawisko. Chodzi bowiem o to, kto tą drogą dociera do Wielkiej Brytanii. Są w tym gronie Syryjczycy, Afgańczycy czy Irakijczycy, a więc ludzie pochodzący z krajów niestabilnych, ogarniętych wojną, niebezpiecznych. Ogromną większość kandydatów na azylantów – nawet 60 proc. – stanowili jednak Albańczycy! Albania jest biedna, wolna jednak od konfliktów i konwencjonalnych zagrożeń, nie daje zatem podstaw, by jej obywatele mogli gdziekolwiek starać się o azyl.

ZERWAĆ Z KONWENCJĄ?

Dochodzimy tu do kolejnego punktu, który budzi kontrowersje: władze brytyjskie zamierzają zerwać z rozpowszechnioną czy wręcz obowiązującą – choć nie wszędzie, vide: Australia – praktyką, nakazującą, by imigrant czekał na decyzję tam, gdzie się stara o prawo pobytu. W ciągu 28 dni, według projektu ustawy, zostanie odwieziony do bezpiecznego miejsca, w którym spędzi czas oczekiwania. Miejscem tym jest Rwanda.

Rząd Rishiego Sunaka wrócił zatem do rozwiązania, które przed rokiem zaproponował gabinet Borisa Johnsona. Gdy już szykowano pierwszy lot do Kigali, został on jednak zablokowany przez Europejski Trybunał Praw Człowieka. Rząd Sunaka w świetle takiego doświadczenia sugeruje ewentualność wycofania się Wielkiej Brytanii z Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, gdyby sytuacja mogła się powtórzyć.

Jak będzie teraz? Minister Suella Braverman odwiedziła właśnie Rwandę i choć nie ujawniono szczegółów ustaleń z jej władzami, to pokazano już zdjęcia budowanych za pieniądze brytyjskie domów dla imigrantów czekających na decyzje. Przypomnijmy zresztą, że niedawno węgierski premier Viktor Orbán rozsądnie postulował stworzenie w którymś z państw północnej Afryki obozów, w których umieszczano by imigrantów na czas rozpatrywania wniosków. Unia Europejska, choć nie nadaje temu rozgłosu, również stara się skłonić kraje północnej Afryki do współpracy.

BEZ RASIZMU

Rozwiązanie problemu small boats dla rządu stanowi kwestię priorytetową – jak podkreślał wielokrotnie premier Rishi Sunak. Nie przypadkiem zwołał on konferencję prasową wieczorem tego samego dnia, gdy Suella Braverman przedstawiła w parlamencie projekt ustawy. Nic też dziwnego, że kwestia small boats była najważniejszym tematem rozmów, które podczas wizyty w Paryżu premier Sunak prowadził z prezydentem Emmanuelem Macronem. Władze brytyjskie od dawna zarzucają Francuzom niedbałość i niefrasobliwość w pilnowaniu wybrzeża. Niegdyś problemem numer jeden było wielkie obozowisko imigrantów koło Calais i terroryzowanie przez nich kierowców ciężarówek, teraz są to small boats. Władze francuskie nieraz obiecywały bardziej staranne patrolowanie wybrzeża, zresztą z brytyjską pomocą finansową.

Nie inaczej było podczas ostatnich rozmów. Wielka Brytania zobowiązała się m.in. do sfinansowania ośrodków dla imigrantów na wybrzeżu francuskim kwotą 500 mln funtów w ciągu trzech lat. Wzrost jest znaczący w porównaniu z 64 mln funtów, które Londyn przeznaczył na pomoc dla francuskiej policji i służb ochrony wybrzeża w latach 2022–2023.

Władze brytyjskie nie chcą, aby imigranci nadal mogli czekać na decyzję tam, gdzie się starają o prawo pobytu

Na koniec pytanie i ciekawostka. Pytanie dotyczy możliwości Wielkiej Brytanii w sytuacji, gdy nie jest już związana wymogami unijnymi. Jak dużą miałaby swobodę działania, gdyby nadal należała do Unii Europejskiej? Europejski Trybunał Praw Człowieka nie ma nic wspólnego z UE, trudno jednak wyobrazić sobie, by przed brexitem ktoś mógł sugerować rozstanie z nim.

Ciekawostką jest to, że ustawie patronują politycy, którzy sami są imigrantami. Oboje są pochodzenia hinduskiego, oboje urodzili się w Wielkiej Brytanii, oboje stanowią przykład udanej asymilacji. Matka Suelli Braverman od lat jest radną, kandydowała też – choć bez powodzenia – do Izby Gmin. Ojciec Rishiego Sunaka jest lekarzem, matka farmaceutką. Premierowi i pani minister trudno zarzucić rasizm, choć uwag, że projekt jest nim podszyty, oczywiście nie brakuje. A to daje im swobodę manewru.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Jakub Wozinski

Ceną za ratowanie chwiejącego się na całym świecie systemu bankowego będzie jeszcze wyższa inflacja

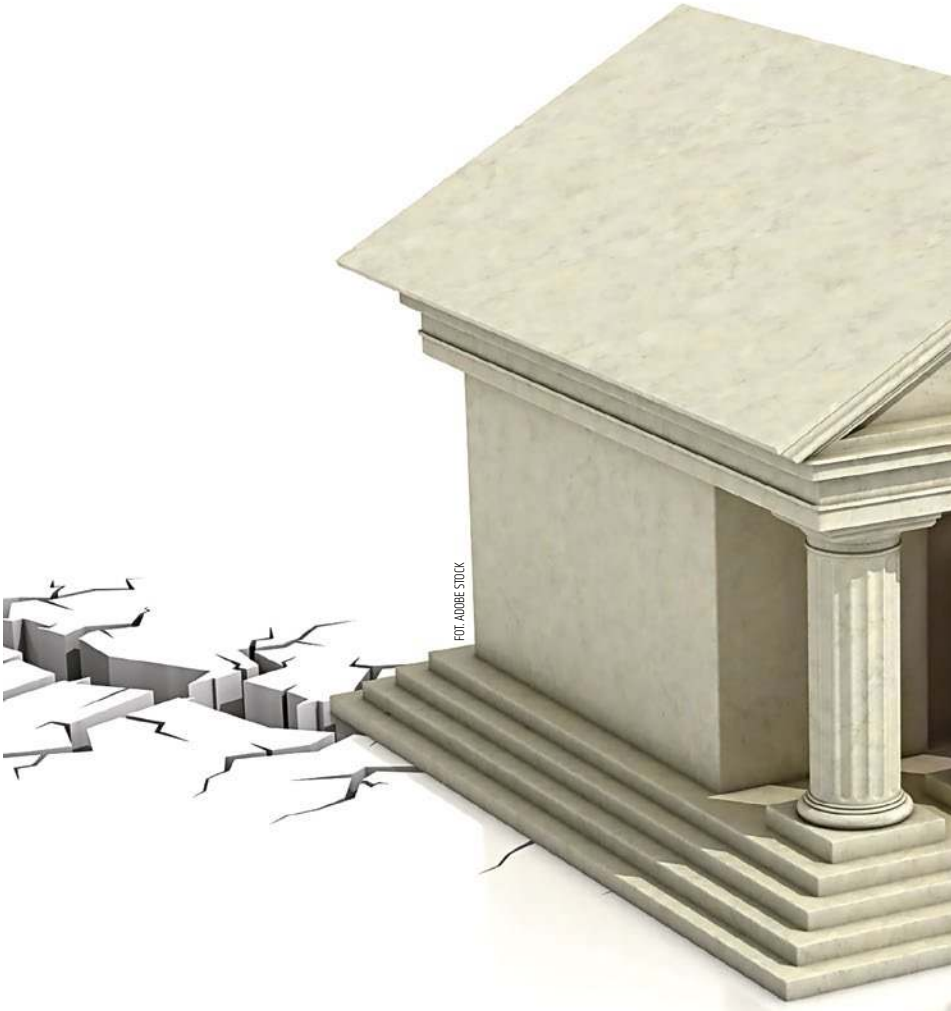

FOT. ADOBE STOCK

Bankowe

Po kryzysie 2008 r. doszukiwanie się symptomów nadchodzącego kolejnego dużego krachu stało się tak częstą praktyką, że znaczna część opinii publicznej przestała niemal wierzyć, że owo załamanie jeszcze kiedykolwiek nadejdzie. Postawa ta udzieliła się niestety także władzom finansowym i rządom na całym świecie, które szczególnie w dobie pandemii zachowywały się tak, jak gdyby większość praw ekonomii przestała nagle działać. Wiele wskazuje jednak na to, że wraz z upadłością Silicon Valley Bank (SVB) opinia publiczna będzie wreszcie musiała zmierzyć się z tym, że duży kryzys faktycznie już się zaczął.

BANK KRZEMOWYCH ELIT

Mający siedzibę w Santa Clara w Kalifornii bank jeszcze w ostatnim kwartale ubiegłego roku raportował przyzwoite zyski, a kurs jego akcji przedstawiał się dość stabilnie. Gdy 13 marca ogłosił bankructwo, informację tę można było więc potraktować jak grom z jasnego nieba, ponieważ na całym świecie znaleźć można było setki innych banków znajdujących się teoretycznie w dużo gorszej kondycji, a mimo to wciąż utrzymujących się na powierzchni.

SVB z pewnością nie był zwyczajnym bankiem. Do grona jego klientów zaliczała się śmietanka towarzyska Doliny Krzemowej, posiadająca doskonałe koneksje na samych szczytach władzy. I właśnie tym należy tłumaczyć to, że pomimo gwarantowanej przez amerykańskie prawo maksymalnej kwoty ubezpieczenia depozytów w wysokości zaledwie 250 tys. dol. władze zdecydowały się zagwarantować klientom wypłatę wszystkich środków. Złośliwi komentatorzy dość szybko ukuli nawet formułę, że w amerykańskim systemie bankowym wpłaty klientów danego banku są zabezpieczone w całości jedynie pod warunkiem, że wśród nich są jacyś miliarderzy.

O elitarności upadłego banku świadczy niewątpliwie to, że aż 97 proc. jego klientów trzymało w nim środki większe niż gwarantowana przez ubezpieczenie kwota. Silicon Valley Bank nie uganiał się za drobnymi ciułaczami i od samego początku skupiał się przede wszystkim na finansowaniu start-upów. W swojej działalności SVB skupiał się na stopniowym rozbudowywaniu sieci kontaktów, które sięgały nawet samego Białego Domu. Władze banku wymagały przy tym całkowitej lojalności i w zamian za korzystne pożyczki dla raczkujących biznesów oczekiwały, że gdy później rozwiną się one w wielkie przedsięwzięcia, nadal będą korzystały z obsługi finansowej SVB.

Bank rósł wraz z całym sektorem technologicznym i znany był z tego, że wręcz organizował życie towarzyskie biznesowych sfer Doliny Krzemowej. Jego pozycja umocniła się szczególnie w pomyślnych dla całej branży latach 2018–2021, gdy jego aktywa wzrosły aż czterokrotnie. Zastrzyki płynnościowe amerykańskiego banku centralnego w okresie pandemii napompowały Dolinę Krzemową i SVB tak bardzo, że dość łatwym do przewidzenia scenariuszem stało się jednak późniejsze pęknięcie bańki.

Pęknięcie to zaczęło dokonywać się pod koniec 2022 r. W ciągu całego roku kalendarzowego wartość amerykańskich spółek technologicznych spadła aż o 30 proc. Wiadomo było, że Silicon

eprasa.pl 1a5fd4df8c

domino

Valley Bank czekają trochę trudniejsze czasy, ale przecież posiadając rozległe koneksje, nie przedstawiał się jako główny kandydat do spektakularnego bankructwa.

Najbardziej uderzające w historii upadku SVB jest właśnie to, że teoretycznie był on zarządzany w sposób dość rozsądny. Wprawdzie wyszło na jaw, że zarząd banku skutecznie lobbował u władz finansowych nad zwolnieniem z części ostrożnościowych reguł, które nałożono na cały sektor po ostatnim kryzysie, niemniej jednak powierzone mu środki inwestował głównie w zakup rządowych obligacji o długim terminie oraz papierów wartościowych zabezpieczonych na portfelach kredytów hipotecznych, które są powszechnie uważane za doskonałe zabezpieczenie. Ryzykowną częścią działalności SVB były kredyty dla technologicznych start-upów; stabilność operacyjną miał zapewniać skupowany w dużych ilościach rządowy dług. To nie była historia zuchwałej spekulacji na hipotekach o zwiększonym ryzyku czy też lewarowanych wykupów, lecz przykład umiarkowanie rozsądnej strategii inwestycyjnej.

Menedżerowie banku nie zabezpieczyli się jedynie dostatecznie na okoliczność podwyższenia stóp przez bank centralny. Gdy te zaczęły na przestrzeni ostatnich miesięcy iść w górę, posiadane przez SVB obligacje mocno straciły na wartości. Na dodatek zbiegło się to z narastającymi kłopotami finansowymi części klientów z branży technologicznej, którzy potrzebując coraz więcej gotówki, zgłosili większe zapotrzebowanie na nią. Dosłownie w przeciągu godzin okazało się, że jedynym rozsądnym wyjściem z tej sytuacji może być tylko ogłoszenie bankructwa.

LEWACKA POLITYKA INWESTYCYJNA

Gdy tylko upadek Silicon Valley Bank stał się faktem, amerykańska prawica zaczęła przekonywać, że głównym powodem upadku banku była jego „lewacka polityka inwestycyjna", przez którą rozumie się głównie podporządkowywanie świata finansów raportowaniu ESG. Zamiast kierować się przede wszystkim czynnikami ściśle ekonomicznymi, które pozwalają minimalizować ryzyko wystąpienia strat, zarządcy banków, funduszy i korporacji coraz bardziej skupiają się na realizacji agendy zrównoważonego rozwoju czy też spełniania postulatów spod znaku LGBT. W ten sposób miało też postępować kierownictwo SVB, które oprócz spółek technologicznych finansowało wiele zrównoważonych i zielonych projektów.

W zarzutach tych jest oczywiście wiele prawdy. Silicon Valley Bank nie tylko deklarował, że do 2025 r. stanie się zeroemisyjny, lecz także był bardzo zaangażowany w promocję tęczowej ideologii. Zarząd banku zachęcał pracowników do coming outów, roztaczając tzw. bezpieczną przestrzeń dla opowieści o osobistych doświadczeniach. Pod tym względem najgłośniejszy bankrut ostatnich miesięcy nie wyróżniał się jednak w sposób szczególny na tle innych instytucji Wall Street czy Doliny Krzemowej. Lewicowy szał spod znaku „woke culture" panuje dziś nawet w najbardziej dochodowych i poukładanych firmach.

Obecny wielki lewicowy przechył świata korporacyjno-biznesowego, jakkolwiek rażący, nie stanowi jednak głównej przyczyny kłopotów sektora bankowego. Topienie setek miliardów dolarów w niedochodowych zielonych projektach czy premiowanie epatujących tęczą biznesów to zaledwie efekt uboczny tego, jak wyglądała polityka pieniężna w ostatnich latach.

NIEWYLECZONA CHOROBA

Po kryzysie z 2008 r. amerykańska i światowa gospodarka znalazły się na zakręcie. Po pęknięciu bańki należało dopuścić do bolesnych procesów dosto-

eprasa.pl 1a5fd4df8c

sowawczych, eliminacji niedochodowych przedsięwzięć i po przejściu przez wymagający okres recesji zbudować bardziej trwałe fundamenty dla wzrostu gospodarczego. Nikt jednak nie chciał cierpieć i zaledwie kilka miesięcy po upadku Lehman Brothers stopy procentowe spadły do najniższego poziomu od 232 lat. A ponieważ nawet obniżka stóp nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, amerykański Fed przystąpił do tzw. luzowania ilościowego (czyli bezpośrednich zakupów obligacji lub akcji na rynku). Pierwotnie zakładano, że potrwa ono zaledwie kilka lat, ale w czasie pandemii osiągnęło historycznie rekordowy poziom. Już wtedy dla każdego, kto nie żyje w świecie złudzeń, było całkowicie jasne, jakie będą tego konsekwencje.

Gwałtowna ekspansja monetarna po 2008 r. miała miejsce nie tylko w Stanach Zjednoczonych, lecz także praktycznie na całym świecie. Zastrzyki płynnościowe dokonywane przez banki centralne zdołały podtrzymać przy życiu bardzo wielką liczbę nierentownych przedsięwzięć i państw, które w przeciwnym razie już dawno by zbankrutowały (by wspomnieć tylko o Włoszech czy Grecji). Tego rodzaju zabiegi przyczyniły się jednak również do tego, że coraz więcej banków na świecie obsługujących firmy zombi i niewypłacalne kraje zaczęło przypominać widma.

Takim właśnie bankiem był Credit Suisse, który zaledwie tydzień po bankructwie Silicon Valley Bank został przejęty przez konkurencyjny bank UBS. Szwajcarski bank był jednym z tych, które w następstwie swojej bardzo ryzykownej polityki otarły się o bankructwo już w 2008 r., ale z przyczyn politycznych podtrzymano je przy życiu. Przez kolejne kilkanaście lat władze banku podejmowały próby postawienia go na nogi, lecz i tak zmuszone były co kilka lat redukować zatrudnienie i informować o piętrzących się stratach. Credit Suisse był bliski bankructwa już we wrześniu ubiegłego roku, gdy do mediów wyciekł wewnętrzny okólnik zarządu ujawniający fatalny stan banku, a akcje momentalnie zanotowały spadek o 20 proc. W końcu jednak bezpośrednią przyczyną jego śmierci stało się rozlanie bankowego kryzysu na całą Europę.

Na Starym Kontynencie kolejnych kandydatów do bankructwa jest niestety sporo. W bardzo podobnej kondycji do Credit Suisse pozostaje od lat Deutsche Bank, a bardzo poważne spadki zanotowały w ostatnich dniach także m.in. BNP Paribas, Unicredit, Commerzbank oraz Credit Agricole. Kryzys bankowy faktycznie rozlał się już po Europie, dodając jej kolejnych cierpień po tych związanych z zawirowaniami na rynku energetycznym. Pomimo tego szefostwo Europejskiego Banku Centralnego wciąż kategorycznie zaprzecza, jakoby europejski system finansowy znalazł się pod szczególną presją.

Niepokojące zjawiska w sektorze bankowym będą miały niestety bardzo niekorzystne skutki dla zwykłych obywateli. W odpowiedzi na bankructwo SVB amerykański bank centralny uruchomił wart nawet 2 bln dol. nowy program finansowania terminowego banków (BTFP), którego celem będzie zapewnienie systemowi nowego źródła płynności. W praktyce oznacza to zastosowanie dokładnie tych samych środków, które były w użyciu po 2008 r. i doprowadziły do obecnego załamania. Szlakiem wyznaczonym przez amerykański Fed podążą wkrótce także inne wiodące banki centralne na świecie, co spowoduje przede wszystkim dalsze zaognienie problemu inflacji.

To, że system bankowy na całym świecie zaczął dosłownie trząść się w posadach, nie zachęci także decydentów do dalszych podwyżek stóp procentowych, które choć bolesne, to wydają się wciąż koniecznością. Najbardziej prawdopodobny scenariusz na najbliższe lata jest więc taki, że obawiając się fali upadłości, decydenci przyzwolą na utrzymanie galopującego tempa inflacji. Za błędy polityków i sektora finansowego tradycyjnie zapłaci tym samym zwykły Kowalski.

Bardzo wysoka inflacja przyniesie ze sobą jeszcze dodatkowo ten niekorzystny efekt, że pogłębi problem lokowania ogromnych środków w bardzo ryzykowne przedsięwzięcia. Kryzysy wybuchają z reguły wtedy, gdy okazuje się, że spodziewane przez część inwestorów nadzwyczaj wysokie zyski z określonych przedsięwzięć nie zostaną osiągnięte. Samo jednak poszukiwanie ryzykownych i przez to nadzwyczaj dochodowych inwestycji bierze się właśnie stąd, że wszyscy próbują uciec przed inflacją. Jeśli więc banki centralne zdołają chwilowo zażegnać ryzyko wystąpienia wielkiego krachu, to uczynią to jedynie kosztem powiększenia stawki w kasynie światowego systemu finansowego.

BLADY STRACH

W najbliższym czasie z ust finansowych decydentów możemy się spodziewać prawdziwego zalewu uspokajających informacji. Będziemy zapewne słyszeli wiele o tym, jak bardzo banki są bezpieczne, a wszyscy wyciągnęli wnioski z ostatniego kryzysu. W praktyce jednak na cały sektor bankowy i finansowy padł blady strach, ponieważ bankructwo Silicon Valley Banku pokazało, że bezpieczny nie może się czuć w zasadzie nikt. Polityka niskich stóp procentowych oraz luzowania ilościowego miała przecież stanowić cudowne remedium na największe bolączki współczesnej gospodarki, a tymczasem po kilkunastu latach jej stosowania system wydaje się być na granicy wytrzymałości. Sam zaś fakt, że w reakcji na pierwsze bankructwa władze znowu zaczęły pospiesznie wspierać płynność sektora bankowego, mówi wręcz sam za siebie: z tej pułapki bardzo trudno będzie się wydostać.

Wyrazem braku zaufania do stabilności obecnego systemu jest bez wątpienia to, że w następstwie bankructwa Silicon Valley Banku oraz Signature Banku Amerykanie zaczęli masowo wycofywać swoje środki z mniejszych banków i przerzucać je do tych największych. Strategii tej trudno odmówić zasadności. Przykład Credit Suisse potwierdza bowiem regułę, że największe podmioty świata finansów są zawsze bronione przed upadkiem przy pomocy pieniędzy podatników bez względu na cenę. Słaniający się na nogach szwajcarski gigant bankowy nie dość, że otrzymał specjalne gwarancje od Szwajcarskiego Banku Narodowego na kwotę 100 mld franków, to na dodatek swoje własne wsparcie dla przejmującego go UBS obiecał szwajcarski rząd. Wielki biznes zawsze spada na cztery łapy.

Wszystko to nie wróży niestety niczego dobrego dla Polski, gdyż szalejąca w naszym kraju inflacja otrzyma ze świata kolejny bodziec do wzrostu. Już lutowy odczyt inflacji w wysokości 18,4 proc. zaskoczył wszystkich bardzo negatywnie, lecz to niestety nie ostatnia tego typu niespodzianka, z którą będziemy się musieli zmierzyć.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1a5fd4df8c

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Czy konfederaci stracili rozum?!

Podczas konwencji, zorganizowanej pod hasłem „Oddamy Wam Polskę", politycy Konfederacji ogłosili wszem i wobec właśnie to, że chcą oddać Polskę Polakom. I długo wymieniali, w jakichże to obszarach – a prawie we wszystkich – zamierzają „oddać Polskę Polakom"; pod warunkiem że Polacy ich do tego upoważnią, przekazując w ich ręce władzę w Polsce.

Wszelako czy Polacy – a raczej ta ich większość, która w wyborach decyduje o tym, kto w naszym państwie sprawuje władzę – naprawdę chcą „odzyskać Polskę"?

Czyli czy Polacy – przechodząc na język konkretów, o których deliberowano podczas konwencji Konfederacji – naprawdę chcą przyjąć do wiadomości, a potem żyć zgodnie z tym przekonaniem, że „dobrobyt bierze się z pracy, oszczędności, pracowitości i przedsiębiorczości, a nie z zasiłków, drukowania pieniędzy i długu" – jak przekonywał jeden z liderów Konfederacji Sławomir Mentzen? Innymi słowy: Czy Polacy chcą dostawać mniej zasiłków i innych wziątek z publicznej kasy – albo nie dostawać ich w ogóle, a w zamian płacić dużo niższe i w dodatku dużo prostsze podatki? Jakoś nie widzę lasu uniesionych rąk ani nie słyszę chóru głosów zapewniających, że tak właśnie jest.

Ba, czy Polacy chcą naprawdę – naprawdę, a nie tylko deklaratywnie – walczyć z brukselskim sobiepaństwem? Z brukselskim sobiepaństwem przejawiającym się w coraz szybszym pozbawianiu ich prawa do ogrzewania swych domów za pomocą kotłów węglowych, a wkrótce także – gazowych? Przejawiającym się w zmuszaniu ich do płacenia kroci za już niemal obowiązkowe termoizolowanie swoich domów? Przejawiającym się w coraz szybszym pozbawianiu ich prawa do jeżdżenia autami spalinowymi i zmuszaniu do kupowania potwornie drogich autek na baterie? Przejawiającym się w rosnącej presji na zastępowanie na swych talerzach mięsa robakami i wegańskimi wynalazkami? A zatem: Czy Polacy chcą naprawdę – a nie tylko deklaratywnie – walczyć z brukselskim sobiepaństwem, co przecież wymagałoby co najmniej rozpoczęcia poważnej debaty publicznej o wystąpieniu z UE? Myślę, że wątpię.

Tak czy owak odpowiedzi na te szczegółowe pytania, które – nie inaczej – powinny się złożyć na odpowiedź na generalne pytanie: „Czy Polacy chcą odzyskać Polskę?", dadzą nam najbliższe wybory. I nie wydaje mi się, żeby były one satysfakcjonujące dla konfederatów. To znaczy oczywiście Polacy – wszyscy, co do jednego – „chcą odzyskać Polskę", lecz w sposób dokładnie odwrotny do tego, w który obiecuje im ją oddać Konfederacja, dlatego także w następnej kadencji powierzą władzę tym, którzy oddania Polski im nie obiecują. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Żółte kamizelki 2

Wygląda na to, że przed prezydentem Francji pojawiła się perspektywa horroru „Żółte kamizelki 2". Powód jest jednak zgoła inny niż za pierwszym razem. Pierwsze les gilets jaunes były następstwem dyktowanych rzekomą ekologią podatków paliwowych. Obecne – jeśli dojdzie do podobnego wzburzenia, a wiele na to wskazuje – to skutek reformy emerytalnej przypominającej tę z czasów Donalda Tuska. Ba, jest nawet gorzej: o ile w 2012 r. w Polsce zmiana wieku emerytalnego na wyższy odbyła się jednak wskutek uchwalenia ustawy przez parlament, o tyle obecnie we Francji nie udało się zdobyć parlamentarnej większości do poparcia pomysłu i dlatego Emmanuel Macron użył specjalnych prezydenckich plenipotencji. Innymi słowy: przepchnął reformę na chama, z pominięciem deputowanych.

Tym razem demonstracje mogą być jeszcze większe i potężniejsze

Jak tłumaczył w zeszłotygodniowym wywiadzie dla dwóch francuskich stacji – było to absolutnie konieczne, aby ratować system emerytalny i finanse państwa francuskiego. I zapewne miał rację, bo wszystkie kraje zmagające się z kłopotami demograficznymi mają identyczne problemy. Na nieszczęście dla siebie nie był jednak przesadnie przekonujący. Według sondażu stacji telewizyjnej LCI aż 70 proc. respondentów nie uznało racji prezydenta, wyrażonych w telewizyjnej rozmowie.

Macron postanowił jednak zachować się podobnie jak podczas protestów przeciwko restrykcjom covidowym: oznajmił, że sprawę uważa za zamkniętą, a pretensje Francuzów ma gdzieś. Kiedy jednak protestowały żółte kamizelki, rząd ostatecznie skapitulował. Tym razem demonstracje mogą być jeszcze większe i potężniejsze, bo też sprawa dotyka tego, co Francuzów zawsze boli najbardziej – rozbudowanego socjalu. Mogą być też pożywką dla rywali Macrona, podobnie jak w Polsce na sprawie wieku emerytalnego bardzo zyskał PiS.

Rzecz w tym, że nie ma tu dobrego wyjścia. Odpowiedź obywateli na pytanie, czy chcą pracować dłużej na emerytury, jest w Europie raczej oczywista. Zarazem utrzymanie dotychczasowej granicy wieku emerytalnego jest demograficznie i finansowo niemożliwe. Pozostaje obserwować, w jakim stanie wyjdzie z tego ambarasu prezydent Macron. ©℗

eprasa.pl 1a5fd4df8c

NISSAN QASHQAI E-POWER

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Modernizując swój flagowy bestseller, Nissan pokazuje, że elektryfikacja może być praktyczna. Testowany crossover to samochód elektryczny, którego nie trzeba ładować. Auto zawieszone między dwoma światami jeździ bowiem jak typowy elektryk, ale wlewa się do niego benzynę. Źródłem energii jest bowiem sprawdzony silnik spalinowy. Nigdy nie napędza on jednak kół, a jedynie generuje prąd. Do przodu auto pcha zaś silnik elektryczny (190 KM, 310 Nm), czerpiąc energię z akumulatora o pojemności 2,1 kWh.

Takie rozwiązanie ma dwie ogromne zalety. Po pierwsze, chociaż hybryda szeregowa jeździ jak elektryk, to dzięki temu, że pod maską mamy ukrytą minielektrownię, Qashqaia w wersji e-Power zatankować można na każdej stacji benzynowej w kraju. Nie trzeba podczas jazdy nad morze czekać godzinę, aż zwolni się jedyna szybka ładowarka w okolicy... W przypadku tego modelu jest szybko, wygodnie, a wciąż elektrycznie. Co z przyspieszeniem? Jest nieźle. Crossover z napędem na przód setkę na liczniku ma już po 7,9 s od startu. Powyżej 130 km/h gwałtowne przyspieszenie trwa już dłużej, ale na autostradzie Qashqai też daje radę.

Drugą olbrzymią zaleta Qashqaia e-Power jest to, że we wnętrzu przeważnie jest cicho jak makiem zasiał, niczym w klasycznym elektryku. Cały system działa tak sprawnie, że bez obaw o dekonspirację można by zabrać na randkę piękną ekoaktywistkę, a nawet samą Gretę Thunberg (jeśli ktoś akurat gustuje w tych bardzo krzykliwych) i byłyby one przekonane, że jadą autem, o które walczą od kołyski.

Starzy wyjadacze uznają, że akapit wyżej to ściema, bo powszechnie wiadomo, że hybrydy przy gwałtownym przyspieszaniu wyją jak wilk do księżyca... Otóż Qashqai nie wyje. Oczywiście słychać, gdy spalinowy elektryk zabiera się do intensywnej pracy, ale nie jest to ani wycie, ani inny dźwięk, który można uznać za szczególnie uciążliwy. W spalinowym elektryku jest nawet system e-Pedal – wystarczy wcisnąć przycisk na konsoli środkowej, a gdy tylko zdejmiemy stopę z gazu, samochód zacznie gwałtownie tracić prędkość, odzyskując energię. A co ze spalaniem? Podczas testu średnie spalanie wyniosło 5,5 l/100 km w cyklu mieszanym, a przy superoszczędnej jeździe po mieście – 3,8 l/100 km.

W komfortowo wykończonym wnętrzu na desce rozdzielczej umieszczono 12,3-calowy dotykowy ekran o wysokiej rozdzielczości, a w wersji Tekna auto wzbogacono o duży przezierny wyświetlacz Head-Up. Dla tradycjonalistów, którzy cenią wygodę i niezawodność, zostawiono też fizyczne przyciski i pokrętła. Nie trzeba więc np. skakać po menu, aby podkręcić klimatyzację. Robotę robią też ogromny panoramiczny dach i wygodne fotele. Siadając z tyłu, nie trzeba bać się spotkania z podsufitką. Bagażnik ma 479 l pojemności.

Qashqai e-Power, chwalący się maksymalną liczbą gwiazdek w testach Euro NCAP, w najtańszej wersji kosztuje 176,2 tys. zł, a w najbogatszej – 200,7 tys. zł. ©℗

IROBOT ROOMBA COMBO j7+

Wysoka skuteczność odkurzania, sprawnie działający system unikania przeszkód, przydatna stacja do automatycznego opróżniania pojemnika na śmieci, innowacyjne ramię z nakładką do mopowania oraz współpraca z najważniejszymi asystentami głosowymi – to największe zalety najnowszej Roomby znanego amerykańskiego producenta.

Wraz z rosnącą konkurencją na rynku robotów sprzątających od lat zwiększa się funkcjonalność tych urządzeń. Testowany model to tego najlepszy przykład. Zgrabnie wyglądający iRobot o wysokości 8,5 cm to już maszyna typu dwa w jednym, która potrafi nie tylko odkurzać cały dom, lecz także delikatnie mopować podłogi bez ryzyka zamoczenia nawet perskich dywanów z długim włosiem (po wjechaniu na dywan robot automatycznie podnosi mopa nad siebie).

Roomba Combo j7+ odkurza bardzo skutecznie. A dzięki systemowi nawigacji PrecisionVision sprawnie rozpoznaje ponad 80 rodzajów obiektów: od butów, poprzez kable, do niespodzianek pozostawionych przez psy/koty. Z wnętrzności robota nie trzeba już więc wyciągać zwiniętych w kłębek przewodów do ładowarek etc. Robot dobrze radzi sobie w poruszaniu się po ciasnych przestrzeniach, np. pod krzesłami w jadalni. Ciekawe jest też to, że dzięki obsłudze asystentów głosowych robotowi można powiedzieć, aby jeszcze raz posprzątał wokół stołu lub obok miski psa. Zbiornik na kurz ma pojemność 300 ml, ale dzięki stacji dokującej służącej do ładowania baterii i automatycznego opróżniania pojemnika można o tym zapomnieć na wiele tygodni. Akumulator wystarcza na mniej więcej dwie godziny pracy, po czym robot sam wraca na stację się doładować.

Wady? Chociaż stacja sprawnie opróżnia pojemnik na śmieci, to już nie czyści i nie suszy nakładki mopującej. Nie napełnia też automatycznie zbiornika na wodę (trzeba to regularnie robić samodzielnie). Samo mopowanie dla niektórych może się okazać zbyt delikatne w porównaniu z intensywnym „skrobaniem" podłóg przez niektórych chińskich konkurentów, u których nakładki mopujące wirują lub wibrują. Roomba Combo j7+ daje jednak do wyboru trzy poziomy intensywności zwilżania nakładki (eko, standardowy i intensywny), pozwala na używanie płynu do czyszczenia, ma też opcję dodatkowego przejazdu, więc nieźle sobie radzi z regularnym odświeżaniem podłóg. Cena modelu ze stacją dokującą: 3799 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 1a5fd4df8c

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Jarmark w Jarosławiu

Ile w dawnej Polsce targ był odpowiednikiem zwykłego sklepu, o tyle jarmarki odgrywały rolę dzisiejszych supermarketów i hurtowni zarazem. Targ odbywał się codziennie, jarmark – w ściśle określonych terminach: raz albo dwa razy w roku. Jak podaje Gloger, jego nazwa wzięła się od niemieckiego słowa „jahrmarkt" – roczny targ. Od 1507 r. zabroniono ich urządzać na wsiach. Na organizowanie jarmarków przynoszących niezłe zyski wydawano przywileje dla miast prywatnych lub królewskich.

RYS. OBA

Na jarmarku można było kupić nie tylko żywność, bydło i zboże, lecz także towary ze Wschodu, broń, kobierce i inne rzeczy pożądane przez szlachtę. Była to okazja do spotkania, popicia, a często i zwady. Jak pisał Władysław Łoziński: „Miasto dalekie, a mieście niczego nie dostać. Czekało się na jarmark".

Jednym z największych jarmarków w prowincji małopolskiej Rzeczypospolitej był ten w Jarosławiu nad Sanem. Rozpoczynał się 15 sierpnia i trwał cztery tygodnie.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Przez ten czas miasto zamieniało się w jeden wielki bazar; liczba przebywających tu ludzi dochodziła do 30 tys.; dziś wydaje się to mało, ale pamiętajmy, że przed potopem szwedzkim Warszawa liczyła ok. 11 tys. mieszkańców.

Czym handlowano? Wszystkim. Przy czym najczęściej wołami, końmi, towarami perskimi i tureckimi, zbytkowną bronią, skórami, żelazem, pługami, nożami, zbożem, blachą, ołowiem, spiżem, solą, miodem, winem. A także suknami, materiałami i płótnem. Pod miasto spędzano do 20 tys. koni i 40 tys. wołów. Aby ogarnąć wyobraźnią, jak wielkie były to stada, przypominam, że dzisiejsze największe stadniny, jak ta w Janowie Podlaskim, hodują do 500 koni. Wołami handlowano w Jarosławiu cały rok, bo miasto leżało na zbiegu szlaków handlowych biegnących do Wrocławia, Frankfurtu i dalej na zachód. Jednocześnie część towarów spławiano Sanem do Wisły – szkutami, galarami, komięgami i innymi rodzajami statków.

Jarmark był jednocześnie giełdą, jedną wielką karczmą, gdzie tłoczyli się kupujący i sprzedający, pili na dobicie interesu, bawili się, zawierali umowy i wystawiali skrypty dłużne. Jarosław zmieniał się w orientalny bazar, gdzie przyjeżdżali Turcy, Persowie, Żydzi, Rusini, Węgrzy, Niemcy, Ormianie, Grecy. Ulice zastawiały wozy, karawany wielbłądów, stosy beczek i towarów. Dla rozstrzygania sporów w mieście działał sąd zwany jarmarcznym. Ogromne pieniądze zarabiali tłumacze, znający poza hebrajskim, łaciną, ruskim także turecki i perski.

Jarmarki jarosławskie podupadły na skutek nieszczęść, które spadały regularnie na miasto. W 1625 r. wybuchł pożar, który zniszczył prawie wszystkie domy i kamienice. Zginęło 300 osób, a straty w towarze były przeogromne! Zniszczone zostały liczne składy orientalnych tkanin, kobierców, broni, skór, tkanin. Wawrzyniec Chlebowski napisał wówczas „Lament żałosny na straszliwy pożar sławnego Jarosławia". Miasto odbudowywało się powoli, jeszcze w 1630 r. właścicielka Anna Ostrogska odnawiała wszystkie przywileje miejskie dla powstającego z popiołów grodu. Kolejne ciosy zadały miastu najazd szwedzki i siedmiogrodzki, późniejsze wojny i przemarsze wojsk. W XVIII w. jarosławski jarmark bardzo podupadł.

Na handlu kupcy i mieszczanie zbijali fortuny, ale stawali się też celem rabunków. W 1634 r. swawolna kompania Jana Ramułta, mającego kryjówkę i „dziuplę" w Hołuczkowie w górach, napadła w karczmie Pod Bukiem na Żyda Jelenia z Krotoszyna, przewożącego fortunę, bo aż 70 tys. zł. Obrabowany wyśledził jednak rabusiów, po czym dał znać do grodu sanockiego. Wówczas miejscowy podstarości Jan Pieniążek zebrał szlachtę, zajechał Hołuczków i pojmał Ramułta, z czego wywiązał się później długotrwały proces.

W Jarosławiu Stanisław Fredro, podstoli podolski, napadł na Kazimierza Gumowskiego i położył go trupem, strzelając doń z muszkietu. Były to jednak tylko pojedyncze przypadki. Aż do końca stulecia miasto było zbyt potężne, aby mógł porwać się na nie pospolity rabuś czy warchoł. Nawet Stanisław „Diabeł" Stadnicki nie odważył się napastować zjeżdżających tu kupców i zajął się mniejszym jarmarkiem w pobliskim Rzeszowie. ©℗

eprasa.pl 1a5fd4df8c

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Niedziela Palmowa

Niedziela Palmowa zwana też Niedzielą Wierzbną lub Kwietną to dla chrześcijan bardzo ważne święto. Rozpoczyna Wielki Tydzień, który jest ostatnim etapem duchowej przemiany i przygotowania do Świąt Wielkanocnych. Tradycja święcenia palm jest z nami od IV w., czyli od momentu uznania chrześcijaństwa za religię. W Polsce szczególnie mocno rozwinął się zwyczaj ręcznego wykonywania palm, zwłaszcza znane są te z Łowicza oraz z okolic Myślenic, Bochni i Wieliczki. Znane są też palmy wileńskie i kurpiowskie w kształcie wysokich, sięgających nawet sześciu metrów kwietnych słupów.

W wielu parafiach organizowane są konkursy na ten piękny symbol Wielkanocy – najbardziej znany jest konkurs w Lipnicy Murowanej. Palma to symbol odradzającego się życia oraz radości ze Zmartwychwstania Pańskiego. Po wyjściu z poświęconą palmą z kościoła można się wzajemnie nią uderzać – chłopcom ma to dodać odwagi, a dziewczętom urody, u wszystkich zaś pobudzić siły żywotne. Poświęcone palmy przynosimy do domów, co według tradycji przynosi nam dobrobyt, szczęście i zdrowie. Pamiętajmy, że poświęconą palmą i wodą święconą należy skropić cały dom i wszystkich domowników.

FOT. ADOBE STOCK

W Niedzielę Palmową jadamy to, co zwykle jadamy w niedziele, najważniejszy jest wspólny, rodzinny obiad. Pamiętajmy jednak, że nadal trwa post. W niektórych domach tydzień przed Wielkanocą gospodynie zaczynają kisić żur, który po siedmiu dniach jest gotowy do spożycia, i robią ćwikłę z chrzanem. To też ostatni moment, aby zasiać rzeżuchę i odstawić ją w ciepłe miejsce, najlepiej na słoneczny parapet – będzie ozdobą wielkanocnego stołu. Możemy ją też dodawać do sałatek, do żuru i do jajek faszerowanych – jej jasnozielony kolor zdobi i dodaje świeżości.

Przepis na zupę chrzanową z jajkiem

To alternatywa do żurku na Niedzielę Wielkanocną – gotujemy ją na żeberkach i białej kiełbasie.

• 300 g żeberek wędzonych lub kości wędzonych • 1 duża cebula pokrojona w kosteczkę • 1 łyżka masła • 2 ząbki czosnku • 5 ziemniaków • 1,5 litra bulionu warzywnego • 4 surowe białe kiełbaski • 1–3 łyżki chrzanu • 1 duża łyżka majeranku • sól, czarny pieprz do smaku • 100 ml kwaśnej śmietany • 4 jajka na twardo • garść rzeżuchy

W garnku podsmażamy na maśle cebulkę i przeciśnięty czosnek, wlewamy bulion i dodajemy żeberka lub kości, gotujemy ok. pół godziny, dodajemy kiełbaskę i ziemniaki pokrojone w kawałki, gotujemy nadal do miękkości. Kiedy ziemniaki będą miękkie, dodajemy chrzan, sól, pieprz, zaprawiamy śmietaną wcześniej zahartowaną. Kiełbasę wyciągamy i kroimy na mniejsze kawałki. Zupę podajemy z jajkiem na twardo, posypujemy rzeżuchą lub szczypiorkiem. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Villa z vidokiem na las

Chodziłam do lasu jeszcze w czasach, gdy nie nazywało się to forest therapy czy shinrin-yoku.

Im bardziej jesteśmy miastowi, tym bardziej tęsknimy za przyrodą. Mam szczęście mieszkać w pobliżu wspaniałego miejsca, jakim jest Las Kabacki, i za każdym razem, kiedy do niego wchodzę, myślę z wdzięcznością o prezydencie Starzyńskim i jego wizjonerskim planowaniu Warszawy.

Przez te 80 lat las zrobił się prawie borem, Warszawa dwumilionową metropolią. Miasto z całych sił i ze wszystkich stron napiera na las. Działki w okolicy są po 1 tys. zł za metr, dla deweloperów nie ma cenniejszego słowa niż „green" we wszystkich jego odmianach. Green forest, green hills, green house... Hasłem „Zamieszkaj z widokiem na Las Kabacki" reklamują się domy, z których okien widać słup trakcji wysokiego napięcia lub parking wysadzany kostką Bauma. Ale to nic, las sprzeda wszystko.

Trzydzieści lat temu Las Kabacki otaczały pola uprawne. Gierek wybudował gigantyczne szklarnie PGR Mysiadło – wizje wyżywienia mas wegedietą wyprzedzały epokę. Ale przyszła transformacja, PGR padł, szklarnie rozebrano. Został się ino skład budowlany, na miejscu buraków stoją teraz setki betoniarek. Wokół wyrosły osiedla: Mysiadło, Józefosław, Kierszek oraz „segmenty z widokiem na las". „Dom w cenie mieszkania" – wołają reklamy.

FOT. ADOBE STOCK

Klasa wyższa ma też tutaj swój lepszy kawałek tortu. To modern villa (zawsze przez v), osiągnięcie ostatniej dekady. Modern villa cechuje się elegancką, acz sztampową architekturą, jest zawsze beżowa, obłożona piaskowcem, wykończona drewnem. Dużo szkła, ale widok z villi jak powyżej. Najważniejszą cechą modern villi jest to, że rozpiera się ona na działce od płotu do płotu. Można powiedzieć, że ma powierzchnię zabudowy prawie równą powierzchni działki. Jeszcze trochę, a swoją kubaturą by się wylała za płot. Po ogródku został kikucik, ramka. Kot by się nie przecisnął między płotem i domem. Kikucik ogródka jest z przodu elegancko wybaumowany, na reszcie leży wygolony jak głowa skina trawniczek. Do tego dla garni – parę sztuk tui. Tuja dziś pełni funkcję drzewa. To praktyczna rzecz, nic nie trzeba z tym robić, liści grabić.

Przecież nie po to mamy ogród, żeby w nim kopać, pleć, podlewać. Coś uprawiać, nie daj Bóg. Brudna robota. Od tego jest las, dobro narodowe, dobro wspólne. Jeśli nasz ogródek jest za mały, żeby rozłożyć w nim leżak, to można z villi wybrać się do lasu. Dzięki Ci, Prezydencie Starzyński! ©℗

eprasa.pl 1a5fd4df8c

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Szczepionki ratują bankruta

Mamy ciekawe zapętlenie co do producentów szczepionek covidowych. Pomijam, że sięgnięto tu do technologii mRNA, którą zarzucono prawie rok przed pandemią, i podano rekomendację nawet o nieużywaniu jej w szczepieniu zwierząt. To już nawet nie o to chodzi, że sięgnięto po technologię skompromitowaną, ale kto to zrobił.

Okazało się, że tymi, którzy wdrożyli tę szczepionkę, były dwa start-upy. Jeden, Biotech, który sprzymierzył się z Pfizerem, i drugi – Moderna. Przed pandemią, na skraju upadku. W dodatku okazało się, że Biotech pożyczył na swoje działania od EBI (instytucja unijna) 150 mln euro, od Niemców zaś – 375 mln euro. Przed pandemią, bo w roku 2019. I gdyby te firmy nie dostały (zaraz będzie o tym od kogo) nowych kontraktów, to byłaby wielka klapa pieniędzy i unijnych, i niemieckich.

A tak cudownym zrządzeniem losu okazało się, że – owszem – Unia kupiła od firmy, w którą zainwestowała, szczepionek covidowych (dwuskładnikowych) po ok. 10 sztuk na głowę Europejczyka. Czyli wygląda to na ratowanie swoich kiepsko zainwestowanych środków za wszelką cenę. Oczywiście przy okazji rozpętano burzę histerii, by ten akt uzasadnić, ba – by się tego domagało postrachane społeczeństwo.

To kolejny kamyczek do chowanej, lecz gnijącej afery z kupnem szczepionek, z którym nic nie da się zrobić. Unia tu się przysłużyła. Nie wiem, czy pamiętają państwo jej bezradność w pierwszych dniach covidowych. Okazało się, że nie wie nic, nie może nic, nie ma środków, narzędzi ani woli. Ludzie się sami poorganizowali, nagle zaczęły być ważne państwa. Odsyłam do pierwszych obrad unijnych gremiów – wszyscy stali i klaskali medykom, bo tylko tyle mogli w tej Unii dla nich zrobić.

Ale unijne młyny mieliły powoli i tylko ziarno, z którego będzie urzędnicza mąka. Po co się tam zabijać, by ratować ludzi, dostarczać brakujące rzeczy? Niech się prują państwa. No, ale jak coś trzeba podregulować, a już najbardziej przejąć wspólne zakupy, to się wtedy zjawiamy my. I nic o nas bez nas.

Zakup szczepionek to papierek lakmusowy Unii, taki rentgen, który prześwietla picowaną skorupę i pokazuje prawdziwe mechanizmy. Wygląda to słabo. Decyzje o miliardach skupione w jednej osobie, „negocjacje" przez SMS-y, które nagle gdzieś zniknęły. Mąż pani Ursuli pracujący dla Pfizera, czyli kontrahenta żony. Umoczone dutki, inwestowane w pikujące start-upy. I w końcu to przeniesione na grunt europejski z polskiego Barei: „Nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobi?". ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Obrona cywilizacji życia

Bywa nieraz tak, że jeden nowy szczegół pozwala zobaczyć zjawisko w szerszym kontekście. Pisząc o procesach dyscyplinarnych lekarzy podkreślałem, że wniosek o ukaranie za „szerzenie postaw antyzdrowotnych" – czyli wskazywanie zagrożeń, jakie niesie masowy program szczepień – to sprawa nas wszystkich. Problem nie tylko dotyka kwestii swobody uprawiania zawodu lekarza, lecz także zagraża wolności jako takiej.

Wprowadzane przez polski rząd zarządzenia pandemiczne były suflowane czy narzucane globalnie przez WHO. Zakupy preparatów stosowanych do masowych szczepień realizowane były zaś w ramach wspólnotowej polityki UE (vide: dochodzenie w sprawie utajnionej korespondencji von der Leyen z szefem Pfizera). Sprawa lekarzy pokazuje nasilający się proces zarządzania globalnego – przenoszenia władzy z rządów państw narodowych na globalne instytucje i tajemniczych ekspertów. W perspektywie ideologicznej sprowadzenie lekarzy do roli urzędników realizujących narzucone schematy (protokoły) leczenia jest zaś fragmentem większego konfliktu zastępowania resztek cywilizacji łacińskiej, nowym, zamordystycznym porządkiem świata.

Tym szczegółem, który pozwala mi połączyć kropki, jest publikacja Teresy Gardockiej, jednej z autorek opinii, na której podstawie stworzono wniosek o ukaranie lekarzy. Pisałem niedawno, że ekspertyzę tę stworzyła grupa prawników z SWPS, biograficznie zakorzenionych w marksistowsko-leninowskim systemie totalitarnym (np. Stanisław Hoc był naczelnikiem MO w Opolu, potem absolwentem sowieckich, bezpieczniackich szkół). Obok Hoca, Huberta Izdebskiego i Lecha Gardockiego jest Teresa Gardocka.

W periodyku „Medyczna Wokanda" (nr 10/2018) przekonuje, że z konstytucji nie można jednoznacznie wywieść zakazu eutanazji, zatem wprowadzenie w Polsce eutanazji zgodne będzie z ustawą zasadniczą. W argumentacji powołuje się na ocenę wartościowania życia. Pojęcie „jakości życia", wraz z innymi pojęciami, np. „zdrowie reprodukcyjne", „płeć kulturowa", to wymysł antychrześcijańskiej ideologii, którą narzucają ONZ i jej przybudówki. Propagowanie aborcji, nobilitacja homoseksualizmu wraz z legalizacją adopcji dzieci i surogacji, promocja antykoncepcji i deprawującej seksedukacji, narzucanie perspektywy gender we wszystkich obszarach działania to program globalnej rewolucji, której wehikułem są: ONZ, WHO, Federacja na rzecz Planowanego Rodzicielstwa i inne partnerskie organizacje. Zatem mamy tu klasyczne starcie cywilizacji życia z cywilizacją śmierci. ©℗

eprasa.pl 1a5fd4df8c

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Mądrość etapu

Robert Biedroń i Krzysztof Śmiszek wydali komunikat z pobytu w Finlandii i ze spotkania z panią premier Sanną Marin. Stop. Nasze kochane chłopaki zrobiły sobie z premierką (Co to za słowo? Czy my nie przesadzamy z tą poprawnością polityczną? Przecież to brzmi jak nazwa torebki!) zdjęcie, a Robert Biedroń w Radiu TOK FM powiedział o nabrzmiałych owocach spotkania: „Rząd Finlandii przeznaczy część środków, aby Polki mogły korzystać z legalnej, bezpiecznej, bezpłatnej aborcji w Finlandii. Bo prawo do aborcji jest prawem człowieka". Stop. Wynurzył się jednak problem: otóż pani premier Finlandii nic o tym nie wie. Stop. Ale nie, że trochę nie wie, tylko całkowicie nic o tym nie wie. Stop. Znaczy się, chłopaki wzięły i nazmyślały z tą darmową aborcją. Stop. Wtenczas się Robert Biedroń gdzieś zapadł, a na front przełknięcia piguły wysłany został asystent Biedronia Jakub Ratajczak, który tłumaczył figiel szefa tak: „Był to raczej gest solidarności (ze strony Sanny Marin). Nie doszło do porozumienia, a ostatecznie i tak było za wcześnie, by o tym mówić. Ustaliliśmy jedynie, że dyskusje na ten temat będą kontynuowane". Stop. Ładnie przełknął, czeka go piękna kariera. Stop.

Donald Tusk słusznie atakuje drożyznę i przechadza się, i podpatruje ceny celem ich publicznego ujawnienia, co doprowadzić ma do upadku reżimu. Stop. Ujawnił, że pomidory kosztują 34 zł za kilogram, no katastrofa. Stop. Internauci ujawnili jednak, że można kupić po 13 zyli także. Stop. Dziennikarz Marcin Dobski obwieścił na Twitterze: „Nie bardzo nadaje się do rządzenia państwem człowiek, który kupuje pomidory po 34 zł/kg, gdy można za kilkanaście złotych", co uważamy za przesadę. Stop. Się w nowym rządzie powoła Ministerstwo Pomidorów, żeby Donald Tusk mógł się zająć demontażem reżimu. Stop.

Miał miejsce przełom, którego konsekwencji do końca jeszcze Jastrzębowski nie rozumie. Stop. Posłanka Lewicy Anna Maria Żukowska, której łobuzy wypominają wywiad z Jackiem Łęskim i jej słowa w nim, że mężczyźni mogą rodzić dzieci, została zapytana przez internautę: „Ile jest płci?". Stop. Posłanka Lewicy odpowiedziała: „Dwie!". Stop. Dwie? Tak mówi lewica? Stop. Muszę to jakoś rozchodzić. Stop.

Kiedy sondaże pokazały, że atak TVN i innych postępowców na papieża Jana Pawła II spowodował reakcję społeczną olbrzymiej solidarności z naszym świętym, „Gazeta Wyborcza" opublikowała materiał broniący JP2: „Nie do końca jest jasna sprawa traktowania przez Jana Pawła II nadużyć seksualnych ze strony księży. Interweniował, dyscyplinował i karał, ale ostrożnie". Stop. Mądrość etapu. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Początek końca

Małgośka – mówią mi – asystujemy przy agonii naszej wspólnoty narodowej. „Jeszcze dycha, póki my żyjemy" – odpowiadam, ale bez pewności w głosie. Przypomina mi się, jak parę miesięcy temu pewien zacny dziennikarz hiszpański rzucił na wspólnej kolacji ideę, aby ściągnąć wszystkich konserwatystów chrześcijańskich z rodzinami do wybranego kraju Europy i obserwować przez lunetę, jak „tamci", czyli wyznawcy od woke, neomarksizmu i LGBT, sami „się znikną" na gruncie swojej totalitarnej utopii. Pomysł podobał się wszystkim, dopóty, dopóki nie zaczęliśmy dopracowywać szczegółów radosnego przedsięwzięcia.

Mnie od razu wyrwała się uwaga, że wszystkich prorosyjskich konserwatystów należy oddzielić od Polaków jakimś murem, bo kwestią czasu będzie, kiedy weźmiemy się za łby. Uczestnicy pokiwali głowami ze zrozumieniem. Ktoś z Hiszpanów dorzucił: „Będzie też niemałym kłopotem utrzymać mir między katolikami a protestantami. Heretycy znów nam będą przyprawiać gębę inkwizytorów". Kiwnęłam głową, ale od razu dodałam: „I proszę: bez żadnych mi tam imperialnych marzeń, bo my, Polacy, nie ugniemy się przed dominującym ośrodkiem, niezależnie, czy to niemieckim czy hiszpańskim". Kiwnęli głową bez przekonania. „A który język przyjmiemy za oficjalny? Wykluczone, abym miał gadać w języku tych… synów Albionu" – dorzucił któryś z biesiadników. „Ustalimy na drodze referendum" – odpowiedziałam. „Wolałbym od razu wiedzieć, bo jeśli czeka mnie tortura nauki języka polskiego, to ja już wolę dożyć ostatnich dni tutaj". Odgryzłam się więc: „Spokojnie, amigo, polszczyzna pewnie nie wygra, ja zaś wolałabym wiedzieć, czy zadekretujecie obowiązkową sjestę, bo od małego nie znosiłam leżakowania".

Po kwadransie naszej błazenady idea sczezła, bo okazało się, że silniejsza od próby rekonstrukcji małej europejskiej Christianitas jest jednak przynależność narodowa ze wszystkimi naszymi tikami, wieszczami i przyzwyczajeniami, które nas uformowały. Dziś jednak, gdy się przyglądam, jak moi rodacy krzyczą coś o „bestii z Wadowic", a jeszcze niedawno chcieli nas wygwiazdkować z otoczenia (bo przecież nie chodziło tylko o polityków), to myślę sobie za Herbertem, że „z faktu używania tych samych przekleństw i podobnych zaklęć miłosnych wyciąga się zbyt śmiałe wnioski". Nic mnie nie łączy z ludźmi, którzy dyszą nienawiścią do własnego kraju i własnych korzeni. Z nihilistami nie umiem się dogadać nawet we własnym języku. A jak ostrzegał ten sam poeta: „Koniec świata zaczyna się nie od wybuchu wulkanów, tylko od pomieszania języków". ©℗

eprasa.pl 1a5fd4df8c

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Etyka zabijania”

Jadąc samochodem, szukam stacji informacyjnej. Mam. Słyszę: poważna rozmowa. Dziennikarz wypytuje rozmówcę, widocznie jakiś autorytet naukowy, o kwestię „wspomaganego samobójstwa”. Mówi o „radykalnych przeciwnikach eutanazji” (zrazu nieufnie nastraja mnie lekko ironiczny ton i samo to sformułowanie: jakbym wyczuwał w nim założenie, że przeciwnicy procedury zabijania, nazywanej eutanazją, to koniecznie jacyś „radykałowie”, żeby nie powiedzieć – „oszołomy”). Jednak dziennikarz mówi zaraz, że owi przeciwnicy głosili już przed ponad ćwierć wiekiem, kiedy debata na ten temat zaczęła się w ogóle toczyć w Polsce, iż legalizacja owego procederu służyć będzie ludziom zdrowym, silnym i bogatym do usuwania słabszych i wymagających kosztownej pomocy. Stwierdzenie to prowadzi do niespodziewanej puenty: „I widzi pan, panie profesorze, chyba mieli rację…”.

Nastawiam ucha ciekawie. Profesor odpowiada głosem lekko drżącym, najpewniej ze szczerych emocji. Mówi o przerażającej rzeczywistości roku 2023, która potwierdza owe przewidywania antyeutanazyjnych „radykałów” sprzed lat. Najgorsza okazuje się sytuacja w Kanadzie, zaraz za nią w takich krajach jak Belgia, Holandia, Luksemburg, Australia (z wyjątkiem jednego stanu), Szwajcaria oraz Hiszpania. Wszystko to, konstatuje, najbogatsze państwa na świecie. One właśnie chcą się pozbyć najsłabszych – z powodów ekonomicznych. Właśnie bogaci nie chcą ponosić wyrzeczeń na rzecz słabszych, brzydkich, starych.

Kanada, stwierdza profesor, najsilniej wspierająca eutanazję jako sposób likwidowania „problemów społecznych”, ma jednocześnie jeden z najgorszych i najbardziej niedofinansowanych w cywilizowanym świecie systemów opieki paliatywnej. Po co zmniejszać ból, pomagać chorym, skoro najszybszą „pomocą” może być uśmiercenie? Bardzo emocjonalna, ale jednocześnie solidnie argumentowana rozmowa utrzymała moją uwagę do końca. To nie było Radio Maryja ani nawet Radio Wnet. Okazało się, że słucham Radia TOK FM, a mówił prof. Zbigniew Mikołejko, pierwszy religioznawca „Gazety Wyborczej”.

Zainspirowany treścią audycji zacząłem szukać wiadomości o aktualnych postępach kultury śmierci. Dane, które podaje agencja Associated Press za rok 2021, są istotnie alarmujące: w Kanadzie dokonano ponad 10 tys. „eutanazji”, o 30 proc. więcej niż w roku poprzednim (czy podobny „postęp” odnotowano w roku następnym – nie mam danych, tendencja jest w każdym razie gwałtownie rosnąca). Prawo w Kanadzie nie tylko zezwala na „eutanazję” w przypadku śmiertelnej, nieodwracalnej choroby, lecz także otworzyło drogę do jej zastosowania potencjalnie wobec każdego, kto uzna się za poważnie chorego lub niepełnosprawnego – lub komu skutecznie wmówi się takie poczucie. Żeby sprostać tak poszerzonemu zadaniu, Kanada, inaczej niż w innych krajach dopuszczających „eutanazję”, pozwala zabijać pacjentów nie tylko lekarzom, lecz także pielęgniarkom czy stażystom. Władze medyczne największych prowincji – Ontario i Quebec – zakazały lekarzom wpisywać do świadectw zgonu procedurę eutanazyjną jako przyczynę śmierci. Również inaczej niż nawet w Belgii czy Holandii lekarzom kanadyjskim wolno faktycznie namawiać pacjentów do tego „zabiegu”, który nazywany jest jedną z możliwych „opcji opieki klinicznej” (clinical care options). Przede wszystkim jednak potwierdza się teza, że przyczyną rosnącej „popularności” owej opcji jest kwestia kosztów leczenia. W superbogatej Kanadzie państwo i jego poszczególne stany nie chcą „marnować” pieniędzy podatników na opiekę nad „kłopotliwymi” chorymi, którzy nie mają dość pieniędzy. Jeden z pacjentów nagrał rozmowę, którą przeprowadził z nim „dyrektor etyki” szpitala. Ów „etyk” powiedział wprost, że nie jest jego zadaniem rozwiązywanie problemów z przedłużeniem opieki nad chorym. Mówi tak: „To nie moja sprawa. Moja działka to porozmawiać z tobą, byś zainteresował się wspomaganym umieraniem (assisted dying)”. Pacjent nigdy wcześniej nie wyrażał najmniejszej intencji w takim kierunku. Ale „dyrektor etyki” ma najwidoczniej obowiązek popchnąć go w stronę takiej decyzji. To nie żaden wyjątek, to kanadyjska norma – piszą dziennikarze amerykańskiej AP.

Kanadyjska komisarka do spraw praw człowieka zauważyła, że „w epoce, w której uznajemy prawo do umierania z godnością [czytaj: do „eutanazji”], powinniśmy zrobić więcej, by zagwarantować prawo do życia z godnością”. Jedyną pocieszającą stroną tej ponurej historii jest to, że groza kultury śmierci, przed którą ostrzegał proroczo Jan Paweł II, zaczyna być dostrzegana nawet przez rzeczników postępowej „emancypacji” człowieka z wszelkich „staroświeckich przesądów”. Kiedy zbliża się perspektywa naszego przeniesienia na szpitalne łóżko, musimy zastanowić się poważnie, czy stoją nad nim już tylko „etyk” i „pielęgniarka” z propozycją ostatecznej „opcji klinicznej opieki”. Z propozycją nie do odrzucenia? ©℗

eprasa.pl 1a5fd4df8c

MORDA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Nasz nowy księgowy dostał ksywę Morda. Gębę ma taką, że nikt się z nim nie umawia po zachodzie słońca – nie chcemy mieć koszmarów sennych. Ani przed lunchem, bo pamiętając tę twarz na świeżo… nic nie zjesz. Jego skóra przypomina jaja sadzone, coś tam się przelewa, a coś innego jest sztywne. Z bliska okropne!

Ksywa, którą dostał, pomaga w kontaktach z władzą skarbową. Gdy nas zaczepiają, pytamy grzecznie: Chcecie się spotkać z MORDĄ? Może przyślę do pani MORDĘ i sobie omówicie tę kwestię?

Urzędnicy, którzy go nie znają, są wtedy poirytowani i idą na zwarcie. A Morda tylko na to czeka.

***

Gdy zmarł nasz poprzedni księgowy, Morda przyszedł na stypę w knajpie i ogłosił tak:

– Dzień dobry. Jestem Państwa nowym księgowym. Można mi umowę wymówić i wtedy przestanę, ale na chwilę obecną jestem. Znam już Państwa sytuacje, przeczytałem WSZYSTKIE dokumenty.

– Jak pan możesz być naszym księgowym, skoro nasz księgowy nie żyje?

– Denat sprzedał mi cały swój biznes razem z klientami. Umowa była taka: w chwili śmierci denata, kiedykolwiek by nastąpiła, staję się właścicielem kancelarii razem ze wszystkimi klientami.

– A skąd on pana wziął?

– Denat robił u mnie audyt na zlecenie urzędu skarbowego. Wykazał im, że ze mnie beznadziejny księgowy i jest kupa forsy do zapłacenia. Z tym że… to urząd ma zapłacić mnie.

– O! Cały nasz Księgowy! On tak zawsze! Potrafił przyfasolić skarbówie w klejnoty rodowe i potem jeszcze dołożyć kopa w musztardówę – posypały się wiwaty z sali.

– I wtedy właśnie Denat zaproponował mi tę transakcję, czyli odkupienie jego kancelarii na wypadek śmierci Denata.

– Przecież powiedział o panu, że jesteś pan „beznadziejny księgowy". Chciał nas wpakować?

– Niezupełnie. Denat napisał, że jestem beznadziejny, ale tylko do skarbówki. Do mnie natomiast napisał, że mogę być równie doskonały jak on sam, lecz brakuje mi jednej rzeczy: odwagi. Zapytał, czy jestem gotów wykazać się odwagą i upomnieć o zwrot KOLOSALNEJ kasy, która mi się należała za wiele lat wstecz. Potem obserwował moje poczynania i ostatecznie uznał, że może wszystkich Państwa bezpiecznie oddać w moje ręce. Zwrócili mi dokładnie tyle, ile za sprzedanie swojej praktyki żądał Denat. Sam sobie wyliczył, ile mi oddadzą, jeżeli tylko zechcę wykazać się odwagą.

– O co chodzi z tą odwagą?

– Denat uważał, że w każdej sprawie należy walczyć ze skarbówką do upadłego. Większość ludzi skarbówki unika, ostatecznie woli machnąć ręką i zapłacić niż się z nimi użerać. Odwaga polega na tym, by się im pokazać ze wszystkimi papierami, a potem iść na zwarcie. Mają się nauczyć, że ten facet nie odpuszcza i gotów jest iść do sądu o dwanaście dolarów. Mają się nauczyć, że ty umiesz więcej od nich, że znasz każdy przepis i całą masę takich, o których oni nigdy nie słyszeli lub zapomnieli, bo to przepisy sprzed lat. Gdy Denat wysyłał listy do skarbówki, oni się bali je otwierać. Wiedzieli, że ktokolwiek to otworzy, będzie potem musiał ciężko pracować, zostanie zasypany stosem papierów i to się będzie wlokło w nieskończoność, a ostatecznie i tak przegrają. Denat w skarbowym miał kryptonim Rak. Uważali, że jest nieuleczalny, przewlekły, wykazuje nawroty i zawsze ma ostatecznie rację, nawet jeżeli nam się wydawało inaczej. Był moim bohaterem, nauczył mnie odwagi i dlatego jestem państwa księgowym.

***

Po czasie stwierdziliśmy, że ten nowy księgowy jest bardzo sensowny. Uważa, że władza powinna być daleko, gdyż obywatele o wiele lepiej dają sobie radę sami. Nienawidzi podatków, robi wszystko, byśmy ich nie płacili, i NIGDY nie przyjmuje propozycji w rodzaju: „Zaliczymy to panu na poczet przyszłych płatności". Mówi im, że jego klient już nigdy nie zamierza płacić żadnych podatków, więc żadnych „przyszłych płatności" nie będzie.

– A co? Klient planuje umrzeć? – pyta skarbówa.

– Tego nie wiecie, więc nie wolno wam zakładać, że będzie żył! A sformułowanie „zaliczka na poczet przyszłych płatności" oznacza NIEPRAWNE założenie, że żył będzie. Jesteście w stanie zagwarantować, że dożyje kolejnych rozliczeń podatkowych? Bo jak nie, to was pozwę, gdy tylko umrze. Niezależnie, kiedy to nastąpi, będzie to na pewno przed jakimś kolejnym terminem. Ponadto „zaliczenie na poczet przyszłych płatności" oznacza, że od tej forsy, którą chcecie przetrzymać u siebie, powinniście mojemu klientowi płacić odsetki takie same jak od pożyczki. Bo to jest jego forsa, na razie wam się nie należy, a jednak macie ją u siebie i obracacie nią. Pozostawienie forsy u was „na poczet przyszłych…" to działanie na szkodę firmy, której prezesem jest mój klient. A jemu nie wolno działać na szkodę firmy, więc oddawajcie całą tę kasę, i to szybko, bo inaczej to my naliczymy odsetki wam!

Byliśmy pełni podziwu. Skąd w nim taki ogień? Powiedział tak:

– Nigdy nie oddadzą wszystkiego, co ci zdołali ukraść. A wcześniej rabowali twoich rodziców i dziadków, przez co majątek, który dziedziczysz, jest znacząco uszczuplony. Nic im się nie stanie, gdy to oni zapłacą tobie. Im nie ubędzie, a tobie się przyda. Skoro to oni drukują pieniądze, to po jaką cholerę przychodzą jeszcze brać twoje? Niech sobie dodrukują. ©℗

eprasa.pl 1a5fd4df8c

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

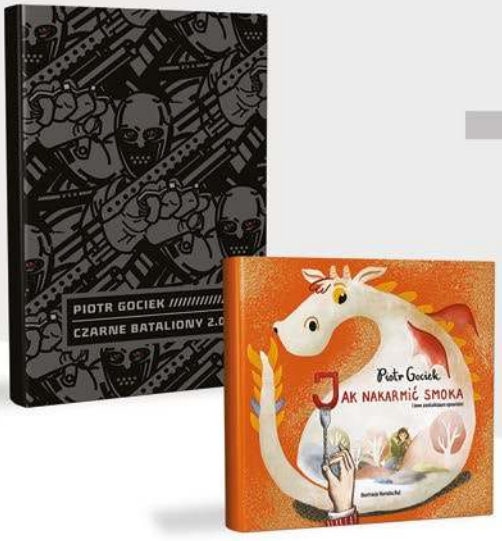

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

PIOTR GOCIEK:
„CZARNE BATALIONY 2.0"
i „JAK NAKARMIĆ SMOKA"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~983~~ZŁ

345,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 638ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 1a5fd4df8c

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 1a5fd4df8c